

STEFAN ŻEROMSKI

DZIEJE
GRZECHU

Stefan Żeromski

Dzieje grzechu

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23553194

Dzieje grzechu:

Аннотация

Dzięki powieści *Dzieje grzechu* Stefan Żeromski zasłużył sobie (w pewnych kręgach) na miano pisarza pornograficznego. Wstrząs wywołała szczerść w szczegółowym ukazaniu losów dziewczyny, którą pierwsza miłość – gorąca i silna mocą właściwej sobie największej wzniosłości – prowadzi z porządnego, drobnomieszczańskiego, niezamożnego domu, przez upokorzenie, nędzę i zbrodnię, na dno upadku. Przy tym, o zgrozo, w opowieści tej wskazuje się dobitnie na społeczną i czysto ekonomiczną genezę tzw. „grzechu”. Kto zawinił? Kto był pierwszym kamieniem w lawinie nieszczęść i krzywd? Kto mógł zatrzymać jej bieg? Może szef, gdyby nie był tępym formalistą i zgodził się na urlop? Może matka, gdyby nie przyjęła konwencjonalnej roli strażniczki patriarchatu, ale potrafiła zachować się po prostu jak człowiek? Może księża, będący trybikami w maszynie kościelnej, która produkuje rozwody, gdy włożyć do niej wielkie pieniądze, a nie gdy decyzja o rozwodzie mogłaby zapobiec wielkiemu nieszczęściu? Powieść powstawała w latach 1906–1907, wydawana była początkowo w odcinkach w „Nowej Gazecie”, w wersji książkowej ukazała się w 1908 roku. Stanowi ważne pokłosie doby rewolucji 1905 roku (Żeromski był zarliwym socjalistą, choć

niezwiązanym bezpośrednio z żadną partią). Niejako przy okazji, towarzysząc Ewie w Warszawie i na prowincji, w europejskich wояażach, od Nicei i Monte Carlo, przez Korsykę, Genewę, Paryż i Wiedeń, narracja ukazuje niezwykle wyraziście szeroką perspektywę społeczną, różne sposoby zdobywania i wydawania pieniędzy, wszelkie wreszcie odcienie podłości, przemocy, zła, ale i iskry wzniosłości, poświęcenia dla innych, projekty reform. Dlatego można widzieć w Ewie nie tylko jawnogrzesznicę o złotym sercu (nieco w typie bohaterek Dostojewskiego), ale też ucieleśnienie i konkretyzację wszystkich tych problemów, z którymi zdaniem Żeromskiego zmierzyć się musi polskie społeczeństwo, a w przyszłości odrodzone państwo polskie.

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

188

Stefan Żeromski

Dzieje grzechu

W czasie powrotu do domu Ewa miała oczy spuszczone. Wszystkimi siłami starała się nie patrzeć na przechodniów i unikać ich wzroku. Wiedziała przecie, że każdy przechodzący mężczyzna... Chciała widzieć i spod powiek widziała jedynie wyslizganą szarżyznę betonowego chodnika, chropowatą równię środka ulicy z jej dołami i zbitym brukiem drewnianym, nagość bezbarwną drzewek ujętych w żelazne pręty ogrodzeń. Barwy te były podobne do jej myśli i odpowiadały potrzebie duszy. Dbała o to, żeby myśli były właśnie takie, pozbawione piękności, jak gdyby odbarwione ze wszelkiego uroku. Była bowiem szczególna wzniosłość i nieznany powab w tym dobrowolnym i pilnym wyzbyciu się wesela. Nie rzeczy się też przesuwwały, lecz niematerialne wrażenia, nikłe uczucia w różne postaci zamknięte. Przez nieuwagę jedynie postrzegała konary, gałęzie i pręty drzew skweru, profile kamienic, osrebrzone od słońca porankowego. Drzewa czarne, jakby urobione z węgla... Spulchniona rola skweru... Ślady na niej grabi niby ślady zabawy dziecięcej. W świeżym szarym gruncie poobcinane patyki krzewin. Na chodniku nieoczekiwane cienie drzew. Cienie smagłe, cienie ruchome i żywe! Widły, pnie, gałązki! Nogi wstępują na żywe pnie. Uczucie niepostrzegalne, że się niedelikatnie przeszkadza cudzemu

bytowi... W okrągłych zagłębieniach pod żelaznymi kratami dookoła pniów¹ uwięzionych – jeszcze śnieg. Czarny śnieg, przywalony nawozem, odpadkami, prochem śmieci, górami niedopałków. Ciemność mogiły... Lecz już tam trawa zielona puściła pędy. Wiatr chwieje i nagina maleńkie jej pióra. Wiatr chłodny, rozwichrzający włosy, dociera do ich korzeni. Mnóstwo wszędzie połysków, skupień światła, ognisk, polśniewań, barw...

Żebak! Leży na chodniku przy marmurowych schodach wielkiego gmachu. Wyciągnął kule i potworne kikuty. Rozwalił się jak u siebie na barłogu. Łachmany szare. Twarz potężna, wzgardliwa, oko głęboko nienawidzące. Wyciągnął rękę. Ujrzała podarte i zatłuszczone wnętrze jego czapczyny. Rzuciła w nie wszystko, co miała: srebrny pieniądz czterdziestogroszowy. Niespodziewane zastanowienie, cudze otamowanie: gdyby tak każdemu dziadowi... W tej samej chwili serdeczny żal i tępa rozpacz: – czemu ten człowiek nie zabija, lecz jęczy; czemu nie lży, lecz błaga?

Uczucie ciężkie i nieruchome poruszyło się w piersiach i popłynęło, popłynęło palącymi strugami. W ślad za nim samowładne słowa:

– O miasto, miasto! Gdybyż była w człowieku moc, żeby mógł przycisnąć do piersi ciebie, o miasto! Gdybyż można było odkupić wszystek nieszczęśliwy świat... Odkupić świat z rąk łotrów, z posiadania plugawych tyranów, z władzy oszustów, bogaczy, panów – z opieki najgorszych i najpodlejszych –

¹ pniów – dziś popr. forma D.lm: pni. [przypis edytorski]

biernych widzów, obojętnych, jedzących w spokoju i pijących w weselu... Jakże tu żyć, chodząc w sukniach pięknych, co osłaniają ciało aż do ziemi – pomiędzy łachmany żebraków? Jakże można dawać jałmużnę, brud ręki swej, na pożywienie bratu – bliźniemu?

Łzy z najgłębszej krynicy serca przemknęły się między zwartymi powiekami, niepostrzeżenie. Chwila głębokiej skruchy, męki strasznej i groźnej. Serce w piersiach ukrzyżowane, w niemocy swej gwoździami przebite. Wytryska zeń i szybuje żądza ofiary.

W górze nad głową wszędzie obecny, roztoczony firmament. Słowo olbrzymie, miłościwe, kojące, słowo drogocenne! Ogarnia sobą męczarnię. Jak nowy powiew wietrzyka przefruwa znowu ta sama, dawna, cudna i głupia myśl-pokuszenie: doskonałość duszy, czystość serca... jest to także egoizm. Jakże tu iść w swej czystości wśród grzechów straszliwych świata? Chrześcijanin powinien przecie zbawić ludzkość, gdyż inaczej...

Myśl ulotna przefrunęła, dziwnie szemrząc, jakoby wiatr w gałęziach brzoź. Lecz za nią nadciąga inna, myśl cofająca się w tył, myśl ślepa i zamknięta w sobie, patrząca w ziarno rzeczy i nieubłagana, jakoby owoc przedziwnej wiadomości, który by stoczył się we wszystko, czym kiedykolwiek był – w zawiązek, w kwiat, aż do samego początku:

„Bądźcie pozdrowieni, upadli, grzesznicy obarczeni przez zbrodnie! Pan z wami, zbrodniarze. Niechaj się dusze wasze uciszą. Niech sen zejdzie na wasze powieki. Wytchnijcie w

spokoju, zbójcy i mordercy, wyrzuceni z rodu ludzkiego”.

Ewa minęła szereg ulic półbezwiednie, nie pozwalając uczuciu swemu obniżyć się i zmaleć. Niosła je w sobie z ostrożną czujnością, podobnie jak pierwsi chrześcijanie nosić musieli na przeciągu korytarzy podziemnych, w głębinocy, kaganki gliniane, u których końca płonął nikły knotek zanurzony w oliwie. Na poły wiedząc o tym, gdzie jest, weszła w bramę, oddała grzeczniejszy niż zwykle ukłon stróżowi Ambrożemu. Uroczym zdrowymi, prześlicznymi krokami², melodyjnie pewnym stąpaniem dzikiej kozy po skałach, przebyła asfaltowy chodniczek, przeciskający się w poprzek dziedzińca między prastarym brukiem.

Wiatr gwałtowny zawiał zza drzwi obłupanych ze starej, wiecznie rozwartej i, niestety, wiecznie cuchnącej, „chorej” sieni. Chłodnym tchnieniem ogarnął nogi aż do kolan, wcisnął się pod suknie... Zaśmiała się wbrew woli, wewnątrz i ustami, ujrawszy swe śliczne, kochane, połyskliwe buciki na wysokich obcasach, i zakrzyknęła na bezczelny wiatr bez wydania głosu: – ach, ty!...

Skończył się chodniczek ową dziurą wyłupaną przed laty, wyrwą, którą noga zna tak dobrze, jak wewnątrz rozkosznie miłego bucika – biedną, starą znajomą „kawerną”. Jeszcze w niej tai się jędra-kałuża, ostatni ślad nocy wichrowych. Ewa rzuciła okiem w okna mieszkania, na brudne szyby, niemyte od jesieni,

² *zdrowymi, prześlicznymi krokami* – daw. składnia; dziś popr. forma N.lm: (...) krokami. [przypis edytorski]

na zeszlę ślady szarug, deszczów, kurzów, na futryny obłupione z pokostu i kitu, i wkroczyła, wzdychając, na schody. Ciężko jej było iść po tych schodach poprzecznej oficyny. Były paskudne jak życie oficynowe: brudne, lepkie od zbłoconych nóg, z wyslizganą poręczą od niezliczonych rąk, które jej dotykały w biegu, w pośpiechu ubogiego życia.

Szła, marząc czy modląc się pragnieniami, żeby to wyprowadzić stąd rodziców, żeby to coś takiego przedsięwziąć, aby mogli wyjść wszyscy z tych miejsc, dokąds na lepsze...

Ciche, nieznane w codziennym życiu westchnienia spływały, na wargach przeistaczając się w szept lecący w górę. Wiedziała, że nic uczynić nie może, nic poradzić, nic zmienić, ale wiedząc o tym, oddawała się konieczności szeptania, które z jej piersi ulatało jak oddech. Nie wiedzieć kiedy stanęła przede drzwiami. Mimo woli oparła się o odrzwia ramieniem i, trzymając już rękę na guziku dzwonka, śniła przez chwilę. Tak przykro było wracać do domu z powietrza, które już nasiąkło zapachem fiołków i drgało wiosennym gwarem... Jeszcze miała w oczach te smużki i kępki maleńkiej a połyskliwej trawy, co się koło żelaznych sztachet i ogrodzeń chyłkiem czały. Teraz oczy jej leżały bezwładnie na drzwiach zamkniętych, uczernionych i wyświechtanych w pobliżu klamki – na biletach wizytowych szanownych lokatorów. Czytała z ohydą stokroć znajome litery: – Jan Faustyn Cygler – a pod tym napis głupkowaty, nie wiedzieć czemu olbrzymimi literami: „Dzwonić trzy razy!”. Obok nie mniej srogimi kulfonami wylitografowane nazwisko: –

Stanisław Czapowski – Stud. Med. Dalej: „Dzwonić dwa razy”. Na górze ordynarnym i zaiste chamskim drukiem: – Adolf Horst – Filozof – „Nie dzwonić ani razu”. Najniżej to posępne miejsce bielsze, puste – i znaki po świeżo oderwanym bilecie, cztery czarne zagłębienia po pluskiewkach. Ewa zatrzymała wzrok na białej plamie. Czoło jej zmarszczyło się, twarz przybrała wyraz bolesny.

„Kto też najmie ten pokój? Boże, Boże! Tyle czasu pokój stoi pustką!”.

Była to jednak obłudna, a przynajmniej na pół świadoma troskliwość. Ewa usiłowała nią zatrzeć (w interesie czystości duszy) obrazy i myśli, które ją tłumem obiegły, skoro tylko rzuciła okiem na napis: – Adolf Horst – Filozof – „Nie dzwonić ani razu”.

Jak żywa stanęła jej teraz w pamięci cała spowiedź przed godziną odbyta, wszystkie towarzyszące jej okoliczności, uczucia, wzruszenia, stany bierne, a nawet ruchy i bezwiedne spojrzenia oczu. Jeszcze czuła ścierpięcie poniżej kolana od długotrwałego ucisku kości przez ostry gzyms schodka, kiedy przyklękawszy niewygodnie przetrwała w jednej pozie całą spowiedź. Jeszcze czuła na twarzy swej spoczywający wzrok kapłana i oddech jego ust. Teraz ogarnęło ją przedziwne lenistwo ciała i ducha. Wszystka tajemnica i potęga spełnionego aktu spowiedzi była jakoby brzemień złożone z ramion. Nie zeszło jeszcze z głowy, nie osunęło się z myśli. Przeciwnie – minęła już rozkosz biernego pocucia, że święty obowiązek został

wypełniony, wrażenie radości, że już jest po wszystkim, które niosło ją było niby mroczny a miły obłok przez ulice miasta i zasłaniało przed oczyma ziemię. W chwili gdy stała pode drzwiami domu, wracało, włamywało się do duszy i oblegało zmysły dotykalne, leniwe uczucie życia. Ewa nacisnęła dzwonek i usłyszała znajomy tupot nóg służącej. Skoro się drzwi otwały, wsunęła się cicho i pochwyciwszy za rękaw kucharkę, szeptała jej do ucha ze zmarszczonymi brwiami:

– Leośka, nie masz do mnie o nic żalu? Nie gniewasz się na mnie? O nic, gadajże?

Tamta wytrzeszczyła idiotycznie oczy, zachichotała – aż nagle poczęła z przejęciem szeptać:

– Była panienka u księdza Jutkiewicza?

– Byłam. Przebaczasz mi wszystko?

– No, przecież! Cóż znowu nie mam przebaczyć...

– Ale słuchaj, z serca!

– No! A do Stołu Pańskiego panienka przystąpiła?

– Nie, jutro.

– Czemu?

– Bo już było za późno.

– Widzicie! Jakże to cały dzień i całą noc bez grzechu.

Panienko, chodźmy stąd! Uciekajmy!

– Dlaczego?

– No, dymajmy – i tyle!

– Powiedzże prosto!

– Nie powiem.

– Kiedy to z tobą zawsze! Chcesz, widać, żebym się w takim dniu rozżłościła.

– A to niech sobie panienka wie! Nie moja wina, jeśli panienka...

– Cóż takiego?

– A to, że znowu u Horsta ta sama dziewczka, ta, co to malowana na gniado³...

Obiedwie⁴ na te słowa pierzchnęły⁵ z korytarza w takim popłochu, jakby w nie z pistoletu strzelano zza węgła – jedna prosto, we drzwi kuchenne, druga na prawo.

Wbiegłszy do pokoju, który był w całym mieszkaniu jednym schronieniem rodziny, Ewa przypadła na łóżko za parawanem. Skuliła się tam natychmiast i co tchu zabrała do pracy duchowej, zupełnie jakby się wszystka, z głową, nakryła wielkim całunem kościelnym. Siedziała z rękoma obwisłymi, z głową pochyloną na piersi, z oczyma zamkniętymi. Zrazu modliła się cicho, wymawiając boleśnie i z trudem prawdziwym wyrazy: „Panie Boże mój! Jakże ja nędzna odważę się przystąpić do Ciebie, którego tyle razy obrażałam? Panie! Nie jestem godna, abyś wszedł do przybytku serca mego! Jezu, pomnóż pokorę moją...”. W miarę jak wielokroć wymawiała te słowa, szerzyła się w

³ *na gniado* – na kolor ciemnobrązowy; wyrażenie utworzone od nazwy maści konia o sierści brązowej, lecz z czarną grzywą, ogonem i dolnymi częściami kończyn. [przypis edytorski]

⁴ *obiedwie* – dziś: obydwie. [przypis edytorski]

⁵ *pierzchnęły* – dziś popr.: pierzchły. [przypis edytorski]

niej jak gdyby jasność owego kaganka, z którym w sobie szła przez ulice miasta. Poczęły wynikać w duszy pożądane obszary, rozwierać się i przeistaczać ni to w okolice nieznane o poranku, okryte jeszcze mgłą...

Było dobrze iść wśród tego świata duszy, iść dokąd oczy poniosą. Było dobrze i lekko, obrawszy którykolwiek kierunek, wędrować z rozstajnych dróg, na których teraz stała. Zaszemrały nad głową słowa-tchnienia, słowa-poszumy, jakoby szelest liści odwiecznych w jakowejś ciemnej alei...

Mocne postanowienie poprawy!

„Jakże to zrobić? – zadała sobie natarczywe pytanie. „Jak to zrobić doskonale, mocno, na zawsze? Żeby móc wiecznie spać na trawie zwanej »Baranek Czysty«? Żeby mieć boskie prawo zawsze stać przy Krzyżu duchem przez rozmyślanie, a rzeczywiście przez Komunię Świętą?”.

Przymknęła powieki, zacisnęła ręce, nabrała pełne piersi mocnego tchu... Idzie przed się znowu dalej w wiośniany kraj, potężnymi krokami. Poprzysięga sobie w duszy, samej sobie rozkazuje, co i jak teraz będzie czyniła. Wszystko, co w chwili tej postanawia, okazuje się do wykonania łatwe, rysuje się jako mądre i tak proste, tak naturalne i celowe, jak na przykład kształt drzwi, budowa domu, pomysł i wykonanie szafy. Czemuż człowiek nie ma być tym, czym być chce? Dlaczegoż nie być czystą, dlaczego nie być dziewicą nie tylko ciałem, lecz i duszą? Azaliż lepiej jest być czymś brudnym niż czystym? Czyż kwiat może być brudny, oblany pomyjami? Czy

mógłby żyć oblany pomyjami? Czyż nie jest to rzecz prosta a najmądrzejsza, że kwiat jest czysty? Bóg go stworzył po to, żeby był czysty. W duszy, w pamięci, w uchu brzmiały teraz słowa kapłana... Świętego Pawła słowo do Koryncjan: „Wszystko mi wolno, ale nie wszystko pożytecznie...”. A dalej przykład, wyjęty ze świętego Franciszka Salezego, o drzewie migdałowym, którego owoce przemienia się z gorzkich na słodkie za pomocą wypuszczenia z pnia złych soków.

Ewa zapytuje samej siebie, czemu by nie miała wznieść się do tej poprawy i stanąć w cnocie czystości obok oblubienicy z *Pieśni nad pieśniami*, obok tej, co w palcach swych precedza mirrę, płyn broniący od zepsucia – tej, co ma oczy przepasane przepaską złotą na znak czystej mowy, co ma oczy jak gołębica?... Ogarnia ją rozkosz tego obrazu, porywa wyniosłość pragnienia, zdejmuje wola mocna, odurzenie przecudne, żeby się wznieść ku dobru wysokiemu. Wyplenić ze siebie obmierzłe upodobanie do kokieterii, wytrącić z duszy ową rozkosz niewymowną do szelestu jedwabiu, do piękności sukien, które owiewają ciało różowością jutrzeńki albo lazurem wiosennego nieba – do połysku pantofelków lakierowanych – dreszczowy czar zwiastujący (zawsze, zawsze!) nadejście studenta (a nawet tego gałgana Horsta!). Nigdy już, przenigdy (przysięga to sobie!) nie pójdzie, niby to przypadkiem, a w gruncie rzeczy ze świadomym zamiarem ujrzenia Czapowskiego (przysięga to sobie), gdy on wychodzi... Nigdy już nie zaszeleści jedwabną halką jak wówczas, kiedy to stanął na schodach i zwrócił na

nią wielkie marzące oczy... Głupiec jeden, kabotyn, oślak! Co on sobie mógł wtedy myśleć! Po pierwsze – won! – pantofle. Od jutrzejszego dnia trzewiki, kłapy, błotochody, ciapostępy – trzewiki do skończenia świata! Po drugie – halka. Won!

Zatkała uszy, żeby nie słyszeć jedwabnego szelestu precudnej ulubienicy ze ślubnej niegdyś sukni matczynej, zachwyty swego i radości. Zamrużyła oczy, żeby nie widzieć żółtego połysku przepięknych bucików, wysmukłych, obcisłych, na wysokich korkach. Ileż to razy wycelowwała je oczyma, wypieściła myślą, gdy jeszcze stały na wystawie za wielką szybą, na lustrzanej tafli. Straciła na nie wiele, wiele nocy, przepisując akta biurowe do rana. Teraz – won, won, won!

„Won!” – powtórzyła raz jeszcze.

Myśli po tym rozkazie pierzchły na wszystkie strony. Jakiś tylko szum w uszach, szelest wyrazów... Wymawia się *won*, a pisze się *Vaughan*. – Księżniczka... Księżniczka Vaughan! Prześliczne, błękitne oczy, sploty włosów, głowa lekko pochylona na prawe ramię. Na głowie kapelusik z czarnej materii, jedwabnie lśniącej, rodzaj spłaszczonego cylinderka, z szerokim rondem i rozszerzeniem w kierunku dna. Kapelusz otoczony woalką nieopisanie pięknego koloru. Obnażona szyja i błękitny paltocik z bufiastymi rękawami. Ach, ty śliczna, ty precudowna, ty śmieszna! Gdyby tak teraz wyjść w tym paltociku, w tym kapeluszu, z tą woalką! Z tą bajeczną woalką! Księżniczka Vaughan...

Widывała ją tylekroć na wspaniałej miniaturze w mieszkaniu

lichwiarki Barnawskiej! Zawsze posyłała jej uśmiech, jak przyjaciółce, jak siostrzyczce. Gdzież ona żyła, kiedy, co robiła? Nie ma jej nigdzie na ziemi, nie ma nigdzie! Umarła przed setką, a może przed setkami lat... Ona umarła – ten uśmiech umarł, te oczy, ten promień słońca zagaś! Ta bliska sercu, ta przyjaciółka, ta droga – to złudzenie! Ach, gdybyż to z nią wszcząć rozmowę, posłyszeć pieszczotliwe słowa z tych czarodziejskich ust, które milczą dyskretnie tyle już lat, które unikają wyznania prawdy i uśmiechają się wiecznie ponad głowami tylu ludzkich pokoleń! Gdyby ją spotkać choć we śnie...

„Książniczko – szłybyśmy razem w Aleje – ja i ty... Toż by to wytrzeszczali trzeszcze, gapili się, szeptali o nas... O mnie i o tobie... O której by szeptali, że piękniejsza? Powiedz, powiedz prawdę, książniczko!”.

Spostrzegła się, o czym myśli... Spuściła oczy na książkę francuską, która Bóg wie skąd i kiedy zabłąkała się między rupiecie domowe, na *Choix des monuments primitifs de l'Eglise*⁶ – i na ów rozdział z pisma świętego Cypriana, który częstokroć musiała czytać z polecenia matki: *De la conduite prescrite aux viérges*⁷:

„Gdy wspaniale uczesane i przystrojone zjawiacie się wśród ludzi, ściągacie na się oczy i westchnienia młodzieży,

⁶ *Choix des monuments primitifs de l'Eglise* (fr.) – wybór pamiątek (pomników) początków Kościoła. [przypis edytorski]

⁷ *De la conduite prescrite aux viérges* (fr.) – o przepisowym prowadzeniu się dziewic. [przypis edytorski]

gdy zapalacie w sercach ogień miłości – coś z tego, że nie giniecie same, skoro gubicie bliźnich, dla których niebezpieczniejszymi jesteście niż żelazo i trucizna”.

„Ech, »żelazo i trucizna« to znowu przesada! – pomyślała (ze wzruszeniem ramion i z lekka wywieszając język) prędzej, niż była w stanie zorientować się, jaki grzech popełniła.

Schyliła się tedy jeszcze bardziej i zatopiwszy się wszystka w medytacji marzyła po polsku, czytając wiersze francuskie kazania:

„Jeżeli pozostaniesz czystą i dziewicą – jesteś równą aniołom Boga. Usiłuj zachować całość dziewictwa twego i skończyć z wytrwałością, coś z męstwem zaczęła. Nie ubiegaj się za ubiorami ciała, lecz za cnotą duszy. Zatapiaj się w Bogu i w niebiosach, a wzniósłszy już oczy tak wysoko, nie zniżaj ich ku ziemi...”.

„O Boże mój!...” – wzdychała z radością, wzdychała weselnie nad tymi cudnymi wierszami. Zrozumiała ich pachnący, jakoby lotny i rozkwitły sens i unosiła się oczyma ku niebu. Toteż z najwyższą przykrością posłyszała jednokrotny dźwięk dzwonka.

Tupot nóg Leoški. Za chwilę wsunął się do pokoju ojciec. Był po wiosennemu wyświeżony, w letnim paletku, które liczyło już sobie dziewiątą czy dziesiątą wiosnę i zdołało przybrać odcień zielonkaworudy. Nie mniej wiosennym kolorem uderzały wąsy podkreślone, z rana uczernione na szwarc szatański, a obecnie nabierające od promieni słonecznych barwy świeżo skoszonego, aczkolwiek już nieco podeschłego sianka. Stary pan miał w

dziurce od klapy paltota wetknięty pięciogroszowy bukietek fiołkowy, na prawicy rękawiczkę z palcami wielokrotnie ześcibianymi czarną nicią. W lewej ręce niósł pieszczotliwie sławną swoją laseczkę, pamiątkowy dar imieninowy od „grona” przyjaciół, z rączką notorycznie posrebrzaną, w kształcie zgiętej nogi końskiej, z monogramem stosownym i datą. Pan Pobratyński nucił wbiegając do pokoju. Zmrużone jego oczy przeszukały wszystkie kąty pokoju, ucho uchwyciło dźwięki dolatujące z kuchni.

Gdy intelekt przyszedł do samowiedzy, że „żoneczka” nie jest w lokalu obecną, znużone ciało radośnie spoczęło w szerokim fotelu obok szafy, obwieszonym arcydziełami szydełkowej roboty. Pan Pobratyński dumiał tam chwilę, nie zdejmując kapelusza, naprzeciwko okrągłego stołu, skazanego na dźwiganie serwety i wiecznie krzywej, „ozdobnej” lampy, którą ze swej strony ozdabiał, oczywiście, abażur ze strzyżonej bibułki. Gdy stopy pięknego starca, obute w kamaszki wylękle z obwisłymi melodyjnie gumami, spoczęły na dywaniku ze strzyżonych kawałków, głowa jego pochyliła się w stronę Ewy. Błade, wypełzłe, odbarwione oczy, oczy-przylaszczki spoczęły na tej twarzy. Figlarny uśmiech wykwitł na wargach.

– Jakże też tam z rozgrzeszeniem? Czy aby?...

Ewa wstała ze swego miejsca i podeszła do ojca. Nie podnosząc oczu pocałowała go w wyświechtaną rękawiczkę. Stary pan potarł się o nią ramieniem, potem połą surduta. Przechylił głowę i usiłował zajrzeć w oczy. Oczy te były

spuszczone... Za chwilę jednak uśmiech taki sam jak u ojca, uśmiech radosny, ni to figlarny, ni to smutny, uśmiech ładaco i nie wiedzieć co, ukazał się na jej ustach. Spojrzała w wypłukane oczy. Zaśmiali się oboje wraz jednako. Przypadli do siebie na chwilę: głowa do głowy, usta do ust, oczy do oczu. Staremu spod powiek wylazły jakoweś *quasi*-łzy i wnet się skryły. Z piersi jęknęło jakoweś westchnienie – i przepadło.

– Dałabyś staremu ojcu troszeczkę tej świętości, skąpico jedna!... – szeptał cicho, patrząc z bezbrzeżną czułością na jej włosy jasne – jasne, kołysząc ją na sobie, jakby była sześciolletnią smerdą, którą huśtał na nodze...

– A to niech tatko sam sobie pójdzie do spowiedzi... – powiedziała kokieteryjnie, wodząc wargami po jego czole, między oczami, po policzkach.

– Ja... tego... Owszem, dziecko, ja pójdę. W tych dniach się nawet, *ma foi*⁸, wybierałem.

– Ech!...

– Ale no! Jak honor kocham! Ja ci to mówię...

– Jak honor kocham, ale do cukierni...

– Cicho bądź, jędzo! To postęпки ojca będziesz sądziła – he? Takie to mocne postanowienie poprawy życia?

– Gdzie ja tam sądzę!...

– Widzisz, Ewuś, ja już jestem stary, grzeszny człowiek. W starym człowieku, uważasz, to się tyle nabiera grzechów, paskudztw, wiadomości... Cóż tam zresztą – ja! Grzeszny

⁸ *ma foi* (fr.) – doprawdy, dalibóg, słowo daję. [przypis edytorski]

człowiek... Ja bym tylko chciał, żeby na mnie nikt uwagi nie zwracał. Nic nie wymagam, toteż niech i ode mnie nic nie żądają. Ja na uboczu... Dzisiaj już tego, co było... dawniej – gdzie! ... Inna rzecz z tobą... *ma foi*... inna. Powiem ci pod słowem honoru, że nie masz lepszej rzeczy jak czystość serca i to, wiesz, mocne postanowienie. Tak i tak – no i basta. Jak się było w Liceum Świętej Anny... miły Boże.

Oczy starego pana rozweseliły się, zaszyły mgłą. Schylił się ku córce i nie patrząc na nią szeptał do ucha:

– Bądź, dziecko, zawsze niewinna, czysta, wiesz, *ma foi*... Tak jak dzisiaj... Ty za mnie i za siebie, za mamę, za nas wszystkich bądź czysta. Pan Bóg... Jak się ty za mnie pomodlisz, to na pewno, na pewno... i posada... i to wszystko, to wszystko...

– Ale żeby tatko przestał chodzić... „*ma foi*”... do tej knajpy, toby był tatko jeszcze bardziej kochańszy... – wzdychała przed nim.

– Co – co?

– Żeby tatko przestał zadawać się z Horstem, ulegać mu, nie dał wyciągać się z domu po obiedzie. Prędzej by się i posada trafiła, bo Pan Bóg wszechmogący...

– E... pleciesz koszały opały! – mruknął z wyraźną niechęcią.
– Co ma wspólnego chodzenie do cukierni – z posadą! Gdzie Rzym, gdzie Krym! A jeszcze Horst! Cóż mi Horst? Także!... Ja, zrozum to, ja muszę bywać między ludźmi!

– I co może być za przyjemność... – szeptała zapamiętale,

nie słuchając tego, co mówił... – Brudno tam, obmierźłe, zakopcone. Umyślnie przecież chodziłam.

– A ty po co?

– Te ciastczyska i te, żal się Boże, cukry po prostu śmierdzą. A przecie to dzień w dzień. Przecie to kosztuje! Jakże tu mama nie ma narzekać przed ludźmi?...

– Więc i ty żałujesz mi tej jednej małej-czarnej... – mówił z rozdzierającym wyrzutem, patrząc w przestrzeń.

– Jednej małej-czarnej z pasztecikiem i jeszcze z czymś... I jeszcze z drugim czymś, a czasami... A ileż to godzin traci się na wysiadywanie! Przy tym te piękne rozmowy z Horstem.

– Właśnie tego nie rozumiesz, tak samo jak matka! Właśnie tego! Może być, nie przeczę, wysiadywanie bezczynne i bezcelowe, a może też być wysiadywanie-czynność, akcja, działanie! Tak, moje dziecko!

Złośliwy uśmiech wydobywał się na jej wargi, toteż go powstrzymywała. Rzekła jeszcze:

– Jednakże wszyscy ludzie z pozycją źle o tym mówią. Niedawno Rokicki przychodzi i prosto w nos mówi mamie: „Cóż, pan dziedzic dobrodziej oczywiście w knajpeczce z Horścikiem...”. Już mama nawet mówiła, że wołałaby go nie stołować, żeby tylko tatki nie wyciągał. Bo jakże mama to wszystko może wytrzymać? Nie ma na to nerwów... Szarpie się, żyły ze siebie wyciąga...

– O, już są i te „żyły”... Naucz się tylko jeszcze tego ulubionego zwrotu mamy: „wbij zęby w ścianę!” – to już

przynajmniej będzie cały garnitur. Żyły i zęby! – Gdzie się co takiego dzieje? Nic, tylko przesady, tragedie, opery, hiperbole!

– A tatko znowu tak sobie powie: hiperbole, i koniec. A my ani bielizny, ani ubrania. Wszystko idzie na Barnawską. Żyjemy byle czym... Przecie tak wiecznie być nie może. Musi tatko także pomyśleć! Właśnie i dziś... ksiądz spowiednik...

– Tylko mi aby rzeczy ze spowiedzi nie rozkładaj! Wiesz chyba o tym, że tajemnica spowiedzi... Masz, chwalić Boga, dwadzieścia lat jak oblał...

– Ja, tatusiu, nie ze spowiedzi, tylko że wszyscy... Coraz nam gorzej, coraz gorzej... Mama jakaś rozdrażniona, rozstrojona, niespokojna... A tatko jak gdyby nigdy nic, jakby wszystko szło jak najlepiej na świecie... Ludzie widzą... roznoszą plotki po świecie. A zresztą jest to niewątpliwie prawo Boże...

– No, już ty mię⁹ aby nie ucz, co mam robić na świecie! Matka was pouczyła tych na mnie gadań. Sama gada, Aniela gada, teraz nareszcie i ty... Ale ostatecznie, co wolno matce, tego tobie nie wolno – rozumiesz?

Ściągnął dramatycznym ruchem rękawiczkę i wykonawszy szereg ruchów istotnie wytwornych przesiadł się pod okno, tyłem do córki.

Stało tam tak zwane biurko, grat poobłupywany, ze starą politurą, przywalony mnóstwem cacek najrozmaitszego

⁹ *mię* – daw. forma zaimka, co do zasady występująca w pozycji nieakcentowanej w zdaniu; w pozycji akcentowanej zastępowana formą **mnie**, analogicznie do form *cię*/*ciebie*. [przypis edytorski]

pochodzenia. Kiedy Ewa wróciła ze smutkiem na brzeżek swego łóżka, stary pan (ze zmarszczoną groźnie brwią) wydobył z kieszeni kluczyk, otworzył i wysunął szufladę i zagłębił się w połówki papiery. Jedne z nich rozwijał z gazet, inne pobieżnie przeglądał, inne wreszcie starannie czytał. Ewa miała oczy spuszczone na książkę, ale myśli jej wbrew woli, uporczywie zaglądały zza ramion ojca w owe papiery. Wiedziała przecie aż nadto dobrze, że pod pozorem przepatrywania starych próśb o posady, świadectw, zawsze „chlubnych”, listów polecających i bilecików odczepnych, ojciec wydobywa na światło dzienne i korzystając z nieobecności żony odczytuje dawne listy miłosne od rozmaitych dam swego serca. Kopie się w skarbach swych. Wzdycha.

Rokrocznie przecież około Wielkiejnocy to czyni.

Gdy słońce przygrzeje, gdy fiołki zapachną w zatęchłych ulicach Warszawy, oddaje się sekretnej pasji przeczytywania żółtkłych listów. Ewa z matką czytały je również, dobrawszy się do szufladki za pomocą pewnego kluczyka, a cała rodzina miała na określenie tej czynności wyrobioną nazwę.

Mówiono, że tatko przewietrza swe miłostki i przesypuje je naftaliną.

Oczy jej mimo woli znowu poszły ku ojcu. Patrzała na prześliczny profil tej twarzy, widziała niezrównane piękno rysunku subtelного nosa, doskonałego istotnie kształtu brody, zarysu oka, ucha, owalu głowy. Serce jej poczęło bić z żalu.

To prześliczne białe czoło, tak doskonale lekkomyślne, to

czoło „pańskie” poryły już, ośmieliły się poryć wzdłuż tyloletnie myśli o posadzie. Dookoła najcudniejszych męskich oczu, oczu, nad którymi, zdawało się, starość nie będzie miała siły wykonać swej władzy, utworzyła się trwożliwa sieć zmarszczek. Białe, wypieszczone ręce ze szlifowanymi paznokciami, ręce bezsilne i bezwładne, pośpiesznie mięły, przerzucały stare papiery. Ewa poczuła, że zagłębiając się w myśli o ojcu popadnie w grzech, że już się grzechowi oddaje, płacząc nad jego dolą. Bo gorzko bolała nad tym, że ojciec cierpi patrząc na żółtkłe listy, na minione miłości, na zaszłe już słońce swego życia... Westchnęła patrząc mimo wiedzy na natarczywą wszędzieobecność grzechu, na jego niezwalczoną władzę.

Zrozumiała, że nie powinna teraz pozostawać w jednym pokoju z ojcem. Wstała tedy i na palcach wyszła. Było jej lekko, grzesznie, ale lekko na myśl, że wyświadczy mu usługę, gdy będzie mógł bez świadków i bezkarnie czytać swe „dokumenty”, wzdychać nad nimi bez kontroli i upuszczać w martwe papiery martwe łzy.

Zamykając drzwi bez szelestu, z uśmiechem anielskim, widziała, że nie odwrócił głowy. Westchnęła bez możliwości powzięcia myśli, że grzech już spełniony... Miała zamiar pójść do kuchni i tam między szafą i zlewem, w kącie, odprawić dalszy ciąg medytacji, ale oto przypomniła sobie o wolnym chwilowo pokoju i, uradowana niewymownie tym odkryciem, weszła tam natychmiast.

Pokój ów od kilku tygodni stał już pustką. Jak trzy inne,

był wynajmowany przez rozmaitych „kawalerów” i nosił na sobie ślady kawalerskiego żywota. Tapety na ścianach były tak poobdzierane, pełne dziur, z których sypało się suche wapno, usiane istnymi ranami od gwoździ, bretnali i haków, wbijanych w miejscach najmniej prawdopodobnych – jakby w obrębie tych czterech ścian toczyły się jakieś zapasy na drągi, maczugi, dzidy i włócznie. Dookoła drzwiczek pieca kafle były spękane, przepalone i czarne. Rura blaszana, uchodząca z wierzchołka jego w ścianę, okryta była kurzem i popiołem, a całą okolicę swego istnienia powlekła sadzą. Sprzęty, jak łóżko, szafka, potworne obrazki, służące jakoby do „ozdoby” lokalu – wszystko, na co padły oczy, było sponiewierane, poniekąd udęczone, jak rzecz cudza, a przecie należąca do tego, kto za jej chwilowe posiadanie płaci – więc wyzyskana i wzięta niejako za gardło. Stolik, którego najszczerzej sosnową prostoduszność suto i wielokroć powlekła politura domowego rozprowadzania, znowu miał na wierzchu swym pobojuwisko pełne dziur, bolesnych oparzelisk od węgli samowarowych, od szybko nastawianych maszynek, i istne rany wystygłe od żrących jodyn, terpentyn, spirytusów oraz kawalerskich soli i kwasów. Podłoga była nie dość że wydeptana, ale wprost powygryzana gwoździami obcasów. W rogu, gdzie zanudzała swym widokiem ohydna „umywalka” blaszana z drzwiczkami wiszącymi na jednym haku, było najbardziej sponiewierane miejsce pokoju.

Ewa wszedłszy tam doświadczyła uczucia ohydy. Nie, nie będzie w stanie modlić się w tym miejscu! Pokój ten był czymś

publicznym, zużytym i, jako właśnie rzecz publiczna, jakby oplutym i spapranym. Wszelaki brud życia zdawał się cuchnąć ze ścian, kurzyć się z podłogi, kątów, szpar, sprzętów... Wśród tego wrażenia, potykając się o myśl, co robić teraz, stojąc bezradnie z przymkniętymi powiekami, Ewa znienacka ujrzała prawdę: toż to jest obraz mojego życia przed spowiedzią!

W tejże chwili nawiedziła ją łaska skruchy i łaska głębokiego żalu. Po wtóre, a z równą siłą, jak w chwili szeptania drżącymi wargami w ślad za głuchym łoskotem serca słów Spowiedzi Powszechnej, popadła w rozczulenie ducha. Po wtóre stała się duszą grzeszną i drżącą ze wstydu pod nawalem ciężkiego aktu. Ciało jak przy konfesjonale osunęło się na ziemię. Kolana uderzyły o podłogę, głowa bezwładnie oparła się o plugawą ścianę.

Z warg gorzkich i suchych padały słowa surowe, niezblągane, pełne najoczywistszej prawdy: „Ja grzeszna spowiadam się Panu Bogu Wszechmogącemu”...

Owładnęły nią ataki, głuche impulsy i dreszcze rozbudzonego sumienia. W drżeniu ciała, w trwodze i prostracji¹⁰ szukała po ciemku w głębinach duszy – czy wszystko, czy wszystko? ... Wyrazne, niemal olśniewające wspomnienie nasunęło tamtą chwilę: zgubiony w drodze do domu zarys twarzy spowiednika, brzmienie jego szeptu, szczególny sens każdego wyrazu i osobliwą, męską niejako barwę i bryłowatość słów. Pamiętała coraz żywiej tę chwilę, kiedy ujrzała tuż za grubą i kanciastą

¹⁰ *prostracja* – wycieńczenie psychiczne. [przypis edytorski]

kratką błysk szychu stuły i jakąś fioletową jej półbarwę; dolną część ucha, nieco rdzawego policzka z sinością świeżo ogolonych włosów... Pamiętała początkową oschłość głosu, zapytań martwych, jakby urzędniczych. Powtórnie przeżyła wrażenie przejmującego popłochu, sromu bezgranicznego, iście kobiecej niedoli, ową chęć ucieczki chyba pod posadzkę, kiedy kapłan zwrócił się ku niej twarzą, zatopił oczy w jej oczach, długo nie spuszczał wzroku z twarzy i słuchał. Przyszło ku niej dobrotliwe wspomnienie zmiany jego głosu, przeobrażenie się suchej indagacji w natchniony i bolesny obrządek dobrowolnych zwierzeń, do gruntu, do samego dna, w tajemniczy sakrament, pełen potęgi ściskającej serce.

Gdy już była wyznała grzechy i, bezmiernie zmęczona, bezsilna i jakby mieczem ścięta, blada i odrętwiała, uczepiła się kurczowo palcami gzymsu konfesjonałowego – a on wtedy zaczął mówić...

O słodka, cicha mowo! Nauko mądra i pokorna! Ewa czuła jeszcze na policzku gorący oddech i martwe, pełne mgły spojrzenie oczu. Słyszała w sobie zaklęcia i prośby, krzyki ducha tego młodego sługi ołtarza, żeby została niewinną i żeby pokochała cnotę. Mówił jej wtedy za świętym Cyprianem, że dziewice są to kwiaty wonne Kościoła, że są to arcytwory piękności, ozdoby naszej ludzkiej natury, dzieło jej doskonałe i niepodlegające zepsuciu, obraz Boga, w którym wizerunek swój ma świętość naszego Zbawcy... Mówił jej wtedy słowy¹¹

¹¹ mówił (...) słowy (daw.) – dziś popr. forma N.lm: słowami. [przypis edytorski]

aniołów z Apokalipsy, śpiewających tę pieśń nową, że dziewice są istotami „kupionymi z ludzi”, gdyż one „naśladują Baranka, gdziekolwiek idzie, a w ustach ich nie masz zdrady”.

Mówił jej słowa świętego Pawła z listu do Koryncjan, że ten, co nie pojął małżonki, stara się o rzeczy Pańskie i pełen jest pragnienia, żeby się Bogu podobać. Ten zaś, kto pojmie żonę, stara się o rzeczy świata i pełen jest pragnienia, jakoby się żonie podobał. „Która nie poszła za mąż – mówił – stara się o rzeczy Pańskie, aby była święta ciałem i duchem”. Wspomniała sobie teraz wyraźnie, jak, bezpośrednio zwracając się do niej samej, kapłan począł omawiać grzechy niby brzemie wstrętnych rupieci złożone u jego stóp.

Słowa jego były prawie nieśmiałe, określenia delikatne i nad wszelki wyraz dyskretne. Zdawało się, że to lekarz doskonały świadomymi palcami dotyka środka ognistej rany. A jednak nie zapomniał o żadnym grzechu. Pamiętał każdy z nich z wszelkimi szczegółami. Widać było, że od razu pojął całkowite życie, wszystkie sprawy domowe. Nadto stało się rzeczą oczywistą, że nie tylko przewidział wszystko, co mogło się stać w danej chwili, w danych warunkach, ale odczuł uczucia, wątpliwości, pokusy... Mówił śmiało o piękności cielesnej, nie jako człowiek i młody mężczyzna, lecz jako mędrzec daleki, który widzi i rozważa zjawisko, bada i roztrząsa wszystko bez wyjątku, bo nawet swój stosunek do tej piękności.

– Jesteś piękną – szeptał w natchnieniu – jak kwiat lilii, jak gałąź bzu albo jak młoda róża. Bóg miłosierny dał tobie

jednej jedynej to, czego odmówił tysiącowi niewiast: piękność niezmierną. Któż pojmie, dlaczego tak uczynił? Byłaby to rzecz straszliwa, sprawa przerażająca i haniebna, gdybyś sponiewierała ten dar niebiański, gdybyś go uczyniła swoją własnością. Byłoby to dzieło potworne jak złupienie świątyni, jak sprofanowanie kielicha. „Ciało twoje jest kościołem Ducha Świętego, który w nas jest, którego mamy od Boga, a nie jesteśmy sami swoi”. Płomienne wersety listu do Koryncjan tak mówią. Pomyśl – szeptał – wszakże niczym nie przyczyniłaś się do piękności swego oblicza. Stało się ono pięknym pomimo nawet twojej wiedzy. Utwórzże w sobie duszę anielską, co w twojej jest już mocy, i stań się tak piękna, jak jesteś piękną cieleśnie, ażebyś była i duchem podobną do aniołów. Nie prowadź nigdy rozmów lekkomyślnych, bo „złe rozmowy psują dobre obyczaje” – mówi święty Paweł. Zamykaj oczy przed widokiem grzechu...

– A co jest grzech? – spytała.

– Grzechem jest zły czyn człowieka.

– A który czyn jest zły, jak poznać?

– Czyn ten musi być przede wszystkim dobrowolny. Wola ludzka ma podwójne zastrzeżenie: jedno bliskie, to jest rozum ludzki, drugie dalsze, prawo przedwieczne, czyli rozum Boga. Grzech tedy jest obrazą Boga. W grzechu nędzne stworzenie podnosi rękę na Boga. Przyczynę grzechu stanowi rozum i wola. Dalszą, wewnętrzną przyczynę stanowi wyobraźnia i pożądlivość. Święty Tomasz, oprócz pożądlivości, wylicza jeszcze nieświadomość i złość. Ale przyczyną zewnętrzną,

stojącą poza człowiekiem, może być tylko inny człowiek albo szatan. Czytamy w Piśmie, że „Bóg zatwardza i zaślepia grzeszników”... Co to znaczy? Znaczy to, że Bóg nie daje łaski człowiekowi grzesznemu. Święty Tomasz z Akwinu w dziele swym *Questiones disputatae*, w rozdziale o źródle grzechu mówi. „Na pytanie, czy Bóg może być źródłem grzechu, odpowiedź jest, że tak”... Szymon Magus, manichejczycy, Luter, Kalwin, Cwilingiusz, Beza i inni kacerze za przyczynę i rzeczywistego sprawcę grzechu uważali Boga. Ale Sobór Trydencki stwierdził, że jeśli by kto powiedział, że nie jest człowiek w możności drogi swoje złymi uczynić, lecz tak złe czyny jak i dobre Bóg wykonywa... niech będzie wyklęty. Wszystkie przyczyny pobudzające do grzechu można zawrzeć w jednym wyrazie – pokusa. Szatan, nie mogąc wywierać wpływu bezpośredniego na wolę człowieka, zaciemnia jego rozum, działa na wyobraźnię, podnieca żądze. Więc złą jest wszelka pokusa. Nie czytaj nigdy książek utworzonych dla szerzenia grzechu, nie oglądaj rysunków i malowideł ohydnych, a główna rzecz – nie myśl nigdy o rzeczach, które są urocze na zewnątrz, ale wewnątrz plugawe. W nich to mieszczą się pokusy szatana. A teraz co do ludzi... Wszak prawda, że gdy idziesz ulicą, zwracają się na ciebie setki spojrzeń ludzi młodych – nieprawdaż?

– Tak jest... – wyszeptała była wówczas.

– Wszak prawda, że gdy mijasz orszak młodzieży płci męskiej, doświadczasz uczucia nieokiełznanej wesołości, idziesz jak gdyby przez aleję pełną światła, róż i zapachu? Wszak

prawda, że spojrzenia osób zupełnie ci nieznanych budzą w tobie jakąś niespokojną, niemieszczącą się w ciele rozkosz, której nazwać nawet nie sposób? Otóż – niechże te spojrzenia nie budzą w tobie radości. Od tego zacznij. Z chwilą, kiedy zwyciężysz nędzną dumę z tego tytułu, żeś piękna, i niską radość, że uliczni panowie obrzucają cię zuchwałymi oczami, a zaczepiają uśmiechem, wejdiesz na drogę poprawy, bo na drogę zdeptania pokus – a z niej na stromą ścieżeczkę doskonałości. Na tej ścieżeczce znajdziesz stan łaski. Przyjdzie czas, że nie będziesz się pyszniła przed samą sobą nie tylko z tego powodu, żeś piękna, ale nawet z tego, żeś czysta duszą. Wówczas nie trzeba będzie zadawać pytania – co jest grzech i jak grzech poznać, bo zbliżysz się do stanu prostoty samej w sobie, która nie dopuszcza do siebie brudu, a tak idąc dojdiesz do źródła świętej pokory, do tego, co wielki apostoł Paweł nazywa „miłością i duchem cichości”.

Wtedy to ośmieliła się spytać:

– A czy taki stan – „miłość i duch cichości” – nie jest egoizmem?

Kapłan zadziwił się i pytał po chwili milczenia.

– Jakże to miłość może być egoizmem?

Nie umiała oczywiście wyjaśnić... Jąkając się, bełkocąc sylaby poczęła coś pleść o tym, że stan własnej cichości ducha wobec męczarni i huraganu żądz, jakie znosi ten, na przykład, co zamordował człowieka, albo ten, co ukradł, ucieka, kryje się, truchleje – jest egoizmem, gdyż jest niejako używaniem bogactwa, spokojem bogacza w obliczu ogromu nędzy tych, co

nie mają, czym by płaczące dzieci nakarmić.

Kapłan zwrócił na nią spojrzenie. Widziała niegasnący uśmiech na jego wargach. Wreszcie ciche, wzniosłe słowa:

– Wyucz się modlitw własnych, ukochanych, słów-potę i symbolów, które jak miecz rozcinają pokusy. Wzdychaj cicho, z uporem, z męstwem, z niezłomną wytrwałością. Stan łaski nie będzie ci odjęty. Gdy w tej chwili uczynisz mocne postanowienie poprawy...

Teraz właśnie nasunęła się przed oczy ducha istna radość: mocne postanowienie poprawy! Za chwilę wołała na siebie:

„Nie, nie, siostrzyczko! Nie mocne postanowienie poprawy, lecz poprawa sama!”.

Złożyła swój *Panthèon littéraire*¹² na skancerowanym stoliku i chyłkiem pobiegła do kuchni. Tam, słowa nie mówiąc Leośce, rozrobiła z mąki i wody talerz lepkiego klajstru, zabrała ze sobą ścierki mokre, szczotki, butelkę z lakierem czarnym i drugą z farbą białą, nadto różne niezbędne zamszowe skórki, puszkę z zaprawą do podłóg, kredę itd. Obładowana tym wszystkim wróciła do pokoju opuszczonego przed chwilą. Zamknęła na klucz drzwi, zrzuciła z ramion stanik i zabrała się do pracy. Szybko popodklejała wiszące i odstające strzępy tapetów skrawkami, doskonale utrafiając w deseń, z istnym artyzmem pozalepiała wybite dziury. Oczyszczyła piec, a czarne szpary między kaflami zaciągnęła „śnieżystą” masą gipsowokredową.

¹² *Panthèon littéraire* (fr.) – panteon literacki, tj. zbiór najważniejszych dzieł (tu: ulubionych). [przypis edytorski]

Wytarła potworną rurę pieca – i wówczas dopiero zabrała się do podłogi. Starła ją mokrymi ścierkami i w miejscach najbardziej zdrapanych pomalowała farbą. To samo uczyniła z parapetem okna. Wówczas przyszedł czas i na stolik. Pracowicie a z bajeczną wprawą nalewała na zamszową skórę resztki zaschłego w butli lakieru i trąc nimi silnie powierzchnię nie tylko zniweczyła ślady oparzeń, ale nadto obdarzyła stoliczysko „wyrazem” zupełnej (no, względnie!) nowości. Radość biła na duszę jej, kiedy stół z potwora, ze wstrętnego grzesznika przeistaczał się w cudo wdzięku, śmiał się do niej swą lustrzaną, czarną powierzchnią ten stół z krzywymi nogami, zaiste jak twarz człowieka, któremu grzechy jego odpuszczono.

Gdy tak szybko, chwytając oddech i wyrzucając ramiona, z zaciśniętymi zębami tarła ów stolik, włosy jej rozpuściły się i burza ich spadła na obnażone ramiona. Prześliczne, królewskiej piękności ręce ustały od pracy. Do głowy krew uderzyła. Oczy zasłoniła mgła strudzenia. Ewa bez sił usiadła, a później położyła się na wznak na żelaznych prętach pustego łóżka, niby na ruszcie piekielnym. Objęła oczyma pokój – i cała przemieniła się w uśmiech. Toż to już nie obmierzły „pokój pojedynczy przy rodzinie, z samowarem i usługą” – toż to jest cela świętej Teresy.

Jeszcze tylko widoku nieba!

Wstała leniwie i mocnym ruchem na ścieżaj otworzyła okno. Za chwilę leżała znowu na prętach żelaznego łóża, rznących ciało jak włosiennica. Jednym ruchem ręki ujęła wszystkie włosy i położyła je sobie jak poduszkę pod głowę.

Przyszło jej na myśl to słowo: „Włosiennica... Włosiennica!”.

Ach, spróbować! Zacząć! W tajemnicy przed wszystkimi. Mama spostrzeże... No, mamę można przypuścić do sekretu. A więcej nikt... Tatkę by można, ale to papla... Jeszcze by wygadał Horstowi... Do czego też dojść można ujarzmiwszy włosiennicą ciało... Źródło świętej pokory... Wówczas to – boska radości! – miała przez chwileczkę w powiekach widzenie niejake postaci. Twarz biała, oczy zgasłe, kwef śnieżysty... Poszepnęła sobie samej wśród tumultu myśli, wśród rozruchu uczuć: „Święta Tereso, pójde za tobą... Tyżeś to, ty? Święta Katarzyno, co koło swojej męki i miecz katowski, symbole swego męczeństwa, niesiesz – tyżeś to, ty? Pójde za tobą... Niepokalaną duszę Nieśmiertelną Oblubieńcowi zachowam... Wdzieję włosiennicę i będę się biczowała co dzień wieczorem”.

Znikło widzenie.

Miała przed oczyma niebo. Teraz je dopiero spostrzegła i zawołała na nie z głębin otchłani duszy:

„O niebo!”.

Wiosenne, kwietniowe, rozkwitłe, przedwielkanocne obłoki płynęły i powiewały w głębokości niebieskiej. Jedne były śniade, w głębiach swych kłębow stalowosine lub bure, ale obrzeżone pozłocistą białością, zrodzoną ze szczerego słońca – inne fiołkowe i miłosciwe dla oczu jak bukiety, jak smugi fiołków. Za obłokami taił się tęgi błękit jakoby przecudny bóg młodości z łukiem naciągniętym przez niezłomne jego ramię i z czujną, chybką, pierzastą na cięciwie strzałą.

„Obłoki, obłoki...”.

Widziały się jakoby burza ciągnąca, jakoby przednie cugi i tabor gromów, jakoby sztandary i zwiastuny czyhających za skałami piorunów, piętrzyły się chyżo białymi masami niby wierzchoły Alpów, a były jeno przeczystą pogodą. Tam i sam przemykał się wśród nich mars ciemnosiny, podobien do tarczy stalowej i, roztrącając rozkoszną słabość a cichą dobroć siostrzaną, ukazywał za sobą okienko nieba wiecznego. Oto z głębin wznosiły się kłębami śnieżnobiałe mocarstwa, moce, panowania, księstwa... Pływały za ramę okna i ginęły. Ginęły tamże jakoweś wojny trojańskie, punickie, wędrówki narodów, pochody krzyżowe, zmagania się plemion trzydziestoletnie, rewolucje pełne zgrozy, krzyku i krwi... Rozwierały się wybrzeża skalne, które otaczają błękitny ocean bez początku i końca... Niosły się same obłoczki, rozwiane, siewne i powłóczyste, nic o sobie i swej piękności niewiedzące, a których istnienie było po to, żeby dać świadectwo piękności – i zginąć. Ciągnęły się wzajem ku sobie i ginęły jedne w drugich, podobnie jak miłosne spojrzenia.

Chmurki te, chyżo lecące w niebiosach, ścisnęły serce widokiem swoim. Złotymi nićmi, co w oczach stają się wraz poniekąd białością i błękitem, oplatały duszę. Z najodleglejszych głębin wypłynął obłoczek biały jak poranny śnieg – w oczach rozszerzył się, rozpostarł białe skrzydła... Usta Ewy z radością, bojaźnią i czcią wyszeptaly:

„Serafin...”.

Wszystka istność duchowa podała się ku niemu, a ciało zawisło niejako w powietrzu. Zaostrzył się zmysł słuchu i powonienia. Zmysł widzenia i zdolność pojmowania wzrosły bez granic. Można by wówczas zaiste rozumieć skomlenie i ryk zwierząt, słuchać dziejów ich cierpień, wiedzieć, co wyśpiewują ptaki, pojmować, co między sobą szepcą szelesty sitowia nad głębinami wód. Można by ogarniać jestestwem swoim dzieje wewnętrzne skał i tragedie głębiny ziemskiej, można by podsłuchać, czemu płaczą i jak – warkocze brzoź nad wybojami dróg zdeptanych przez bose nogi i przez kopyta smaganych koni... Jasne obłoki poczęły rymować się w dźwięki precudne, jak wiersze wyjęte z głębin, z pokładów mowy pospolitej, z języka narodu, jeły przepływać w melodie, których piękność i najwyższa doskonałość powinna by zostać na wieki, podobnie jak zostaje diament urodzony w grubych pokładach czarnego węgla ziemi. W duszy zabrzmiał śpiew jednogłosny duszy przeistoczonej w anioła, a może i śpiew tronów, cherubinów, serafinów, aniołów i archaniołów, rozlegający się pod niebem, płynący po rosach obłoków, po niwach, siołach i miastach na rozległości ziemskiej – hymn węglem żarzącym w sercu pisany:

„Jakże szczęśliwy jest człowiek, który zwyciężył grzech i wytrącił go z serca! Jakże szczęśliwy jest płynąc w kompanii obłoków!

Płynie ku Bogu swojemu, śpiesząc się co prędzej a bez odpoczynku, żeby w Jego drzwi zakłatać. Jakże szczęśliwy jest człowiek, idąc na klęczkach po schodach niebieskich na obraz

chłopów ciągnących do cudownego w Częstochowie obrazu! Jakże szczęśliwy jest człowiek, kiedy Pana może przyjąć w ciało swoje niewinne i nosić go pod sercem czystym!

Otom się stała, Panie, aniołem Twoim i w obłok odziana leżę w niebiesiech. Ręce mam splecione na sercu głośno bijącym, a w ciele czuję rozkosz bytowania. Nic nie wiem i jestem ciemna. Łaska Twoja, wiosenne światło – na duszy mej. Woń fiołkowa – dziecięstwo moje – znów ze mną. Jedno szczęście kołające serca mojego pod dłońmi słyszę. Spalę się jako kadzidło, a jako dym błękitny kadzenia z ręki anioła wstąpię przed Twe oblicze. Oczy zatapiam w Twój błękit bez granic, a ustami całuję siostry me chmury – serafiny, chmury – anioły...

Zobacz mnie, Panie, grzeszną i dźwignij mnie z prochu ziemskiego. Pokropisz mnie hyzopem i będę czystą, obmyjesz mnie – i nad śniegi bielszą się stanę. Będę, jak obłok powiewny, bielsza od śniegu, Twoich przebitych nóg rany czerwone przewijać sobą. Stanę się gładkim i wonnym płateczkiem róży rumianej, co pod słońcem wiosny ogorzał – na rany Twoich rąk przypadnę niepostrzeżona”.

Z tych marzeń, jakoby z twardego snu, wyrwał ją nowy głos dzwonka. Ocknęła się z trudem, z przykrością. Poznała niezwłocznie, że to dzwoni obca ręka. Tak nie mógł dawać znać o sobie nikt z lokatorów i nikt z domowych. Niechętnie wdziała na siebie suknię, związała prędko włosy, zabrała rozrzucone naczynia, narzędzia i farby. Pomknęła do kuchni. Kuchnia była pusta: Leośka gdzieś wyszła. Ewa zajrzała do pokoju

mieszkalnego. Tam siedział nad papierami stary pan. Nie wiedział o niczym. W takich chwilach nie wolno mu było przeszkadzać, gdyż był jak poeta w chwili natchnienia.

Ewa z pośpiechem przyczesła i przywiodła do porządku włosy, suknię, stanik, szybko umyła twarz i ręce, a gdy dzwonek powtórnie i ze zdwojoną natarczywością się ozwał, pobiegła drzwi otworzyć. Za progiem stał jegomość mniej więcej trzydziestoletni, porządnie ubrany. Uchylił kapelusza z zapytaniem:

– Czy to tutaj pokój do wynajęcia?

Ewa usunęła się ode drzwi i wpuściła go do korytarza, a następnie do pokoju. Pod nieobecność służącej i matki, które korzystały z niedzieli, musiała przedstawić zalety i wyłuszczyć cenę lokalu.

Młody pan z pewną mrukliwą niechęcią rozglądał się po kątach, kilkakroć w nieznośny sposób badał rurę do pieca, rewidował oczyma rokokowe przegięcia prętów i nóg żelaznego łóża. Zdawało się, że nic z tego, że nie wynajmie. Ewa, nie patrząc już na niego, czekała za progiem. Jeszcze raz spytał o cenę, o samowar, służącą, zajrzał tu i tam, a wreszcie oświadczył, że zajmuje ten pokój i zaraz znieśie tu swoje rzeczy. Wydobył pugilares i zapłacił od razu 15 rubli za miesiąc. Ewa z radością trzymała w ręce trzy papierki i mimo woli, bez słów modliła się dziękczynnie. Nigdy bardziej te pieniądze nie były w domu potrzebne, nigdy bardziej w porę nie zjawiła się taka suma. Zaiste!... Pan Bóg chyba posłał tego człowieka...

Przez chwilę wspomniała sobie pracę przedgodziną w tym pokoju – fizyczną i duchową – i nie wiedzieć czemu – z najgłębszej, „anielskiej” głębokości serca spojrzała przejrzystymi do dna oczyma, z dołu w górę. Uśmiechnęła się do przybyłego lokatora. Wyrazy drżały na jej wargach... Gdybyż on wiedział, jak dalece ludzie są braćmi i dziećmi jednego Ojca! Gdybyż on wiedział, kto go tu posłał!...

Ale, o dziwo! wtedy dopiero ujrzała tego pana. Bokiem do niej zwrócony, od niechcienia, spod powiek i z ukosa patrzył na nią. Spostrzegła jego czoło białe, prześliczne i w mig nazwała je za poetą „upojonym myślami”. Zauważyła jego prosty nos, lekki, ciemny zarost, usta wykrojone delikatnie, i nazwała go w myśli: „jakiś taki swój człowieczyna”. Ale nie było to trafne, boć widziała, jaki to arogant i pyszałek. Wyszedł z pomrukiem, że każe tu natychmiast znieść z dorożki rzeczy. Mówił jak do służącej, gdy stała w korytarzu... Uśmiech jej poszedł za nim, gdy się już drzwi zamknęły.

– Gdy mama przyjdzie – ileż to na raz szczęśliwych nowin! Liczyła: „Rozgrzeszenie, pokój wynajęty, 15 rubli gotówką – i cóż to jeszcze?... Coś jeszcze takiego”... Najważniejsze to, że wynajął nie studencina, nie „obibok”, nie byle jaki warszawiak, lecz ten pan. Kto też to może być?... Tak... Zamelduje się, co pewna, ale żeby wiedzieć...

Wróciła do pokoju i usiadła w swoim kąciку, nic ojcu nie mówiąc o tym, co zaszło. On przez ramię, ze zwykłą flegmą i wielkopańską zapytał:

– Kto to przychodził, dziecino?

Odpowiedziała niezdecydowanie, *to to tam...* lokator... Tymczasem nasłuchiwała cicho, pełna wzruszenia, podrażnienia, jakby rozłaskotania duszy. Pragnęła, żeby matka przyszła jak najprędzej i żeby sama wprowadziła sobie owego mruka. Tymczasem dzwonek uderzył znowu. Pobiegła. Wszedł „ten pan” ze stróżem i posłańcem, dźwigającymi jego rzeczy. Były nieliczne i niebogie: kosz, wyszarzały tłumoczek podróżny, lekka jakaś kołdra w paskach, skórzana poduszka. Wstydliwie i nie tak już wyniośle lokator umieścił swe rzeczy w pokoju, zapłacił tragarzy. Ewa czuła się w obowiązku zawiadomić go, że niektóre miejsca w pokoju są świeżo pomalowane olejną farbą, białą – tam znowu żółtą. Weszła tedy w otwarte drzwi i wskazała parapet, podłogę... Czuła przy tym, że wszystko jest w ogniach. Zrobiło jej się nad wyraz przykro i wstyd.

Przytrafiło jej się to, co zawsze, gdy była prezentowana – to jest, że nic nie widziała, traciła zdolność widzenia rzeczy. Miała o to głuchą pretensję do tego jegomości i do siebie. To, że przed chwilą była tu bez stanika, tylko w koszuli, zdawało się być wiadome temu panu, widoczne dla jego oczu, utrwalone niejako w kliszy fotograficznej.

Zarazem przemknęło jak obłoczek wspomnienie anielskich marzeń w tym miejscu, gdzie teraz leżą jego obce, męskie rzeczy... Senny smutek... Smutek, wiosenny cień... Jakowaś postać żalu czy, z niewiadomej przyczyny, wyrzutu sumienia...

Nowy lokator kilkakrotnie ukłonił się chłodno a bez wdzięku. W tłoku swych wrażeń usłyszała jego głos:

– Dziękuję pani... Zresztą... To drobnostka. Będę uważał. Pozwoli pani, że się jej przedstawię: Łukasz Niepołomski.

Obojętnie przyjęła do wiadomości to imię i nazwisko.

Słyszała jego głos jakby z pewnej oddali. Odpowiedziała strzępkami wyrazów – „bardzo mi przyjemnie” i pośpiesznie wymknęła się z pokoju.

Uniosła ze sobą obraz jego twarzy i znieruchomiały wizerunek spojrzenia. Spojrzenie było uważne, badawcze, zdumione i zastygłe.

Była nareszcie znowu w swym kącie, za parawanikiem. Ujęła książkę religijną, rozwarła ją w dawnym miejscu i, z oczyma wbitymi w stronicę, zastygła w sobie, usnęła duchem. Był to już drugi dnia tego sen jej duszy. Poznała go po szczęściu, które rozsiewał. Wciągała w siebie szczęście, jak stęsknione płuca wciągają radosne powietrze wiosennego poranka. Odkrył się przed nią obręb samego dobra. Nagle i niespodziewanie się rozwarł niby dolina błogosławiona w skalistych górach.

Błądziły tam powiewy bezinteresownych trwóg, lęki duszy o coś jej obcego, troski o kruchą i słabą nad wszelki wyraz koronę kwiatu, widną zza krat w pańskim, w królewskim ogrodzie. Jedno nieszczęsne potrącenie może zabić na wieki wieków bezcenny kwiat. Czyje? Jakie? Skąd przyjdzie? Przesuwały się, na obraz mgiełek wiosennych w parowach gór, życzenia zwrócone w nieistnienie, objawiały się ruchy pragnień dążące w

stronę niewiadomą, rosły w tajemnicy przed wolą i wiedzą, aż do ogromu potężnych sił i stawały się jak wybuchowe miny uczuć dusznych, których piersi nie były w stanie objąć i zmieścić w sobie.

Z burzy tej wysunęła się nagle dobroć powszechna i łaska wszechobjmująca. Ona się stała krwią i mózgiem, ona ruchem cielesnym i życiem duszy, uśmiechem ust, wzrokiem i słuchem.

Gdybyż to uczucie trwać mogło wiecznie!

Gdybyż w tym stanie łaski żyć i umierać!

Ale ono nie trwa. Coś wewnątrz niego, w samym nim stało się nagle. Stało się niewątpliwie a znikąd, jak staje się w próżni ton muzyczny.

Rozdzielił, rozciął stan łaski na dwie połowice (jak ton rozcina ciszę), a one się jedna od drugiej posłusznie rozeszły. Wynikła z duszy i poczęła drzeć – tęsknota. Za czymś zupełnie nieznanym, za groźnym, za cudnym, za strasznym, a tak bliskim, jak bliską jest własna dusza, własne bicie serca, własny oddech. Coś objawiało się w głębokościach duszy i stanęło przed nią. Serce kołace przed Tajemnicą. Oczy szukają w mroku. Drży ciało.

A gdy jeszcze oczy szukają i ciało drży – już smutek idzie przez duszę. Sam jeden idzie, straszliwy i mądry. Wszystko przejrzał, nad wszystkim dumał.

Przeszedł, przeszedł, wlokąc za sobą czarny swój cień.

Załamiał suche, koślawe ręce... Dość ma: obaczył kres...

Serce się wznosi, czoło się dźwiga ku niebu. Oczy i usta

pragną. Usta szeptają¹³ błagalną modlitwę o jedną jeszcze poprzednią chwilę:

– Wróć się, wróć się, chwilo łaski...



Łukasz Niepołomski stał we framudze otwartego okna i obojętnie patrzył na zaułek podwórzowy. Obecność w tej nieznanej izbie czy obecność w tym miejscu Ewy sprawiła, że ruchy jego zleniwiały, wola gdzieś zginęła i rozproszyły się myśli. Popadł w stan jakby wycofania się z życia swego i chwilowego powrotu do stanów półświadomych dzieciństwa. Widziało mu się, że jeszcze słucha głosu złotowłosej panienki, że jeszcze wobec niej składa ukłon, a jednocześnie, gdy trwał ów stan siły wrażenia, niosła go złuda do miejsc dawno i zupełnie zapomnianych, do wsi we wczesnej młodości opuszczonej na zawsze. Miał w całej duszy, w oczach, w głowie, w uszach dwoistą świadomość, dwoiste niejako wrażenie.

Ta żywa, piękna dziewczyna wywarła nań urok jak gdyby (osobliwa rzecz!) nurtu głębokiej, czarnej, bujnej wody w rzece rodzinnej. Tam! Wytrysła w duszy jakby kopia przedziwna, jedyna w świecie, oryginału, niepodobna doń, a przecie taka sama co do siły i rodzaju. Wodę tę, śliskimi zwojami, skręty, kłęby pędzącą¹⁴, przebijało ongi¹⁵ poranne słońce.

¹³ *szeptają* – dziś popr. forma: *szepczą*. [przypis edytorski]

¹⁴ *zwojami, skręty, kłęby pędzącą* – dziś popr. forma N.lm: (...) skrętami, kłębami

Nad wartem¹⁶ jej bujały ważki błękitne. Widać było jej dno tajemnicze, niedostępne dla nogi, złote od piasku, czarnozielone od ruchomych porostów. Niegdyś w czasie była chwila, gdy stał nad tą wodą szczęśliwy i kochał ją bez granic wszechsiłą młodego jestestwa nie wiedzieć za co i nie wiedząc o tym, czego doświadcza.

Stała się ta chwila i na wieki, nieznana duszy, zginęła w przeszłości. Teraz odnalazła ją jakowaś władza jak zgubioną uriańską perłę i z wolna pracując, przemieniła w silną a oczywistą ideę. Panienka, co przed chwilą z tego pokoju odeszła, była jakoby tamta woda.

Taka sama. Wiecznie żywa, bezmiernie bujna, jasna, przezroczysta. Ani jeden jej ruch nie był w stanie spoczynku. Wszystko w niej było stawaniem się i żywotem. I była w sposób niepojęty, tajemniczo pociągająca, jak tamta rzeczna woda rodzinnej wsi.

Wspomniał, a raczej ujrzał po wtóre, jak słońce zanurzyło się przelotnie w jej włosach niby w żywiole swym rodzimym, niby w samym sobie – i jęknął cicho. Poczuł w sobie dziwne wzniesienie, jak gdyby on, rzeka i ta dziewczyna – to było jedno i to samo.

Starał się otrząsnąć z tego dziwactwa i odegnać je logicznym wywodem.

(...). [przypis edytorski]

¹⁵ *ongi* – dawniej, niegdyś. [przypis edytorski]

¹⁶ *wart* (neol.) – wartki nurt. [przypis edytorski]

– Wskutek wyteżonego rozwoju pojęć rozumowych czysto – rozmyślał – zaciera się zdolność odtwarzania sobie wypadków z życia minionego z taką samą intensywnością uczucia, jaka im towarzyszyła.

Są momenty, utrwalone w nieświadomym myśleniu, które mają cechę czegoś od naszej zdolności uczucia i myślenia odmiennego, jakowychś wprost poza nami bytujących stanów. Związek między nimi a nami jest luźny nad wyraz, a często żaden. Patrząc tak w odległość, doświadczamy wrażenia, że człowiek składa się z szeregu postaci, które częstokroć nie mają pomiędzy sobą nic wspólnego. Przemiana materii sprowadza ten skutek, że ciało odbudowuje się z nowych wciąż pierwiastków, z tego samego wprowadzie materiału, ale w nowych, wciąż nowych warunkach i formach bytowania. I do duszy wdzierają się pierwiastki nowe. Dawne giną. Człowiek jest jak owa rzeka dzieciństwa. Jak tam wciąż nowe wody płyną w tym samym łożysku, tak samo w nim nieustannie nowe – rzecz można – duchy przepływają w granicach tego samego ciała. Rzeka jest wciąż tą samą rzeką, lecz któż odnajdzie wody upłynione? Gdzie je odszukać? I jakże odnaleźć dokładne sformułowanie samego siebie?

Istotnie, w plastycznej formie można by je przedstawić chyba tylko jako szereg istot duchowych o najrozmaitszych obliczach. A im bardziej i wyżej człowiek wznosi się na szczeblach rozwoju, tym głębsze w nim zapewne zachodzić muszą różnice.

Z takiego pojmowania wieloosobowości jaźni wynika nowy

świat odpowiedzialności... W tak zwanym zbrodniarzu – ktoś wie? – karzemy może dawno pogrzebionego człowieka grzechu, może strącamy z Tarpejskiej Skały¹⁷ świętego, który z tamtym ma tylko wspólne imię i nazwisko...

Niepołomski uśmiechnął się z szyderstwem...

Przez całe życie dążył to tego, żeby poznawać, badać, zgłębiać. Wszystko, co jest pod utwierdzeniem, przekłuwac, przebijać, sondować jako przedmiot iglicą badania, zestawiać i wnioskować. Nie miało być w nim i poza nim nic, czego by nie znał, nie ujął pincetem¹⁸, nie rozciął skalpelem, nie rozdzielił mikrotomem i nie określił za pomocą sylogizmu. A oto przyszło wspomnienie chwili niewiedzy, momentu ciemności, który jednak był jakimś światem tajemnic, a którego niepodobna było niczym ująć, rozłożyć na czynniki pierwsze.

Jedno, z odległych skutków wnosząc, można było o naturze tamtej chwili nadmienić, że tkwi w niej jakiś splot, węzeł sił duszy elementarnych i niewiadomych, z którego na całe życie starczyć może uczuć wszelkiego rodzaju, czyli woli.

Byłaż to radość czy rozpacz, cnota czy podłość? – Nic nie wiadomo.

¹⁷ *Skała Tarpejska* – nazwa zbocza w płd. części rzymskiego Kapitolu, skąd w starożytności strącano w przepaść przestępców winnych krzywoprzysięstwa, złożenia fałszywego świadectwa, cudzołóstwa i zdrady stanu, a także niewolników, którzy dopuścili się kradzieży; nazwa od imienia zdrajczyni Tarpei, która zakochawszy się w wodzu Sabinów, wydała Kapitol w ręce najeźdźców, zwiedziona obietnicą małżeństwa. [przypis edytorski]

¹⁸ *pincetem* – dziś popr. r.m.: pincetą. [przypis edytorski]

Zadumał się, zagłębił i ujrzał przed sobą oczy o barwie gencjany górskiej i owej wody w rodzinnej wsi, oczy zakłète, oczy – wszechświat ducha, oczy najmądrzejsze i nieśmiertelne...

Usiadł na prętach żelaznego łózka i wodząc wzrokiem po nowo najêtej izbie posłyszał nagle zza ściany najrubaszniejszy śmiech męski i ochrypły, obmierzły chichot kobiecy. Drgnął cały i obudził się do rzeczywistości. Po chwili, chcąc rozpoznać, kto tak pięknie się bawi, wysunął głowę na korytarz. Głośny śmiech wychodził zza drzwi ozdobionych napisem: Adolf Horst, Filozof.

*

Około godziny piêtej tego samego dnia pan Pobratyński drzemał wśród połamanych sprężyn starej kanapy, jak zwykle o tej porze. Pani Pobratyńska pruła jakieś zatłuszczone barchany.

Ewa zajęta była reparacją domowej bielizny.

Na drewnianym stołku, tyłem do okna, siedział lokator Adolf Horst. Był to przystojny mężczyzna, nieokreślonego wieku (od lat 30 do 50), z twarzą najzupełniej zadowoloną i bystrymi oczyma. Był dosyć zażywny, nie do tego jednak stopnia, żeby go można zaliczyć do grubasów.

Twarz miał starannie wygoloną z pozostawieniem podskubanego wąsika, włosy ostrzyżone przy samiutkiej skórze, co niweczyło niemal bez śladu zarysy zbyt już rozległych kątów łysiny. Ubrany był w całym znaczeniu tego wyrazu porządnie i wykwinie, aczkolwiek suknie jego były dosyć wytarte i

powypychane na łokciach. Tuż u nóg lokatora Horsta leżał śliczny taks, długi i lśniący, nie spuszczać oka ani na sekundę z oblicza swego pana. Pan Pobratyński ocknął się już i poziewał.

Dało się słyszeć lekkie stukanie we drzwi. Brudne barchany, zwinięte jednym zamachem w potężny kłęb, znikły pod kołdrą. Lokal z lekka zatrzęsł się w posadach od podskoków matki rodu zdążającej do kuchni dla ukrycia negliżyków poobiednich.

Pan Pobratyński przybrał pozę wykwintnie niedbałą, jedno z arcydzieł swego ducha. Ewa otworzyła drzwi.

– Państwo przebaczą... – mówił Niepołomski, wchodząc do pokoju – pragnę złożyć rządcy domu moje legitymacje. Stróż mię objaśnił, że szanowny ojciec pani właśnie prowadzi meldunki w tym domu...

– Tak jest. Proszę pana... – rzekła usuwając się ode drzwi.

Gość wszedł do *cubiculum*¹⁹ rodziny (niedostatecznie przewietrzanego).

Stary pan z dystynkcją i pewną odmianką wdzięczności przyjął wręczone mu dowody legitymacyjne. Wyszukał okulary, nałożył je na nos i dopiero ministerialnym gestem przedstawił gościowi lokatora Horsta. Zarazem wskazał mu fotel, głęboki jak wanna-nasiadówka. Nowy lokator zapuścił się w głębiny starego mebla nie bez uczucia męstwa. Kolana jego znalazły się na linii krawata, a głowa i plecy utworzyły coś w rodzaju znaku zapytania.

Pan Pobratyński z wolna wydłubywał z szuflady papierosy,

¹⁹ *cubiculum* (łac.) – pokój sypialny. [przypis edytorski]

karty meldunkowe, przygotowywał pióro i był na tropie flaszeczki z atramentem.

– Pan dobrodziej przybywa tedy do nas z ulicy Wilczej? – rzekł pochylając głowę z uśmiechem poniekąd współczującym.

– Tak, z Wilczej.

– Tu ciszej, choć to i środek miasta... – dodał z ojcowską dobrotliwością.

– Kto lubi ciszę...

– A szanowny pan może woli gwar, życie? Rozmaite są temperamenty.

– Co prawda, to mi wszystko jedno. Nie myślałem o tym nigdy, co wolę: gwar czy ciszę.

– To dobrze, o, to dobrze! To znak, że się pan łaskawy cieszy zdrowiem. W dzisiejszym wieku, wieku neurastenii... – mówił stary pan, badając jednocześnie spoza okularów, jakie też wywiera wrażenie jego styl niepowszedni.

Gość nic nie mówił.

W ciągu tego czasu Horst nie spuszczał zeń oczu, mierzył go od stóp do głów, jakby mu brał miarę na ubranie albo na trumnę.

– Nie wiem, czy *służba* urządziła panu dobrodziejowi wszystko jak należy? – pytał jeszcze pan domu.

– Ja sam urządziłem sobie tam już wszystko, co mi jest potrzebne. Wymagam od służącej, żeby na czas czyściła obuwie, przynosiła bułki, samowar i, co najgłówniejsza, żeby nie wchodziła do pokoju, jeśli jej nie wołałem.

– I żeby, oczywiście, nie otwierała bez specjalnego

zaproszenia rzeczy pozamykanych... – dodał życzliwie Horst.

– Złote zasady! – wyrzekł pan Pobratyński.

– Nie wiem, czy to są jakie zasady – mruknął Niepołomski do siebie.

– Pan dobrodzieju, jak widzę, żonaty? – zapytał, a raczej stwierdził, patrząc w papiery, rządcą domu.

Chwila milczenia. Potem odpowiedź zimna i twarda jak potrącenie pięścią:

– Tak. Jestem żonaty.

Horst z cicha, z ledwie dosłyszalnym odcieniem wesołości zakaształ. Ewa przyjęła do wiadomości słowa wyrzeczone przez Niepołomskiego w taki sposób, jakby ją istotnie ktoś pięścią uderzył w głowę.

Uczucie brutalne, obmierzłe, uczucie rozczarowania oblało ją od stóp do głów.

– Czy i współmałżonka pańska zamieszka tutaj? – dopytywał się rządcą ze słodyczą.

– Nie.

Był to ten sam głos twardy i głuchy. Czoło zmarszczone, oczy jak z surowego żelaza...

– Bo gdyby chodziło o szczupłość lokalu albo, przypuszczam, o drugie łóżko... – wywodził pan Pobratyński – zdejmując skutek emocji okulary.

– Nie, panie. Toćbym żądał, gdyby zachodziła potrzeba. Żona moja... mieszka gdzie indziej. Przebywam tutaj, w Warszawie, właśnie w celu uzyskania z żoną moją rozwodu.

Ewa drgnęła wewnątrz. Olśniło ją światło, owionął zapach. Była to chwila radości, chwila nowa po tylu innych radosnych bieżącego dnia. Rumieniec z policzków spłynął dokądś, jakby na miejsce cichego spoczynku – i stał się rzewnym pytaniem:

„Czemuż się cieszysz, duszyczko moja?...”.

– Rozwód – mówił w zadumie stary administrator – twardy to orzech do zgryzienia, jeżeli ma go się otrzymać w naszym katolickim kościele.

– *Sapristi*²⁰! – dorzucił Horst.

– Tak jest, to twardy orzech – rzekł gość. Uśmiechnął się przy tym dziwnie, połową twarzy. Jego suche, śniade, pociągłe rysy jeszcze się bardziej zaostrzyły.

– Znam się trochę na tym – prawił pan Pobratyński – to to, szukając posady, człowiek ociera się o wszelkie sprawy tego padołu, a nadto miałem kuzyna, który był w sytuacji właśnie jak szanowny pan...

– A to pan poszukuje posady? – zapytał Niepołomski dość ostro, z pewnym namysłem, ale najoczywiściej dla przerwania epopei o kuzynie rozwodniku...

– Tak jest, łaskawy panie. W obecnej chwili... Pomimo nader licznych i najsolenniejszych przyrzeczeń, pomimo bardzo wpływowych protekcji... Taka trudność, taki zastój, takie przepakowanie ludźmi!...

– Hm... A w jakiej dziedzinie pan poszukuje zajęcia?

²⁰ *sapristi* (fr.) – dobre nieba, do licha itp. (emocjonalny wykrzyknik). [przypis edytorski]

Stary pan rozłożył ręce, podniósł brwi.

– Wszystko wezmę, panie łaskawy, od *a* do *z*, byleby kawałek chleba...

Uśmiech zaszczuty, pokorny, spłoszony, gotów przelać się w mars subordynacji czy w grymas rozpacz i pogardy... Horst ziewał. Nawet ziewanie jego było jakieś wesołe i hulaszczce.

– Ja tak oto pytam... Nie mam tu stosunków, bo mieszkam właściwie za granicą dla studiów.

– Pan dobrodziej jeszcze studiuje?

– Uczymy się do śmierci!... – uśmiechnął się Niepołomski. – Zajmuję się kwestiami naukowymi.

– A gdzie mianowicie pan... studiuje, jeśli wolno zapytać? – rzekł grzecznie Horst.

– Najłatwiej człowiek uczy się w Paryżu. Tam też siedzę. W Genewie również, w Belgii...

– Tak... – mruknął rządca.

– Wracając do posady... proszę pana, jakież są pańskie... właściwie warunki, no, wymagania, kwalifikacje...

– Pracowałem po biurach, przy buchalterii, pracowałem i w technicznej branży: byłem w Szulcowskich warsztatach magazynierem, byłem nawet ekspedytorem po redakcjach. Ale to... Mam chlubne świadectwa. I mimo to wszystko, łaskawy panie, na mój wiek podeszły wskazują. Młodzi nas biorą – oto rdzeń rzeczy. Stary pan jesteś, powiada jeden z drugim, idź precz! Młody nam składa ofertę na niższą cenę. A młodzi, panie, nieżonaty, może i za dziesięć złotych – bo byle na knajpę

i jeszcze na coś starczyło, to świat. A ty utrzymuj rodzinę... I nie ma rady!

– No, bo to i racja.

– Racja? Jeżeli się, łaskawy panie, przepracowało w branży lat okrągłych osiem... nieskazitelnie! „Racja”! O, nie, panie, nigdy, panie!

– Widzi pan dobrodziej – to sprawa życiowa, nie etyczna. Nie ma co!

– Mówilem... – dorzucił Horst zamykając kwestię.

– Ale ja nie jestem wcale stary. Jestem pełen sił. Dziesięciu młodych – ale co! Diabła czubatego przeskoczę. Ja, panie, za dziesięciu jeszcze obstaję, jak zechcę...

– A, jak pan zechcesz... – zgodził się Horst.

– Stary! Ja, panie, folwark miałem, to, panie, od wczesnego świtania, koń między nogi, służba jak w zegarku!

– Krótko mówiąc, może by mi pan zechciał przedstawić swe świadectwa. Mam tu kolegę, przyjaciela, młodego Krafta.

– Henryka? – zapytał Horst, patrząc szyderczo, spode łba i tak przeszywającymi oczami, jakby miał zamiar Niepołomskiego natychmiast wyzwać.

– Nie, Wiktora.

– O – mruknął tamten – bratanek... Gruba ryba. Idealista, Wicek-socjalik. Znam tego kpa i wątpię...

– Panie dobrodziejku łaskawy... – z nabożeństwem, cicho mówił Pobratyński.

– Ten Wiktor Kraft skończył studia w Antwerpii, objął

teraz schedę i zabiera się do wielkiego, celowego przemysłu na dużą stopę. Może dużo zrobić, bo głowa dobra i człowiek uczciwy. Uczyliśmy się razem, nawet robiliśmy niektóre rzeczy na spółkę. Właśnie wczoraj wieczorem spotkałem się z nim po dwu latach. Ma on dla mnie pewne zobowiązania. Może by się udało wykołatać.

– Łaskawy panie!

– Kanalskie to jest plemię owe Krafty, ale co mi tam... owszem... – rzekł Horst.

– Zrobimy tak: ja napiszę do Wiktora Krafta list specjalny, a panu dam na rękę drugi, polecający. Jest to bowiem zasada u tych panów, że tylko za dwoma listami...

– Łaskawy panie! – szeptał stary, dźwigając się ze swego miejsca ze złożonymi rękami. Nie było w nim nic z wykwinności wrodzonej ani z elegancji sztucznie nabytej. Stał obok krzesła jak żebrak pode drzwiami. Obwisłe ręce, zdawało się, lada chwila wyciągną się z błaganiem, a kolana o podłogę uderzą.

Dobroczyńca spojrział od niechcenia w stronę Ewy. Oczy jej były spuszczone na ręce, które splotły się na kolanach, usta ściśnięte, twarz trupioblada.

W owej chwili, bez uprzedzającego stukania, weszła do pokoju osobliwa dama. Była tak olbrzymia, że ledwie się zmieściła we drzwiach. Na głowie niosła płaski, strupieszwały kapelusz, rodzaj prowincjonalnego katafalka, otoczony ruinami ponurej woalki. Wchodząc do pokoju, zdjęła ów pseudokapelusz

ruchem zgoła męskim. Ogromna jej twarz, długa, przetrnięta wzdłuż linią nosa, a w poprzek głębokimi zmarszczkami czoła, miała w sobie jakąś niezwykłą prostotę, doprowadzoną do najwyższej granicy. Można by ją było narysować kilkoma grubymi liniami. Twarz ta otoczona była włosami podciętymi „w czuprynkę” równo, a w taki sposób, jak to lubią czynić wiekowi a stateczni gospodarze w Lubelskiem. Włosy te, ściśle rozczesane na ciemieniu we dwie strony, gładko przylegały do skóry, zlepione (prawdopodobnie) pomadą. Luźny kaftan z taniego materiału obojętnej barwy i gładka spódnica okrywały wielkie ciało przybyłej.

– Ciocia! – zapał radośnie Horst, nie ruszając się zresztą z miejsca. – Już wiem, po co – oho! Już wiem... A tu właśnie będzie posada – aha!

– Proszę cię uprzejmie, mości Horst – stękała wielka osoba, zasiadając bez ceremonii na kanapie – proszę cię, zamknij no buzię.

– Pani pozwoli, że przedstawię... – mówił wykwintnie pan Pobratyński. – Pan Niepołomski, nasz nowy lokator, pani Barnawska.

Dama dość niedbale skinęła Niepołomskiemu głową. Niezwłocznie zwróciła się do Horsta:

– Panie, te, panie! Masz zielone?

– A to co znowu! – zachnął się zapytany. – Słyszane rzeczy! Na wizycie?

– No, tylko bez tych tam wszelkich! Ty wiesz, mości Horst,

że ja tego nie znoszę.

– Wstydź się, ciocia! Wiosna radosna nadchodzi, cała przyroda budzi się, że tak powiem, słoneczko, fiołki, a ciocia wieczne swoje z tymi procentami. To nieładnie!

– Ty wiesz, panie Horst, że ze mną żartów nie ma. Pókim dobra, tom dobra...

– Ciocia jest zawsze dobra, ciocia jest zawsze skądinąd...

– Ale jeśli mię tylko kto myśli zarwać, to z miejsca zadzieram ogona i rwę co pary w gnatach!

– Ładny landszaft!

– A osobiwie też z tobą, kotku angorski, ceremonii nie będę stroiła.

– No i jakież kuku myśli mi cioteczka zrobić? Możesz ciocia licytować moje efekta. Owszem! Oddaję ciepłą rączką wszystko z wyjątkiem taksa i portretu *miss* Daisy.

– To tam już moja rzecz, co z tobą zrobię w razie potrzeby. Ja tylko mam zwyczaj ostrzegać.

– Żebym nawet tak chciał, jak nie chcę, to – na szatana! – nie mam fenia²¹. Pan radca świadek!

– Jednak na Marcelin w małym, ale za to w doborowym towarzystwie toś miał w zeszły czwartek.

– Jużeś ciocia wyszpiclowała! Co to za organizacja! Może byśmy jednak o tym przez wzgląd... na obecność... panny Ewy...

– Patrzajcież, jakiś ty moralny... „Przez wzgląd na

²¹ *nie mam fenia* – nie mam ani feniga; nie mam grosza. [przypis edytorski]

obecność”... No, ja cię, Horst, ostrzegam po raz drugi.

– Nie słyszałem.

– Żebyś tylko nie żałował!

– Gdzie ja tam będę czego żałował! Złudzenie! Nie ma takiej rzeczy na tym padole, której bym żałował.

– Na nieszczęście ludzkie. Za te pieniądze, coś je przełajdaczył na świecie, można by zbudować szpital na sześćset łóżek dla rakowatych!

– No-no – to już ciotka dobrodziejka domy dla rakowatych będziesz budować, i to z własnych oszczędności. A o moich oszczędnościach i ich zużytkowaniu proszę zachować milczenie, powtarzam, milczenie, bo to nie należy do rzeczy.

Pani Barnawska patrzyła na Horsta białymi oczyma bez wyrazu. On zapalił cygaretkę i, uśmiechając się łagodnie, mówił do Niepołomskiego:

– Muszę pana zawiadomić, dlaczego nasze dialogi są tak swoiste i barwne. Pani Barnawska, „ciocia”, jest dobrodziejką naszą, że tak powiem, kamieniczną, a nawet dzielnicową. Może i pan... Co do mnie, ilekroć uczuвам, czego Boże broń! brak gotówki, brnę do tej posępnej Canossy. Ciotczysko jest tylko z wierzchu tak kostropate, ale skądinąd... Filantropia ma w cioci fundament, skarpe. Zaobserwowałem również, że jeśli kto zdycha z głodu, skwierczy na patelni utrapień, łysieje wskutek poderwania kredytu – ciocia zawsze takiego wyrwie z opresji. Takie już serce. A trzeba pamiętać, że przyjaciel w potrzebie a

*friend in need is a friend indeed*²². Z tym sercem przyjaciółki w potrzebie ciocia przysłała na świat i z tym (już wkrótce, niestety!) umrze.

– Żebyś tylko ty, Horst, pierwiej się nie przejechał!

– O, ho-ho – jeszcze czego! Patrzcie no, państwo, na jaki się to ciotczysko concept zmoгло. Nie, matrono nasza! Już się u Świszczakowskiego suszą deseczki, trzyćwiercióweczki. Ja w tym! Mój to będzie akt wdzięczności, czysty gejzer tkliwości serca. Trumieneczka jak pieścidełko, istna bombonierka. Gdyby nie ciocia, i pan Pobratyński niejedną by gorzką chwilę przeżył w tych czasach stagnacji i braku posad. A tak oto ciotczysko pocziwe przyjdzie, pocieszy, pogwarzy, zagra w zielone. Jeśli już nie można w żaden inny sposób, to z musu, z konieczności, łkając w głębi serca, wejdzie na pensję biurową panny Ewy, namówi życzliwie, żeby wziąć do domu trzy „normy” z biura i pisać ceduły do białego ranka. Boć praca uszlachetnia każde stworzenie w rodzaju ludzkim. Nic tak nie uszlachetnia jak wyż wzmiankowana praca.

– Panie Horst, panie Horst – sykał pan Pobratyński niecierpliwie. – W moim domu... takie słowa...

– Przecie nic złego nie powiedziałem. Czy się ciocia obraża? Widzi pan przecie, jak życzliwym okiem patrzy na moje zadumane czoło.

Stara dama uśmiechnęła się pogardliwie i wyniośle.

²² *a friend in need is a friend indeed* (ang.) – przyjaciel w potrzebie jest prawdziwym przyjacielem; prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. [przypis edytorski]

Rzekła po chwili:

– Starasz się być dowcipnym, co nie jest rzecz łatwa²³, a boisz się mojego spojrzenia.

– Ja? Chyba nie, ciociu. Nigdy się jeszcze w życiu nie bałem. Skądże by to teraz?...

– A bo teraz starzejesz się, dobrodziej, łysiejesz. Strzyżenie przy samej skórze nie pomoże, mizdrzenie wąsów, wyszcypywanie siwych włosów, podczernianie z lekka baczków, czyszczenie starych marynarek od najbardziej angielskich krawców nie pomaga. Ewa nie chce widzieć twych łajdackich uśmieszków i powłóczyстых spojrzeń. Tak, tak – nic nie pomoże wywracanie oczów do góry nogami...

Pan Horst z lekka przybladł.

– A widzisz, trafiam w to miejsce, gdzie cię boli. Ja się znam na szelmostwie ludzkim. – Tak to, tak! Śmierć i ku tobie chyłkiem podąża.

– No, jużcić podążać podąża, ale w każdym razie przeżyję ciocię – i to grubo. Ciocia sobie nadweręża wierzchołki, siedząc wciąż w kurzach sądowych, trudząc się osobiście po najwyższych facjatkach, gdzie właśnie najchętniej siadają wygłodzone a żarłoczne laseczniki. Ciocia wrzeszczysz zbyt często na hołotę, zdzierasz się łożeniem do adwokatów i komorników. Schnięcie żył... Kiedy nawet sam ten uśmiech... Dziadzio Pitagoras mówi, że najstaranniejsza obłuda nie jest w możności upiększyć śmiechu człowieka o złym serduszk. Bo w śmiechu zdradza

²³ *co nie jest rzecz łatwa* – dziś popr.: co nie jest rzeczą łatwą. [przypis edytorski]

się człowieka. A ja? Patrz ciotuchna na mnie: ja się śmieję od rana do wieczora. Ja lubię jeść dużo i tylko rzeczy pożywne, zdrowe, smaczne, drogie, pić również, dobrze i czysto mieszkać, długo spać, mało, a nawet, jeśli to tylko możliwe, nic zgoła nie robić. Więc cóż tu za porównanie? Nie przeczę wcale, że i ja kiedyś, jak mówi Anglik, „przejdę do większości”. To się robi. Niepodobna by przecież było przez wieczność całą zalegać w opłacie komornego i tych tam, Boże! procentów, chodzić na szachy do cukierni, spotykać tych samych wciąż kapcanów na ulicy i czytać artykuły tych samych wciąż kapcanów w tak zwanych gazetach miasta Warszawy. Mówię: w chwili właściwej dam się na wety pędrakom. Niechże też spróbują, jak smakuje, po najrozmaitszej hołotce, taki oto utracjusz, optymista, trwoniciel nadwartości wydeźbionej z surowca przez prostaczków. Uczyni się to jednak wówczas, gdy czas nadejdzie, kiedy już wszystko będzie dokonane tak dalece na tym „padole”, że po indywiduum noszącym chlubnie nazwę Adolf Horst – nawet kura nie będzie chciała zagdakać. Dopiero wtedy. Dziś nie ma o czym mówić...

Ewa niepostrzeżenie, cichaczem wyszła z pokoju do kuchni.

Przez chwilę trwało milczenie. Pani Barnawska, jakby po dokładnym zważeniu argumentu, rzekła dobitnie a z niepowściągniętym²⁴ sykiem rozkoszy:

– Rozpusta cię zeżre prędzej, niż myślisz.

– Rozpusta... cóż za wyraz lekkomyślny! Ten kraj „ubogi

²⁴ *niepowściągnięty* – dziś: *niepowściągnięty*. [przypis edytorski]

a ciasny” – i rozpusta! *Merum nomen sine re*²⁵. Przecież starałem się kształcić wyobraźnię kochanej cioci... Dawałem z własnej podręcznej biblioteczki brukselskie pamiętniki wiecznie interesującej pamięci markiza de Sade²⁶, dzieła pana de Harcanville²⁷ – zarówno *Histoires secrètes des dames romaines*²⁸ (pamięta ciocia?), jako też *Historię dwunastu cesarzów*, w najozdobniejszym sztychowanym wydaniu. A sztyski – co?

Coś jak rumieniec poczęło z wolna zabarwiać policzki pani Barnawskiej.

– Widzę, że sprawia cioci przykrą sensację to, co mówię. *Parlons d'autre chose*²⁹. Są sprawy, których poruszenie, w istocie...

– Żebym ja nie poruszyła spraw, które ciebie zabolą...

– Mnie nic nigdy nie boli, wracam też do kwestii spadku. Po najdłuższym życiu... Bo co się stanie z kapitałem, z zaległymi procentami, z pakami rewersów, listów *ispołnitelnych*³⁰? Kto

²⁵ *merum nomen sine re* (łac.) – słowo jedynie bez odpowiednika w rzeczywistości (dosł. czyste słowo bez rzeczy); czcze słowo bez pokrycia. [przypis edytorski]

²⁶ *markiz de Sade* właśc. Donatien Alphonse François de Sade (1740–1814) – francuski arystokrata, filozof i pisarz, a także polityk doby rewolucji; jego nazwisko jest właściwie jednoznacznie kojarzone z nurtem libertynizmu oraz eksplorowaniem tych sfer seksualności, gdzie fantazje erotyczne stykają się z przemocą i występkiem; od jego nazwiska utworzono termin **sadyzm**. [przypis edytorski]

²⁷ *pan de Harcanville* – pseudonim Pierre'a François Hughesa. [przypis edytorski]

²⁸ *Histoires secrètes des dames romaines* (fr.) – sekretne historie dam rzymskich. [przypis edytorski]

²⁹ *parlons d'autre chose* (fr.) – mówmy o czym innym. [przypis edytorski]

³⁰ *listy ispołnitelnyje* (z ros.) – dosł. wykonawcze; tu: rodzaj listów wierzytelnych

będzie chodził do adwokatów, dopilnowywał terminów i ścisłego pełnienia licytacji, gdy ciocia powiększy grono dziewic? Jak stanie ta ogromna machina, *excusez le mot*³¹, lichwy, gdy ciocia, oddawszy żałosne westchnienie, bladolica, z wywróconymi oczami, z palcami rękawiczek raz na zawsze – ehe – splecionymi, przez czterech bezimiennych drabów (a może i przez dwóch dla oszczędności) odniesiona zostanie pod kogutka?

Niepołomski miał zamiar wyjść od dawna, ale bawiła go pogawędka tych osób. Siedział tedy bez ruchu, doznając fizycznej uciechy, jak w teatrze, i słuchał, gdy Horst jeszcze mówił:

– Gdybyś zaś ciotka dobrotliwa stygnącą rączką wszystko mnie powierzyła – jakże ja bym misternie uporządkował te wszystkie fajanse. *Sapristi!*

– Przede wszystkim zapłaciłbyś z pewnością w Bristolu, coś tam winien, i zaczęto by cię znowu wpuszczać za upragnione drzwiczki.

– Otóż to, złośliwość... Zapisze ciotka siostrzeńcykowi Kamilowi, a ten będzie spuszczał nawet nie w Bristolu. Bo ja wiem, gdzie taki może wydać? Ani nawet, mówię, kult zabawy nie może się rozwinąć w tym kraju! Jakże mię serce nie ma boleć, gdy o tym dzień i noc myślę...

– Uspokój się, mości Horst, uspokój, wszystko się to jakoś

uprawnających do ściągnięcia należności z dłużnika; tytuły wykonawcze. [przypis edytorski]

³¹ *excusez le mot* (fr.) – proszę wybaczyć, że użyję słowa; przepraszam za słowo. [przypis edytorski]

ułoży.

– A tak! My zawsze po polsku, jakoś to będzie... Ale co by to była za pociecha dla nieśmiertelnego oka cioci patrzeć (przypuśćmy: z czyścica), jak ja znowu wracam do Poola, do jedyne go krawca na kuli ziemskiej, który *gentlemana* ubiera z zastosowaniem do każdej okoliczności jego życia odpowiedniego *suit of clothes*³², podczas gdy inni partacze człowieka z gatunku *homo sapiens* odziewają, okrywają szmatami nagość jego gnatów. Cioci się zdaje, że jakiś *silk-hat*³³ od Henryka Heatha, że rękawiczka od Denta, perfuma od Rimmela ze Strandu (oczywiście perfuma o zapachu koniczyzny, bo co do orchidei, to prym trzyma – wierz mi ciocia – niezmiennie *Lenthéric* z *Rue de la Paix*) – że, mówię, te wszystkie rzeczy – jest to rozpusta. I czyby to cioci nie było przyjemnie, żebym odziany w najmodniejszy *dresscoat*³⁴ od Poola, skropion zapachem storczyków od Lenthérica dla odegnania nieznosnego, bądź co bądź, zapachu, jaki wydawać będzie cioci kochanej *cadaver*³⁵ – siedł uroczyście i pozornie zmartwiony za trumną. A później „skrzynkę zieloną” (z ciocią w środku) złożywszy pod „czarny krzyżyk” i zasadziwszy na tym miejscu bardzo rozłożysty krzak kaliny (albo jałowca), poszedłbym jeszcze raz zwiedzać świat. No, a cóż ten Kamil prowincjonalny, warszawski obibok? Spuści

³² *suit of clothes* (ang.) – garnitur. [przypis edytorski]

³³ *silk-hat* – cylinder. [przypis edytorski]

³⁴ *dresscoat* (ang.) – frak. [przypis edytorski]

³⁵ *cadaver* (łac.) – trup. [przypis edytorski]

walory w ordynarnym towarzystwie i na żółtej mogiłce tyle drogiej cioci będzie tańczył kadryla, a może nawet miejscowego kankana z miejscowymi baletnicami... Wstyd mi rumieni czoło!

– Na razie każde z nas zostanie przy swoim. Pan, znakomity podróżniku, panie Horst, przy wspomnieniach i marzeniach o Paryżu, Londynie, wyspie Capri i wyspie Sycylii, a ja przy swych procentach, no, i ciemnocie.

– Ależ ja gotów jestem ciocię oświecać, nawet (na razie) bezpłatnie. Opowiem wszystko sumiennie o życiu gatunku ludzkiego, wszystko, com tylko widział, com z ksiąg ekstra ciekawych a rzadko komu dostępnych wyczytał. Jestże to bowiem życie ta operetka, którą ciotka przepędzasz? Zbijanie kabzy, mieszkanie w Warszawie, w domu własnym przy ulicy Zielnej? A nie jest również życiem wypożyczanie z tejże kabzy i niepłacenie za pokój pojedynczy przy zacnej skądinąd rodziny...

Niepołomski pożegnał zebranych.

*

Zbliżał się wieczór, a Ewa nie była w stanie podnieść się z ławki ogrodowej. Oczy jej z rozkoszą spoczywały na trawnikach parku, na prętach brzoź, które omgliło już listowie, na gałęziach kasztanów, napęczniałych w końcach swych jak lepkie i tłuste kule. Sprawiało jej rozkosz nieprzerywające się i wciąż powrotne zdumienie, że naga ziemia, którą w zimie tylekroć widziała była, miejsca zdeptane i nędzne, obrzydłe, publiczne – stały się teraz

siedliskiem cudnych żywotów. Białe listki otwierały oczy z tej ziemi i patrzyły w oczy człowiecze z niewysłowionym wyrazem. Rodził się w duszy niepokój i zamęt, a przecież zwiększał sumę trwałego szczęścia. Gdy wzrok Ewy przenosił się z miejsca na miejsce, chodząc za wiosenną mgiełką błękitną, co się między drzewami rozpościerać poczęła, nagle zmącił się i stracił siłę swoją. Ujrzała w alei Łukasza Niepołomskiego. Szedł wolno, ociężale, po prostu – tchórzliwie. Oczy jego skierowane były w jej stronę.

Doznała uczucia niesmaku, przestachu, przykrego fizycznego rozstroju. Zorientowała się, że jej serce czegoś bije jak oszalałe, i nie mogła, nie mogła w żaden sposób tego bicia powściągnąć. Niepołomski doszedł do końca ulicy, w której siedziała, i zawrócił w inną. Rzekła sobie, spod oka za nim patrząc, że „na szczęście” zawrócił i odszedł. Skądże więc żal i upadek niespodziany serca? Spuściła oczy na szarą ziemię ścieżki i nie podnosiła ich długo. W pewnej chwili uczuła jakowyś zewnętrzny, mrowiący niepokój i znowu bicie serca. Spojrzała i zobaczyła go o kilkanaście kroków. Szedł ku niej. Zmarszczyła brwi, przybrała mimowiednie pozę wyniosłą i obojętną – pomimo bicia serca, surowy wyraz twarzy. Słyszała cichy – bojaźliwy zgrzyt jego kroków, gdy nadchodził. Ogarnęła ją trwoga już o to tylko, żeby nie usłyszał, jak serce w niej bije, bo biło głośno, publicznie, jak dzwon na wieży. Leniwym, chwiejnym, jakimś mglistym krokiem przeszedł przed nią.

Czuła za spuszczonymi powiekami, że ciemne jego widmo

przesunęło się. Odetchnęła z ulgą, całą piersią.

Już sobie poszedł! Gniew na bicie serca i zadowolenie z odniesionego nad czymś zwycięstwa... Teraz tylko podnieść oczy, a później zaraz wstać i iść co prędzej do domu! Przyszła tu, żeby unikać tych przebrzydłych „pokus”, nie słyszeć sprzeczek ojca z matką, wywodów Horsta, żeby rozmyślać przed jutrzejszym porankiem, a oto mogła była zanurzyć się w złem, ulec pokusie. Czy grzechem jest to bicie serca? Czemu serce bije? Czy wola człowieka działa tu, czy nie? Czy tu szatan jest źródłem złego, czy ten „zewnątrzny” człowiek? Jak zwalczyć zgiełk i trwogę serca? Poczęła patrząc w ziemię modlić się żarliwie:

„Panie, pomnóż pokorę moją...”.

W owej chwili serce ucichło, a słowa modlitwy przyniosły jak gdyby chustę uciszenia. Słowa stały się w owej chwili niby wieka z drążonego kryształu ukrywające skarby zamknięte, których jeszcze nigdy pod nimi oko nie widziało. Nie były to już wyrazy, lecz poniekąd szkła wypukłe, przez które widać olbrzymi a nieznany świat łaski. Zadumała się nad owymi słowami tajemniczymi i świętymi jak wiosna, jak wychodzenie kwiatów i piórek trawich, jak nadwieczorna mgła podwiośnia. W zadumie podniosła błękitne swe oczy i ze drżeniem ujrzała tego człowieka. Stał o kilkanaście kroków, oparty o poręcz mostka. Był blady, bezsilny i tak boleśnie uśmiechnięty, jakby za chwilę miał być strącony z tego miejsca i upaść na ziemię. Spodziewała się wszystkiego: natręctwa, kokieterii, zalotów – ale

nie tego. Ogarnął ją całą, wstrząsnął nią różowy dreszcz wobec jego spojrzenia. Nie była w stanie oderwać od niego oczu, bo nie wiedziała, że patrzy. Nie wiedzieć też kiedy, jak, jakim sposobem, jakim prawem, wskutek czyjej nad nią przemocy, posłała mu z głębi duszy uśmiech najczarowniejszej litości. Wtedy dopiero spostrzegła, co uczyniła, gdy już szedł ku niej.

Znowu spuściła oczy w rozterce i w panicznym rozgardiaszu władz duszy. Było już za późno. Usłyszała jego głos.

– Czy nie pogniewa się pani na mnie, że przerwę jej zamyślenie?...

Znowu ten sam uśmiech pokonał jej wolę. Czuła uśmiech na własnej twarzy, pomimo że chciała przybrać wyraz surowej powagi. Niepołomski zapytał powtórnie:

– Czy nie robi to pani przykrości?

Wstała ze swego miejsca jak uczennica, odpowiadając.

– Nie.

– Dziękuję pani.

Usłyszała w tym podziękowaniu brzmienie głębokie, które, rzecz osobliwa, było, również jak poprzednie podniesienie duszy przez modlitwę, niby pryzmatem z tajemniczego kryształu ukazującym odległe głębiny. Nikt jeszcze w życiu tak do niej wdzięcznie nie mówił. Uczuła się jak gdyby obdarowana, wywyższona i uczczona. Tkwiło w tym zawstydzenie i wdzięczność. Gasła poprzednia rozterka.

– Wyszedłem z domu – mówił Niepołomski niby to przyjaźnie i ze swobodą, jakby od dawien dawna łączył

ich stosunek znajomości, a jednak ledwie chwycił piersiami powietrze. – Widziałem, że pani przyszła do ogrodu, że pani tu usiadła. – Bałem się podejść...

– Dlaczego?

– Bo tak mało panią znam. Myślałem sobie: obrazi się na mnie jak na natręta...

Nie odpowiedziała nic na to. Tylko znów uśmiech bezwiedny, podczas gdy oczy na ziemię spuszczone.

Od kilku chwil zajęta była pytaniem, a właściwie sprawą, która ją całą z nagłą objęła. Chciała zadać pytanie i cofała się przed nim. Już-już postanawiała wyrzec i zamykała rozchylone wargi. Wtem dusza jej rzekła za nią:

– Czemu pan się rozwodzi z żoną?

Siedział przez chwilę osowiały, jakby przytłoczony tym pytaniem. Potem odrzekł:

– Bo ją znienawidziłem.

– Żonę swoją?

– Tak.

– Dlaczego?

– Jest podła, głupia, przewrotna, do gruntu zła.

– Dlaczegoż się pan z nią ożenił?

– Nie wiem dlaczego. Omyliłem się.

– Czyż można się aż tak omylić?

– Można. I jak jeszcze!

– Ale ją pan poprzednio kochał?

– Dzisiaj już tego nie pamiętam, jeśli nawet tak było.

Późniejsze z nią rozkosze zabiły we mnie pamięć wszystkiego. Czasami zdaje mi się, że od samego urodzenia miałem tę jędzę przykutą do ręki.

– Czyliż to można tak nienawidzić drugiego człowieka?

– A cóż z nim robić, jeśli jest taki jak moja miła żoneczka? Mamże ją kochać? Jakim sposobem? Gdyby pani знаła te sprawy... Ale pani ich znać nie może i nie powinna.

– Dlaczegoż to ja nie? – spytała naiwnie.

– Bo... nie. Pani nie powinna nic o tym wiedzieć!

– Proszę pana... a jeśli się pan uprzedza, jeżeli się pan kieruje nienawiścią i tylko nienawiścią?

– Nie przeczę wcale, że mnóstwo spraw muszę oceniać przesadnie i wręcz źle... Ależ cóż stąd? Nie jestem martwym drewnem. Nienawidzę – i to mi sprawia ulgę. Inaczej mógłbym dojść do obłądu lub samobójstwa. Opowiem pani tylko parę szczegółów, które dadzą miarę całości. Była z urodzenia wyznania protestanckiego. Dla uniknięcia kłopotów ze spowiedziami przed ślubem, braliśmy go w kościele luterańskim. Obecnie, kiedy zapragnąłem dostać rozwód, przekonałem się, że moja żonka przeszła na katolicyzm dla zniszczenia łatwości rozwodu. O rozwodzie decyduje teraz konsystorz katolicki, gdyż obydwoje teraz jesteśmy katolikami. Zrujnowałem się doszczętnie. Po ojcu, budowniczym na prowincji, odziedziczyłem pewien kapitał. Dziś już jestem bez grosza, a sprawa nie posunęła się naprzód ani o krok. Poświęciłem się był pracy naukowej, za granicą prowadziłem

studia systematyczne, byłem na drodze do sławy. Teraz jestem rozbitek, zero...

– Proszę pana, a gdyby tak...

– Gdyby co?

– Gdyby zapomnieć! Przestać prowadzić ów proces...

– No, to mi się któregośkolwiek dnia sprowadzi do mieszkania!

– No, więc to trudno! Przebaczyć, wszystko z serca odpuścić!

Spojrzała na rozmówcę i aż drgnęła. Twarz jego była oświetlona przez potworny uśmiech. Rzekł krótko, głosem chrapliwym:

– No, to wolę śmierć.

– Jakże pan teraz inny!

– Jak to inny?

– Zupełnie inny.

– Nie mówmy już o tym, proszę pani. Dość mam rodzinnego szczęścia po całych dniach...

Zatrzymał się przez chwilę, przygryzł wargi. Twarz jego złagodniała. Rzekł cicho:

– Pani często tu bywa na przechadzce?

Nic nie odrzekła. Siedziała ze spuszczoną głową i wyrazem głębokiego rozczarowania na zmartwiałej twarzy.

– Nie – rzekła – nie bywam tu nigdy.

– Czy tak? Więc i jutro... nie będzie pani?

– Nie. Przyszłam dziś – mówiła cicho, głosem suchym, wyniosłym i rozczarowanym – bo chciałam być sama przez parę chwil. Byłam dziś u spowiedzi, a jutro mam przystąpić do

Komunii Świętej. W domu nie mogę mieć samotności.

Niepołomski przypatrywał się jej spod oka tak badawczo, że nie była w stanie nie spojrzeć nań. Zatopił wzrok w jej oczy jakby sondę czy hak, usiłując wyrwać z dna prawdę. Widać ją wyrwał, bo z wolna tracił pewność siebie, a wreszcie stropił się i zmieszał.

– Powinien bym odejść – rzekł cicho.

Milczała pokornie.

– Ale tak mi żal odchodzić... doprawdy... doprawdy... Więc pani dziś... u spowiedzi? To niespodzianka!

– Dlaczegoż to niespodzianka?... – spytała z prostotą.

– Wyznaję, że ja grzeszny dawno już nie oglądałem tymi oczyma, pełnymi złości, człowieka, który dopiero co był u spowiedzi. Powiem nawet więcej, że nie od razu uwierzyłbym, gdyby mi mówiono o istnieniu takich ludzi w surdutach i europejskich sukniach.

– Pan nie chodzi do spowiedzi?

– Nie chodzę.

– Dlaczego?

– Nie będziemy dziś o tym mówili przed jutrzejszym obrzędem.

– Ależ dlaczego?

– Spełniałbym rolę szatana, który zasiewa ziarna grzechu w czystej duszy.

– Nie zasieje nic szatan, bo się będę modliła, żeby Pan Bóg dał panu stan łaski i żeby się pan mógł jak najprędzej nawrócić. Gdyby jeszcze pan poszedł do jednego księdza...

– Pani, wszystko! Tylko do księdza – za nic!

– No, dlaczego, dlaczego?! O, to uprzedzenie! Właśnie księży, znając tyle sumień ludzkich, mają możliwość rozważyć, roztrząsać wszystko do gruntu. Oni to rzeczywiście mają moc...

– Och, oni mają moc! Oni wszystko mogą. Już ja to wiem także. Czegóż by to ksiądz nie potrafił. *Un bon curé vaut mieux que dix gendarmes*³⁶... Ale co do mnie, to rzecz stracona. Widzi pani... na mnie „łaska” dziecinnych lat już nie spłynie, a modląc się nie mogłaby pani słyszeć wszystkimi władzami duszy i ciała tego, co bym ja na trzeźwo mówił.

– Czystość serca daje taki stan szczęścia!

– Tak, tak! Pamiętam... Dziecinne lata, majowe nabożeństwa. Spowiedź... konfesjonał... strach... komunie... Więc to pani jest w tej chwili właśnie w łasce u Boga. No, i u ludzi... i u ludzi... – uśmiechnął się łagodnie, po dziecięcemu.

– Proszę pana, śmieje się pan ze swej własnej niemocy.

– Ja się bynajmniej nie śmieję. Ja tylko podziwiam zjawiska ducha – swego i pani... Pójdę już zaraz.

– Tak, już mrok idzie. Niech pan tu sobie zostanie. Niech pan wspomni dziecinne lata, dawne spowiedzie³⁷, dawne uczucia i zapomniane modlitwy. A może nowe nawiną się na usta...

– Już się nie nawiną.

– Ejże! ja bym pana nauczyła tak niewątpliwych, tak

³⁶ *Un bon curé vaut mieux que dix gendarmes* (fr.) – dobry ksiądz (proboszcz) wart jest więcej niż dziesięciu żandarmów. [przypis edytorski]

³⁷ *spowiedzie* – dziś popr. M.lm: spowiedzi. [przypis edytorski]

niezbędnych, tak własnych.

– Dobrze. Pani dziś jest bez grzechu. Jest pani stokroć bardziej bez grzechu niż ów ksiądz, który wyznania słuchał. Toż pani bardziej chyba może słuchać spowiedzi cudzej niż on. Niech mnie pani wypowiada.

Ewa uśmiechnęła się prześlicznie, niewinnie, a później popadła w długotrwałą zadumę.

– Nie mam po temu prawa. Tylko kapłan może rozgrzeszyć człowieka. I tylko on może słuchać. Ale niech pan powie wszystko. A raczej niech pan powie tylko to, dlaczego pan nie wierzy, nie spełnia obowiązków chrześcijańskich – dlaczego pan nie chce być zbawionym? Niech pan to powie, a ja pana przekonam.

– A to będzie spowiedź czy tylko rozmowa?

Wahała się przez chwilę. Policzki jej zabarwiły się różem. Rzekła z przekonaniem:

– Spowiedź! Częściowa, niezupełna, bo ja nie mam żadnego prawa, ale spowiedź!

Po chwili dorzuciła:

– Dlatego, że może pana nawrócić!

– Dobrze. Cóż to mówiłem?

– Najprzód: dlaczego pan nie chodzi do spowiedzi?

– Nie chodzę dlatego, że ja, chłopiec, który w gimnazjum spowiadał się, modlił, bywał w stanie łaski i w stanie grzechu – już dziś nie istnieję jako ta sama dusza, podobnie jak już nie istnieję jako uczeń chodzący w mundurku, pomimo że to

samo noszę imię i nazwisko i tą samą jestem osobą fizyczną. Dawny, jak to mówią, podmiot zamienił się na przedmiot. W mojej dzisiejszej świadomości, w dzisiejszym podmiocie, czyli w zjawisku istniejącym samo dla siebie, tamta dusza chłopca z gimnazjum odbija się jako przedmiot. To oddziałuje na mnie. Wskutek różnych przyczyn skłania mnie do tęsknoty i rzewności. Ponieważ jednak zdolny jestem do pochwycenia pełni świadomości tego ubocznego działania wspomnień, więc sądzę, że mam też zupełnie dokładne wyobrażenie o moim dawnym świecie duchowym. Podobnie jak ten dawny, odbija się w mej świadomości i mój dzisiejszy pogląd na rzeczy niemal zupełnie tak samo, jak się w niej odbija dzisiejsza wiara pani. Owa przecudowna zdolność duszy do przezierania świata zewnętrznego i świata wewnętrznego – jaźń – zmienia się w nas stale. A ta właśnie zmienność jaźni najdowodniej świadczy, czym jest nasza dusza.

– A cóż jest dusza?

– Dusza jest to ocean, po którym kołyszą się fale, emanacje życia. Każda z nich wzdyka się ku słońcu, ku księżycowi, pędzi w przestwory i kona kędyś na piaskach, na zrębach skał... Jesteśmy w stanie spostrzegać te narodziny i śmierć, ale kiedyś dopiero, w chwili najwyższej syntezy, spostrzeżemy, że nad żywotem fal panuje niezłomne prawo i że wszystkie one roztapiają się w niezmiernym oceanie. Analiza, rozbijająca ocean na poszczególne fale, w pewnej chwili cudownej zestrzeli się w radosną, intuicyjną syntezę. Wówczas pojmiemy zasadniczą

ciągłość żywota fal i ogarniemy ich dzieje. Ze spotęgowanej zdolności wyodrębniania i rozróżniania, czyli z analizy, wypływa to dobro, że spostrzegając wieloosobowość ducha ludzkiego i jego dzieje, oglądając w dalekiej perspektywie stopnie rozwoju, wyzbywamy się właśnie męczarni wyrzutów, poczucia straszliwej odpowiedzialności za grzechy. Natomiast ta dążność pozwala nam ściślej jednoczyć się z wszechświatem.

– Tak, to wygodna teoria. Spowiedź jest męką. Tymczasem zwalenie odpowiedzialności na kogoś, kto był, a którego już nie ma – to takie naturalne. Dlaczegoż to jednak tylu ludzi wiekowych przechowuje od dzieciństwa aż do grobowej deski wiarę w duszę ludzką, niby kwiat nieśmiertelny? Dlaczego? Dlaczego?

– Są to szczęśliwi ludzie, którzy nie zatapiają się w logikę, w myślenie ścisłe, w rozważanie swego stosunku do wszechświata, do czasów płynących, do gwiazd wiecznych i do nieskończoności przestworów. Wystarcza im pierwotny ruch czucia i pierwotny pęd myśli, które ja również posiadam, ale które mi nie wystarczają. Jest przecie, proszę pani, mnóstwo ludzi, którzy nie zajmują się wcale, dajmy na to, matematyką, a jej wszystkie sztuczki, formułki, koziołki i znaczki mają za *ba* i *bardzo*. To jednak nie dowodzi, żeby matematyka była nonsensem, a tamci nieczuli na jej wdzięki mieli zupełną słuszość, od dzieciństwa aż do starości ją ignorując. Na przykład ktoś, kto ma w umyśle swym, skutek stałego zajmowania się matematyką, pojęcie nieskończoności i rozumuje stale za pomocą pojęć tego

rodzaju, ten, doprawdy, nie potrzebuje zupełnie, a nawet nie może zmieścić w mózgu swym pojęcia o „początku świata”. Tymczasem są umysły, dla których „początek świata” jest koniecznością myślową.

– O ile wiem, dość pospolita i powiedziałbym... trywialna niewiara naszych czasów nie jest jeszcze tak nieomylnie konsekwentna i niewątpliwie uzasadniona jak wywody matematyki.

– To zależy, co wcielimy do tego lamusa z szyldem: „niewiara”. Jeżeli ktoś rozumuje logicznie od *a* do *z* – może sobie stworzyć kryształowy pałac tak niewzruszonej konstrukcji, że armaty piekielne go nie przemogą. Logika bowiem – to jest właśnie matematyka. A znowu wszelki rachunek staje się zuchwalstwem, jeżeli ma istnieć siła niestała mogąca dowolnie zmieniać prawa rządzące wszechświatem. Ostatnią sentencję zawdzięcza pani niedoszłemu proboszczowi (Renanowi³⁸). Wszystkie poprzednie są moje i dlatego tak genialne. Ale może ja, proszę pani, wobec jutrzejszego... nie powinienem mówić takimi zwrotami...

– Przeciwnie, muszę o tym mówić, skoro to ma być coś pożytecznego, coś w rodzaju spowiedzi, skoro podjęłam się

³⁸ *Renan, Joseph Ernest* (1823–1892) – francuski historyk, filozof, pisarz; profesor języków starożytnych w College de France, orientalista, filolog, znawca cywilizacji środkowowschodnich, Biblii i wczesnego chrześcijaństwa; zasłynął jako autor prac: *Historia początków chrześcijaństwa* (wyd. fr. 1863–1883; szczególnie znany jest tom I pt. *Żywot Jezusa*), *Historia ludu Izraela* (1887–1893) oraz *Co to jest naród?* (1882). [przypis edytorski]

wyciągnąć z pana ową wstrętną, ordynarną niewiarę. Nie mogę zresztą zostawać w zwątpieniu i zamykać dziś właśnie ran mego rozumowania, które pan pootwierał, pajęczyną pierwotnego ruchu czucia. Czemuż tedy istotnie modlitwa sprowadza do duszy światło jasnego widzenia i rodzi w nas stan szczęścia?

– Poeci dawnego świata twierdzili, że taki stan wyższy, zwany natchnieniem, zsyłają im muzy. Zdaje mi się, że doskonałe rozumowanie, tworzenie ścisłych absolutnie konstrukcji pojęciowych sprowadza ten sam stan zachwytu, poczucie szczęścia, rodzi uniesienie górne, które pani nazywa stanem łaski.

– Panie, panie! Kiedyż to, o czym ja mówię, zaiste podane jest duszy z zewnątrz, spada z wysoka – niech mi pan wierzy – idzie z nieba.

Niepołomski milczał.

– Czemuż pan milczy?

– Milczę, pani. Cóż mam powiedzieć? Nie mogę tego potwierdzić, żeby jakiegokolwiek uczucie spływało na panią z wysoka. Uczucie wszelkie jest w pani – w mózgu i w nerwach – to darmo. Tam się rodzi i tam trwa, dopóki nie zginie. O tyle wszelkie uczucie egzystuje, o ile są nerwy. Jeżeli gdziekolwiek nerwów nie ma, tam nie może być uczuć. Nie ma przecież drzewa tam, gdzie nie ma żadnych literalnie jego oznak. W chwili, gdybym utworzył w umyśle swym istotę obiektywną, tak wszechwładną, że mogłaby rządzić najtrafniejszym rachunkiem mego rozumu i najsubtelniejszymi

ruchami mojej duszy, owszem, narzucać mojej duszy ruchy jej nieznanne, musiałbym nieodwołalnie dojść do wniosku, że to jest jakieś do nieskończoności spotęgowane *ja*. Byłoby to zgodne najzupełniej z prawami naszej psychiki, ale nie stanowiłoby probierza prawdy. Najbardziej spotęgowane *ja* musi być ograniczone co do czasu swego trwania. Osobowość i czas – są to pojęcia nierozzerwalnie związane. Nie można połączyć w umyśle ludzkim osobowości z brakiem formy czasu, gdyż się to pomyśleć nie da i jedno drugie wyklucza. Z drugiej strony – nasze *ja*, choćby spotęgowane do nieskończoności, może się różnić od nas tylko co do ilości przymiotów, a nie co do ich jakości. Spinoza mówi:

„Gdyby trójkąt posiadał dar słowa, to powiedziałby nam, że Bóg nie jest to nic innego, tylko doskonały trójkąt. Koło powiedziałoby nam, że natura Boga jest kolistą w najwyższym stopniu”.

Toteż niechętnie dochodzę do wniosku, że jest jakiś byt, który nie jest skutkiem jakiegokolwiek przyczyny i przez nic nieuwarunkowany. Ale przypuśćmy... O bycie tym nic innego nie mógłbym powiedzieć, tylko to jedno, że on jest. A gdyby nawet przyjąć za pewnik istnienie bytu bezwzględnego, który różni się od *ja* naszego co do jakości jego przymiotów, to należałoby przecież przyjąć tę konsekwencję, że ilości owych przymiotów są nieskończone, a więc wzajemnie między sobą równe. Tyle tedy jest bezwzględne miłosierdzie, co i bezwzględny wymiar kary.

Przyjęcie za pewnik wszechwiedzy prowadzi nieuniknienie do przyjęcia za pewnik przewidywania własnych zamiarów, a przewidywanie własnych zamiarów jest zaprzeczeniem przymiotu najwyższego dobra, owszem, dowodzi współwieczności i współpotęgi złego. Jakże rozum logiczny człowieka nowego zdoła pojąć te zjawiska i uznać je za wyobrażalne?

– Czytałam niegdyś zdanie Pascala w jego *Myślach*:

Rien n'accuse d'avantage une extrême faiblesse d'esprit, que de ne pas connaître, quel est le malheur d'un homme sans Dieu³⁹.

– Ach, Pascala! O Pascalu to Nietzsche najlepiej powiedział... Ale wejrzyjmy w widzenie świętego Jana, w to słowo:

„I wyszedł drugi koń rydzy; a temu, który na nim siedział, dano, aby odjął pokój z ziemi, a iżby jedni drugie zabijali – i dano mu miecz wielki”.

Gdzież jest miłość?

Ewa rzekła:

– Bóg jest miłość.

Po chwili zapytała:

– Skądże się mogło wziąć w ludziach to wyobrażenie, według pańskich dowodzeń tak sprzeczne z naturą ich rozumu?

³⁹ Rien n'accuse d'avantage une extrême faiblesse d'esprit, que de ne pas connaître, quel est le malheur d'un homme sans Dieu (fr.) – Ostateczny to dowód słabości umysłu nie wiedzieć, jak nieszczęśliwy jest człowiek bez Boga (Pascal, *Myśli*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński). [przypis edytorski]

– Skąd się wzięło... jest to bardzo skomplikowana historia. Gdybym chciał uczynić wywód tego zjawiska, jako mającego źródło zgoła przyrodzone – to pomijając już to, że nie zrobiłbym go dokładnie, mogłaby pani obalić ten wywód jednym zaprzeczeniem albo cytata z Pascala, Chateaubrianda...

– Jeżeli pan nie chce zeznać prawdy, w ogóle mówić o tej sprawie ze mną...

– Nie chcę mówić! Z panią! Ależ przeciwnie! Pragnę o tym mówić... Wyznać przed panią... Chyba nie ma sprawy bardziej dostojnej nad takie wspólne, najdalsze spoglądanie w naszą biedną niewiadomośc. W takiej właśnie naradzie dwu dusz mogą z tajemniczych źródeł wynikać objawienia pełne błyskawic, przeczucia i chwile twórczych wstępowań po bezcennych, onyksowych schodach w Krainę Zachwytu. Ale boję się... Powiedzą o mnie bliźni: oto libertyn, który dlatego wszczyna podobne gawędy, żeby w jaśniejącej duszy zniweczyć wiarę. Na chwilę nawet nie pomyśli nikt z poczciwych bliźnich, że owe mędrkowania stanowią całkowite *uzija*, czyli jestestwo duchowe półmędrka, alfę i omegę jego duszyczki. A tymczasem ów świat przebyty został własnymi stopami, zdobyty własną myślą i pracą. Nic w nim z cudzej, narzuconej własności, nic z jakiegokolwiek dziedzictwa.

– Czy to nie złudzenie? Czy jest człowiek, który by nic nie dziedziczył? Mnie się zdaje... Ale czy mogę powiedzieć otwarcie?

– Ach, proszę!

– Mnie się zdaje, że skoro tylko człowiek wyrwie się ze sfery uczuć wrodzonych wszystkim bez wyjątku ludziom na ziemi, wówczas nabiera pewności siebie i dumy dlatego tylko, że jest inny od „tłumu”. Gdyby kto dziś zaczął podawać w wątpliwość twierdzenie Kopernika, z pewnością zaraz nabrałby dumy i gardził tłumem.

– Inna jest wiarogodność systemu Kopernika, a inna wiarogodność twierdzenia, że wiadome uczucia są wrodzone wszystkim ludziom. Właśnie to jest najbardziej uderzające, że te uczucia nie są wrodzone wszystkim ludziom na świecie. Są tacy ludzie, którzy ich wcale nie znają.

– O, to ciekawe, to, wie pan, arcyciekawe!...

– Istotnie. Nauka, której się specjalnie „poświęcam”, to jest antropologia, stwierdziła i ciągle stwierdza, że u bardzo wielu tak zwanych dzikich – idee religijne nie powstają i nie istnieją. Są to jednak, o ile sobie przypominam, również ludzie. Że to są ludzie, stwierdzają najdowodniej religie europejskie, które zaczęły o „duszę” tych brudasów troszczyć się na gwałt ostatnimi czasy. Podobnie jak z „dzikimi” ma się rzecz z dziećmi wskutek rozmaitych braków cielesnych pozbawionymi możliwości obcowania ze starszymi od najwcześniejszych dni bytu. Osoby głuchonieme, które ukształcono dopiero w ich wieku dojrzałym, zgodnie świadczyły, że same ze siebie, w stanie naturalnym niejako ich życia, nie miały wcale myśli o Stwórcy!

– Któż zaręczy z ręką na sercu, że badania tego rodzaju mogą być przeprowadzone ze ścisłością naukową i że są obrazem

prawdy? Czy pan może za to ręczyć, że dusze „dzikich” przenikniono⁴⁰ do dna?

– Ja sądzę, że badania tego rodzaju mają bezcenną wartość. Ale mniejsza o to... Zwróćmy oczy na przeszłość choćby tych samych ludów, które zaległy ziemię i są teraz wessane przez silwasy, pampasy, lianosy, na Etiopów, Malajów, Czerwonoskórych... Spójrzmy w noc historii. Czasami tylko stos kości w polu, czasami tylko ciemne smugi próchnicy w glinie powiedzą badaczowi, że jakiś lud wyginął, potargany przez łby katapult albo czerepy granatów. Zdarzyło mi się jedną noc przemarzyć nad omurowanymi fosami Mantui. Czerwona, zgniła, stojąca woda i bujne platany!... Ludzie rozstrzelani, których Goya pochwycił w szpony swego geniuszu!... Ach, raz – małe rycinki sztycharza z początku XVII wieku, Jakuba Callota, zebrane w szereg pt. *Les misères de la guerre*, pozdrowiły mnie tak straszliwym krzykiem przeszłości, żem go wyraźnie usłyszał...

– O czym pan mówi?

– Mówię ciągle o tej samej sprawie... O przedmieściach wielkich stolic, o ludziach w walcowniach i tkalniach. Zniweczenie i wytępienie jednych na korzyść innych, byleby stało się zadość widzeniu, jak „jedni drugie będą zabijali”... A nad tym wszystkim, co było i jest, hymn: *Te Deum laudamus*⁴¹... Tak było zawsze. Nauka o człowieku doprowadza bezstronnego badacza...

⁴⁰ *przenikniono* – dziś popr. forma: *przeniknięto*. [przypis edytorski]

⁴¹ *Te Deum laudamus* (łac.) – Ciebie Boga wychwalamy. [przypis edytorski]

– Ten wniosek może być fałszywy! Jak można tak bezczelnie mówić o Bogu! O Bogu! Jak można podnosić na Boga oczy i dotykać Go słowami! Umiera tak samo zabójca jak ofiara, zwycięzca i pokonany, magnat i nędzarz. Któż może twierdzić, że życie nędzarza nie jest częstokroć tysiąc razy lepsze, weselsze, jaśniejsze od życia bogacza? A nie było jeszcze takiego bogacza, który by nie umarł. Cóż mu z miliardów i pałaców, kiedy zjedzą go te same robaki, które zjedzą jego lokaja. A po śmierci... może ów sługa zasiądzie na prawicy Miłosierdzia, a pan wielomilionowy... Bo po śmierci jest sąd, piekło i niebo.

– No, tak. Pewna, bądź co bądź, jest w obecnym stanie pierwsza z tych czterech kategorii. Tę musimy przyjąć do wiadomości...

– Trzeba wiele i żarliwie rozmyślać o śmierci. Wówczas dopiero rozświećta się wszystko. Wielkość życia maleje i nędzne sprawy tutejsze – nie wyłączając wojen punickich, napoleońskich, nie wyłączając władzy miliardów i nędzy ludzi bez dachu – staje się jak proch. Gdyby milioner amerykański był w stanie zajrzeć we wnętrze własnej swej trumny we trzy tygodnie po pompie pogrzebowej – inaczej by żył. Święty Franciszek z Asyżu, największy skarb ładu ziemskiego, wierzył w Boga. Są zakony, które rozmyślaniami o śmierci zajmują się w ciągu wieków, a członkowie ich witają się i żegnają słowami: „pamiętaj, że umrzesz”.

– Natomiast Greczyn niektóry, imieniem Sokrates, wcale nie zajmował się swoją śmiercią. Przeciwnie, jak świadczy jego

uczeń i przyjaciel Plato, nazywał ją rzeczą dobrą, a nawet zyskiem. Tak się właśnie o śmierci wyrażał: „κέρδος ἔγωγε λέγω⁴²”.

Porównywał śmierć do mocnego snu bez marzeń, wzruszeń, cierpień i radości, do snu niezmaconego, który każdy człowiek za największe szczęście uznaje, a którego sam król perski nie zawsze doświadcza. Wszystek czas pośmiertny przedstawiał, w istocie, przemądrze i nieodparcie widocznie, jako jedną noc głuchosenną. Brzmia mi te słowa w duszy: „οὐδὲν πλείων ὁ πᾶς χρόνος φαίνεται οὕτω δὴ εἶναι ἢ μία νύξ⁴³”. A czyż nie „zyskiem” będzie owa wieczna noc dla ludzi przeklętych od losu, zaszczutych przez sfory łotrów, dla ludzi smutnych, zranionych przez straszliwe niedole, dla tych wszystkich, którzy tu spać nie mogą, bo serce ich czuwa, a piersi bez przerwy krzyczą z rozpacz?

Zdarzyło mi się raz we Lwowie, w brukowym dzienniku, między mnóstwem wiadomości pobieżnych, przeczytać opis włamania się władz do pokoju samobójcy w hotelu, i o znalezieniu na stole karteczki z tymi słowy: „Dość już nareszcie tego życia!”. Jakże też było to życie, jak wesoło musiało upływać! Pani, czemu Bóg „zatwardził serce” tego człowieka? Czemu zgasił przed jego oczyma istniejący świat? Jakże szczęśliwa

⁴² κέρδος ἔγωγε λέγω (gr.) – (sądzę, że) dla mnie jest zyskiem; por. Platon, *Apologia Sokratesa*, 40e. [przypis edytorski]

⁴³ οὐδὲν πλείων ὁ πᾶς χρόνος φαίνεται οὕτω δὴ εἶναι ἢ μία νύξ (gr.) – (bo) całkowita suma czasu jest zatem niczym jedna noc; por. Platon, *Apologia Sokratesa*, 40e. [przypis edytorski]

musiała być nareszcie cisza wieczna i spokój, trwające jako jedna noc twardego snu. *Mía vúξ*⁴⁴. Mnich powtarzający za innymi rozkaz: „pamiętaj o śmierci” – jest wobec tamtego z hotelu żołdatem leniwego ducha i umysłu. Nieporównany wśród nas człowiek, Matlakowski⁴⁵, gdy umierał, kazał do siebie przyprowadzić ukochane dziecko, a napatrzwszy go się, napatrzwszy aż do śmierci, zawinął się w kołdrę, odwrócił do ściany i rzekł: „No, teraz już będę tego spał”.

– Zdaje się, że ja o tym samym...

– Nie, nie! Oto do czego dążę. Śmierć jest faktem, którego jeszcze nikt nie uniknął. Tak pani powiedziała. I to jest nowa prawda, choć wydaje się być powszechnie znaną od początku świata. Skoro zaś śmierć jest tak powszechnym zjawiskiem, więc nie rozmyślać o niej należy, jak to czynią ludzie słabi i mnisi niewolniczego ducha, lecz zapomnieć i nigdy o niej nie myśleć. Jest to wróg, który wcześniej lub później przyjdzie i zamorduje każdego z nas. Należy mieć tyle honoru, żeby pogardzić tym wrogiem. Tak czynią mężni żołnierze i wszyscy na świecie bohaterowie. Bo bohaterstwo jest to nade wszystko pogarda śmierci. Człowiek mądry nie uważa śmierci za rzeczywistość

⁴⁴ *μία νύξ* (gr.) – (jedna) noc. [przypis edytorski]

⁴⁵ *Matlakowski, Władysław* (1850–1895) – znany chirurg, ordynator w Szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie, redaktor „Gazety Lekarskiej”, autor ok. 120 prac z zakresu medycyny; jeden z pierwszych badaczy sztuki ludowej Podhala (gromadził tamtejszy folklor muzyczny i słowny, utrzymywał i analizował typy zdobnictwa itp.), a także tłumacz z angielskiego (m.in. *Hamleta* Shakespeare’a; wyd. tłumaczenia 1894); zmarł na gruźlicę w wieku 45 lat. [przypis edytorski]

godną myślenia. Przedmiotem myślenia filozoficznego może być tylko życie. Życie jest to ogrom niezbadany, nieprzebyty, jak podbiegunowy las dla samotnego wędrowca bez broni. Jest to wciąż jeszcze puszcza, w której niewyrębana jest ani jedna ścieżka. Śmierć wobec życia, wielkości zupełnie nieznanej, jest wielkością nieskończenie małą, dokładnie i ze wszech stron znaną, śmierć daje pole do marzeń. Jest to godne uwagi, że najbardziej lubią rozwodzić się o śmierci ludzie młodszy, początkujący poeci (choć zdarza się to i starym poetom).

Ci ludzie przypominają mi pewne zdarzenie. Byłem raz w Paryżu na wystawie obrazów, w Salonie Wiosennym. Było tam wiele dzieł niezrównanych, istnych dzieł sztuki. Przed jednym z nich siedziałem w kącie kanapki, zatopiony w marzenia, które obraz wzbudzał. Raptem weszły na salę dwie młode, strojne damy. Szły żywo rozmawiając, sprzecząc się, dowodząc. Przebiegały od jednego obrazu do drugiego. Na ten zwróciły swe szkła o długich rączkach (*Judenstocki*⁴⁶), na tamten zerknęły przez ramię. Tu coś do siebie bąknęły. Tam najniespodziewaniej zachichotały. Nawet i mój obraz, że się tak wyrażę, obwąchały z bliska, bez cienia uwagi.

Przebiegły szeleszcząc sukniemi jedną salę, drugą, trzecią w ten sam sposób. Widziałem je ciągle, gdyż bez przerwy włożyły mi w oczy ze swymi piórami na kapeluszach, z szelestem swych jedwabów. Kiedy przecwalaowały już przez wszystkie

⁴⁶ *Judenstocki* – znane również pod fr. nazwą *lorgnon*, okulary na długim trzonku umocowanym z boku, podnoszone do oczu w razie potrzeby. [przypis edytorski]

sale, nie zatrzymawszy się przed żadnym z dzieł sztuki, z których każde bez wyjątku było owocem wielkiej pracy, a niejedno arcytworem, dopadły wreszcie owe damy do małych drzwiczek w ostatniej sali. Drzwiczki te prowadziły na strych, do składu rupieci, połamanych ram, niepotrzebnych stalug, płócien i tym podobnych sprzętów. Damy poczęły dobijać się do tych drzwi, szarpać za klamkę, wreszcie kołatać. Ponieważ drzwi były zamknięte na klucz, udały się co prędzej do portiera z natarczywym badaniem, co tam jest za nimi! Chciały to wiedzieć, nie mogły przecie odejść z wystawy nie dowiedziawszy się, co ukrywają tajemnicze drzwiczki. Rozprawiacze o śmierci robią na mnie wrażenie...

– Gdzieś to czytałam, że prawd ścisłych nie można żadną miarą dowodzić za pomocą przenośni, metafor, podobieństw i porównań. Co innego jest, przypuszczam, ciekawość rzeczy pośmiertnych świętej Teresy albo Dantego, a co innego ciekawość owych dam, co jest za drzwiczkami na strychu.

– Ma pani słuszość. Ale owe damy przypominają ludzi majaczących o śmierci, którzy wcale nie znają życia. Ojciec rodziny, mąż czynu, człowiek ciężko chory nigdy ani przez chwilę o niej nie myślą. A każdy wielki charakter ma ją w najzupełniejszej pogardzie, ów oficer japoński, który wyrok śmierci, wydany nań przez cudzoziemski sąd polowy, przyjmuje bez drżenia jednego muskułu, z uśmiechem, salutując ją po wojskowemu jak siłę, którą się zna z matematyczną dokładnością!... Oto wszystko. Jest to rzecz znamienna, że

cywilizacja starego świata doszła do tych samych wyników, co cywilizacja tak odmienna od naszej, jak japońska. Już stary wyjadacz wszelkich systemów myślenia, znawca doktryn życia i, oczywiście, eklektyk, Cyncero, zaklina ludzkość w swych bredzeniach tuskulańskich, powtarzając z patosem myśli od stoików na wieczne nieoddanie pożyczoną, żeby ludzie, przepraszam za łacinę, *mortem vel optare incipient vel certe timere desistant*, to jest, żeby pałali żądzą śmierci (w czym stary adwokat przeholował) albo – co jest sworzniem zwierającym sprawy starego świata, na czym stała wieczna potęga Grecji i wszystkie czyny żelaznego Rzymu – żeby pogardzali śmiercią. Cóż komu przyjdzie z pytań pitagorejczyków: „skąd przybywa duch, dokąd zdąża i po co jest posępne misterium śmierci?”. Cóż komu przyjdzie z pięknych inwokacji Wiktora Hugo:

„Co robi śmierć z naszą duszą? Jaką jej zostawia naturę? Co jej odbiera, a czym ją obdarza? Gdzie ją podziwia? Czy jej użyczą choć czasami oczu ciała, ażeby dusza mogła patrzeć na ziemię i płakać?”.

– Jeżeli komu rodzą się w sercu takie pytania, a pan na nie żadnej odpowiedzi dać nie może, to jakimże prawem nastaje pan na ich bolesną ciekawość?...

Już mrok zapadał i ciemność wpływała w ogród.

Drzewa bezlistne jeszcze świeciły się konarami, lecz pnie już zatoneły w pomroce. To, co mówił Niepołomski, nie raziło już Ewy... Przeciwnie, podniosła cisza płynęła na nią z tych słów.

Wszystko, czego oczy mogły osiągnąć jeszcze w następującej ciemności, stawało się uroczyste, piękne i namaszczone.

Pnie drzew, poręcze ławek, kształty wygięte drożyn, ścieżek, zarysy różowe dalekich gmachów – wszystko wychylało się z mroku i, stawszy się niejako istotami żywymi, zwróciło ku rozmawiającym uśmiechnięte, przyjazne i braterskie oblicza.

Unosiło się jeszcze nad nimi lśnienie szczególnego światła i wyróżniło je z tysiąca innych zjawisk i kształtów. A lśnienie owo przenikało do głębi duszy, jak promień przenika głębiny wody. Nie takie było w rzeczywistości wrażenie od tych przedmiotów i nie to czuli patrzący na nie, ale można by powiedzieć, że rzeczy te i zjawiska, wrastając w szczęśliwe oczy i w szczęśliwe serca, oddawały z dala pokłony, przesyłały jakoweś znaki, symbole i sygnały. Wynikła z nich świta przyjaciół, tłum sojuszników, przypuszczonych do sekretu, który stał się wspólnym i na najświętsze zawołanie zaprzysiężonym.

Niepołomski podniósł się ze swego miejsca, uklonił i odszedł. Przez chwilę jeszcze widziała jego szare palto w alei, po czym między drzewami. Znikł.

*

W nocy zasnęła była twardo i przez czas długi spała bez widzeń. Aż oto, jakby z otworzeliska ciemnego, wystąpił w całej zbroi sen na podobieństwo tragedii Szekspira.

Działy się dookoła i w niej samej rzeczy straszliwe i wzniosłe.

Wszystko było w ruchu i pełne krzyku. Widziała jak gdyby ucztę osób ukoronowanych i zgiełk tuż obok ludzi uzbrojonych. Skądś, z tłumu, nadszedł Niepołomski.

Biegł w popłochu, przeciskał się przez ciżbę osób obcych, brutalnych, ohydnie twardych w spojrzeniu. Miał na ustach jakąś wieść, wiadomość, sygnał czy znak. Wyczekiwała, żeby co prędzej zbliżył się do niej, i nie mogła doczekać, chciała ku niemu biec i nie mogła. Upadła pod jakimiś drzwiami, w których on stał, i zasłoniła go sobą.

A wokół dym, strzały rewolwerowe... Rzuciła się całym ciałem naprzód...

Ale oto prysnęło i pierzchnęło wszystko. Stała nad brzegiem jaru, na wsi, w miejscu, które niegdyś widziała. Zdarzyło się w jej życiu, że jechała była sama od krewnych do stacji kolejowej małą bryczulką zaprzężoną w jednego konia. – Pierwszy i ostatni raz jechała tamtędy przez dolinę pustą, zapadłą, zamkniętą ze wszech stron świata między wzgórzami, jakby w więzieniu.

Był tam szereg stawów, jeden za drugim idących, które z niewiadomych przyczyn skasowano. Na olbrzymich stawiskach były już teraz uprawne pola, łąki, łozy, gęstwiny i rozległe sitowia. Po stawach zostały jeno groble i ruiny upustów. Zarówno groble jak upusty nie wiedzieć czemu sprawiały (wówczas) wrażenie bolesne. Szczególniej upusty – ognie resztki młyńskich pogródek, zzieleniałe ślady stawideł. Bystry ruczaj biegł środkiem stawisk i w szumiących wodospadach zlatywał z czarnych palów, hucząc w kilkunastu miejscach,

co tworzyło bolesną muzykę. Dookoła doliny po wzgórzach wieszały się nieregularnie rozrzucone chaty długiej wsi. W głębi ze wszech stron czerniał bór liściasty. Była wówczas jesień i ciemny padał mrok na przedziwną kotlinę. Wody pędzące w jej głębi miały jakowyś zaciekły, oskarżający ton w swym szumie. Sprawiały wrażenie żywe, podobne do głosu dzikiego chłopstwa, które mamroce między sobą, zmawia się i protestuje w głupocie swej przeciwko czemuś, czego nie rozumie wcale – burzy się i grozi pomrukiem, a jednocześnie tchórzy szelmowsko przed niewiadomymi zamachy. Teraz we śnie Ewa uczuła trwogę i żal, rozpacz i boleść wobec tej wody szumiącej czy tego chłopstwa zmawiającego się na nią. Zeszła, niosąc w sercu to uczucie ciężkie, poza ostatni staw, w miejsce, na które tylko rzuciła okiem, przejeżdżając wówczas.

Niezliczone sitowia, trzciny skrzypiące, wrzask szpaków, poświstywanie wodnego ptactwa... Mrok pada z dębów wielkodrzewów, mrok duszy samotnej wobec dziczy i krzywdy. Staw olbrzymi wyłamał w grobli wyrwę, w której zmieścić by się mogła wielkomiejska kamienica – i uciekł. Po upuście zostały tylko wielkie, pokrzyżowane ruiny, koślawe pale i posplatane belki, niby piszczele zaciśnięte kurczowo, oplecione chwastem, obrosłe dyndającym mchem. Były to zaiste poprzetręcane kły i ohydne gnaty potwora. To, co zostało w tej ruinie, było już tak mocne jak siła zniszczenia i ostało się szczerząc zęby. Woda spadała z obeschłego stawiska szumnym a ponurym ruczajem w dół i wybiwszy głęboką jamę biegła dalej z chyżością. Nad

ten to jar, w miejsce nieznane, którego nie mogła osiągnąć oczyma, Ewa przysłała we śnie. Czepiała się rękoma leszczyn, tarek, rokicin, spod których łzawiło się szkliwo zaskórnej wody i patrzeć poczęła w dół. Wraz z bryłami mokrej ziemi zsunęła się ku rzeczulce, cicho sepleniącej w dole. Z oczyma wbitymi w jej chytrą, kryjącą się, ślepą toń, spadała, zsuwała się, szła bezwładnymi nogami. Strach, ciekawość... Aż wreszcie wstąpiła bosymi stopy⁴⁷ w zimny, rwący nurt. Głowa jej zwisała na brzeg, a bezwładne czoło upadło na kępy zielonych chwastów. Było duszno i gorzko na duszy. Ostry zapach wodorostów, staplanych liści...

Przestała widzieć... Aż oto wydzwignął ją i wyniósł z ciemności jakoby ojciec czy inny człowiek. Och, wyszła stamtąd! Spieszyła teraz w nocy ciemnym polem, ciemnym polem... Po zagonach, przez samotne, opuszczone, pozaludzkie pola. Strach ją doganiał, świszczwał wiatr. Jakaś droga polna z dawno zaschłymi w mokrej glinie kolejami... Biegnie w dal, woła. O ludzie, ludzie! Piersi zduszone rękoma strachu...

Wtedy to ujrzała nagle a tuż przed sobą ogród, jakoby raj. Daleko wschodzi błękitny poranek. Kwiat oblepił drzewa wiśniowe, wyniosłe różgi czereśni bieleją na błękitach. Och, te drzewa! Rozkosz widzenia ich we śnie, nad szmaragdową murawą, nad rabatami spulchnionej ziemi. Poranek wchodził w ów sad niewidziany. Za wysokim płotem-pleciakiem ze

⁴⁷ *bosymi stopy* – dziś popr. forma: *bosymi stopami*. [przypis edytorski]

świerkowych spławin, za wrotyma⁴⁸ z ledwie ciosanych balas⁴⁹ tai się w mroku sad. Trawy w nim w pas. Zwarty gąszcz wyniosłej koniczyny – istny bór! – Gąszczu, gąszczu niedotknięty⁵⁰ stopą ni dłonią! Wiatr cię jeno muska, deszcz wiosenny żywi i kąpie, a tylko pszczoły obciążają. Wielkie kule kwiatów napełnił przynajśłodszy miód i ubarwiła je szata całująca w usta i oczy. Tam nisko, spodem... Gdzie oczy padną, zalew łaskawej dla oczu białej koniczyny, jakby mrowie biedy, chłopskiego moc narodu... Tam i sam, tam i sam tkwią, wbite w wiotkie trawy, w miękkie jak dym czy mgła pawłoki mietlicy złotolite łby-gwoździe przydrożnika. Ewa śni – widzi. Wyciąga ręce. Dotknęła dłońmi wrót. Mokre od rosy drewna, zimna ich kora do rąk przystaje. Pchnęła zmurszałe wierzeje. Obróciły się bez szelestu na swych witkach brzozowych, obróciły się na czopach zmurszałych...

Otwarły się – ni to drzwi raju. Weszła. Bosymi nogami dotknęła mroźnej rosy. Chłodne, nad miarę bujne i wysokie badyle łechtają kolana, mokre włókna jak węże snują się po palcach nóg. Dreszcz.

Teraz dostrzegła oczyma, spomiędzy czarnych bugajów koniczyny wystrzelające, nietykalne kule ostromlecza. Głowy ich, utkane ze światła księżycowego, najlżejszy oddech niweczy. Podano jej niegdyś do wierzenia baśniowe słowo i uwierzyła, że

⁴⁸ *wrotyma* – dziś popr. forma N.lm: wrotami. [przypis edytorski]

⁴⁹ *z ledwie ciosanych balas* – dziś popr.: (...) balasów. [przypis edytorski]

⁵⁰ *niedotknięty* – dziś popr. forma: niedotknięty. [przypis edytorski]

w tych łodygach tai się biały sok, trucizna wyżerająca żywe oczy.

Ktokolwiek wyciągnie rękę albo nachyliwszy się tchnie, zetrze głowę uczynioną z marzeń. Ktokolwiek zerwie łodygę, temu kwiat oczy wygryzie.

Ewa patrzy oczyma, na wskroś widzącymi, w samotne, białe puchy, rozsiane tu i tam. Wstrzymuje oddech, żeby nie popsuć tkanin wypielegnowanych przez dnie i nocę, wychowywanych przez słońce i ziemię. Nim przyjdzie podmuch zabójca, co je zniweczy niechaj sobie samotnie dumają, niech śnią swój krótki a na nic nikomu nieprzydatny sen. Nie ja, kwiatuszki, popsuję wasze głowy... Nie ja... Przenigdy! Pokój wam...

Patrzą się w nią białe, okrągłe, nadobne oczy z czarnych a mokrych traw. Zapach niewysłowny i milczenie. Oddech tajemniczego zakątka sieje w sercu uczucie rozkoszy i siłocucie młodości. Ogromne krople rosy wiszą na każdym płatkum kwiatowym, rosy wielkiej i ociążalej. Słońce olbrzymie – boskie Savitri – powstało. Czerwone światło upada w krople olbrzymie, jakoby połysk wielkiego miecza, słońce strąca każdą kroplę oddzielnie – to tu, to tam. Ciężko padają – pac... pac... Rosy padają w mokrą trawę. To w miody koniczyn, to w wiotką kulę ostromlecza. A te, co pozostały, Ewa ogląda każdą z osobna. Przykłada do każdej oczy i spogląda w wewnętrzną każdej świat.

Nad czarnym dachem strzelają w czerwone niebo dwa modrzewie, młodocianymi igły⁵¹ okryte, zielone tak, że serce bije ze szczęścia od ich widoku. W dole nad rzeką złocą się i palą

⁵¹ młodocianymi igły – dziś popr. forma N.lm: igłami. [przypis edytorski]

ogniem jaskry. Szumi woda. Senna lekkość napęnia piersi.

Wśród tej lekkości przyszło ocknienie. Ewa spostrzegła, że głowa jej zwisała za poręcz łóżka, kołdra spadła na ziemię, a całe ciało jest obnażone. Cichy śmiech objął ją słodkim, czarownym uściskiem na widok nagości własnego ciała. Serce poczęło bić, lecieć... Jeszcze słyszała kapanie wielkich ros na kule ostromlecza, na kępy koniczyzny, na swe serce i na rzęsy powiek. Rozkosz cielesna i rozkosz snu, który jeszcze nie odszedł, zdawała się leżeć na jej piersiach i wzdłuż całego ciała. Położyła się rozkosz na gorących ustach – jak usta, na oczach – jak oczy, na piersiach – jak nagie piersi.

Wtedy przyszła, jak gdyby z głębi domu, cichymi krokami⁵² straszliwa w swej mocy rozkosz-wiadomość, że on jest tu, za ścianą, której dotknęła wyciągniętą ręką. Ewa oparła na tej ścianie dłoń z rozstawionymi palcami i przymknąwszy oczy, poszła bez tchu, duszą stęsknioną, szybkimi krokami bijącego serca w głąb czarną wiśniowego sadu, ku kroplom rosy, ku ściętym modrzewiom, ku trawom, boskim arcytworom i ku onemu złotolitemu słońcu...



Rano wczas udała się do kościoła. Ale nadaremnie, ukryta w najciemniejszym kącie, obok wejścia na chór, klęcząc nagimi

⁵² *cichymi krokami* (daw.) – dziś popr. N.lm: cichymi krokami. [przypis edytorski]

kolanami na wilgotnych kamieniach, usiłowała modlić się, wzbudzić wczorajszy żal, wczorajszą skruchę i radość mocnego postanowienia. Ten stan wydarty został z jej duszy, wyszarpany z korzeniami. Czuła w sobie obecność wzruszeń, ale zgola innych. Były mocne i twarde, grubiańskie i niezwalczone dla modlitwy. Zrazu zdawało się, że te wczorajsze dowodzenia Niepołomskiego coś w niej zepsuły, zatrzymały zegar uczuć, ale przekonała się wkrótce, że tak nie jest. Patrzyła na obrazy w ołtarzach i nie widziała ich pozamalarskiej, usiłowanej, niematerialnej piękności, lecz właśnie spostrzegła malarską nieudolność. Spostrzegła nędzę, puciołowatą śmieszność barokowych (a raczej jezuickich) aniołów z wyłożonymi skrzydłami do dźwigania pokładów kurzu. Rzucała się w oczy tłustość księżulów rozsiadających się wygodnie w konfesjonałach, dreptanie starych jędz-dewotek ku uprzywilejowanym ławkom.

Czuła obrzydliwą niemoc duszy do przełamania tych zewnętrznych, cudzych wrażeń, do stłuczenia zewnętrznej skorupy Kościoła, ażeby dostać się do wczorajszej jego treści. Były chwile, że ogarniała duszę rozpacz. Ewa chciała rzucić się do pierwszego z brzegu konfesjonału i wszystko to wyznać... Chciała i nie mogła. W ostatniej chwili, kiedy już rękę opierała na ziemi, żeby się podnieść, potworny śmiech ją wstrzymywał. Zapytana w owej chwili, odpowiedziałaby bez wahania, że to szatan szkarłatnymi skrzydłami okrył jej duszę. Czuła ciężar i duszenie. I najstraszniejsza rzecz – doświadczała jakowejś satysfakcji z tego powodu, że ma w sobie takie wzruszenie

nieznane i nowe.

Przestała modlić się. Klęczała jeszcze, siedząc bezwładnie na ścierpłych nogach, z głową opartą o zimny mur. Oczy jej z niecnym uśmiechem patrzyły w głąb kościoła, gdzie jarzyć się zaczęły świece zapalone do nabożeństwa prymarii. Tam to miała przystąpić do Sakramentu Ołtarza. Rozległ się drżący dźwięk dzwonka. Cóż się z nią stało? Co się stało?

Jeszcze raz wzniosła oczy ku górze, porwała po prostu rękami za barki swą duszę i zatrzęsła nią ze wszech sił. Nadaremnie. Nic, tylko zaciekła duma, śmiech ze siebie...

Było już po nabożeństwie, kiedy powstała ze swego miejsca i nie patrząc na kościół, wyszła. Zdawało jej się, że jest chora, przeziębiona, półumarła. Szła tą samą drogą co wczoraj i ze spuszczoneymi tak samo oczyma. Tylko dziś śmiała się szyderczo, gdy przyszło, jak w wybuchową minę, uderzyć w myśl, że wraca nie przystąpiwszy... Ale już ani okruszyny żalu! Weszła w ogród i bez wahania podążyła na swoją wczorajszą ławkę. Tak musiała. Zbliżając się do tego miejsca zauważyła poprzez krzewy, ledwo osypane kłobuczkami, że tam ktoś siedzi. Domyśliła się prędzej, niż rozpoznała wzrokiem, że to Niepołomski. Ręce miał oparte na lasce, na nich opartą głowę. Nie widział jej. Mogła przejść niepostrzeżenie. Ale w tej samej chwili wychyliła się jasna świadomość, że to, co się stało, ma swą logikę, sens i porządek. Dlatego nie przystąpiła do sakramentu, dlatego nie mogła się modlić, dlatego wyszła z kościoła, że jego tu spotkać miała. Ponure pytanie, którego sformułować nie sposób, trzymało ją na

miejsu. Wahala się i kołysała w sobie. Aż oto – z podniesioną głową szybko podeszła ku niemu.

Podniósł oczy i wzdrygnął się. Spłonął z uśmiechu. Nie zdjął nawet kapelusza, nie wstał. Siedział wciąż tak samo z rękami daleko wyciągniętymi i wspartymi na lasce. Nieoczekiwana radość, uszczęśliwienie spadające nagle a niespodziewanie, jak rześistość deszczu na spaloną ziemię, szczęście wydające na łup wszystko od razu – obezwładniło jego postać. Nie wiedząc, jak się to stało i kiedy, przez chwilę zatonęli oczyma w oczach, wcielili się oczyma jedno w drugie, weszli w precudowne a rozwarne podwoje szczęścia, w rozkosz mroku spojrzenia jednego we dwu osobach. Ogarnęło ich, nie wiedzieć: krótkie czy długie, nabożeństwo wstępowania oczyma w oczy i zagłębiania się wzajem w ducha przez czarodziejskie obnażenia spojrzeń. Ewa uczuła, że ją całą, od stóp do głów, powleka rumieniec, i miała wiadomość o rozkoszy powlekania się nim nie tylko dlatego, że to dawało nieopisany upał szczęścia, ale i dlatego także, że oczy jego mdlały wówczas dwakroć, trzykroć, dziesięćkroć piękniej. Stawał się piękny w uśmiechu i miły jak ów sen nocny o rannych rosach. Był tak straszliwie piękny tylko przez chwilę, ale na zawsze w pamięci właśnie taki pozostał.

– Skąd pani wraca? – zapytał głosem mimo woli cichym, sekretnym, niemal spiskowym.

– Idę z kościoła.

– Ach, tak...

– O czym pan myślał, jak pan tu siedział? – zapytała z kolei,

wiedząc dobrze, a jednak nie zdając sobie umyślnie sprawy z tego, że wywoła odpowiedź.

– O pani.

– Cóż pan o mnie myślał?

Jakoś leniwie otrząsnął się i rysując laską na piasku gzygżaki mówił sobie:

– „Są prawdy, których mędrzec nikomu nie powie”.

– Co za mędrzec? – spytała ze swobodą i przepyszną wesołością, roztwierając oczy.

– Nie lubi pani, na przykład, mędrców?

– A skądże ja, dziewczę z parafii, mogę mieć najślabsze nawet wyobrażenie o historiach tak amarantowych, jak o tym, co to jest, na przykład, mędrzec?

– Mędrzec – jest to człowiek szczęśliwy. Z zastrzeżeniem: w tej chwili. Paradoks głosi: *sapientem solum felicem esse*⁵³.

– Po łacinie? Uciekam do domu!

– Niech pani jeszcze nie odchodzi. Przecież jeszcze niczegośmy się nie dowiedzieli... Ja przynajmniej nie wiem nawet tego, jak pani na imię.

– A po cóż to znowu może być panu potrzebne?

– Do rozmyślań i spekulacji naukowych – łacińskich, hebrajsko-amarantowych.

– E – wie pan co – nie powiem, jak mi na imię. Po co, na co to panu? Z jakiej racji? Jeszcze pan komu obcemu powtórzy,

⁵³ *sapientem solum felicem esse* (łac.) – tylko mądry jest szczęśliwy; tylko mądry potrafi być szczęśliwy. [przypis edytorski]

narobi pan plotek...

– O tym imieniu?

– A o tym imieniu.

– Nikomu nie powiem! Sam będę to imię miał w sobie, jak woda ma czasami w największej swej głębokości słońce ze szczytu nieba.

– Och, jakie zawikłane porównanie!

– Wie pani, jest jedna taka woda na świecie...

– Nic nie chcę wiedzieć o żadnej wodzie na świecie!

– Niech pani zechce usiąść na tej ławce i posłuchać. To jest bardzo interesujące. Proszę powiedzieć mi imię swoje.

– A przecie pan słyszał wczoraj, jak Horścik bełkotał z „ciocią” Barnawską.

– Nie słyszałem... A on mówił naprawdę?

– Mówił.

– I ja, kretyn, nie spostrzegłem...

– Nie wypada mi potwierdzać...

– Ale pani teraz mi powie. Przecież tylko o imię chodzi.

– Fuksja... do usług.

– Proszę nie żartować!

– Nieładne? Pan wolałby pewno, żeby było – Pelargonia...

Ale cóż począć!

– Pani powinno by być na imię Jasność, Jaśnienie... Czy jest takie imię w kalendarzu?

– Nie czytuję kalendarza – panie!

– Jak by też to było zdrobniale od Jasność?

– Oczywiście – Nitouche⁵⁴.

– Ach, jakże można coś podobnego wymawiać! Chciałem powiedzieć... Ja sobie układałem, że Jasne Słoneczko, Błogousta, Jasnotka...

– Lepiej języczek trzymać zawsze za zębami. Tę cnotę nad cnotami nawet mędrcom się chwali.

– Imię!

– No, więc coś z tego?... Dajmy na to, że powiem. I coś z tego? Czy panu przybędzie zdrowia, szczęścia, pomyślności albo fortuny? Żeby choć Zofia albo Aniela, albo choć jaka Helena...

– A tu co?

– A tu... o wstydzie! Nie, to okropne! Nawet...

– Pani!

– No, niech pan przynajmniej zamknie oczy. A tu dopiero... Ewa... pierwsza grzesznica.

– Ewa. I to na serio?

– Niestety! Tak stoi w metryce, a nawet w biurze adresowym. Mówiła to ze śmiechem i w tonie łobuzerskim, a jednak cała znowu pokryła się rumieńcem. Oczy jej zlekły się wzroku rozmówcy.

– Ewa... – mówił Niepołomski do siebie, głosem matowym, który zagłębił się w ten wyraz i w nim utonął. – Ewa, po hebrajsku *Jewe*, jest to czarujący czasownik, który w trybie

⁵⁴ *Nitouche* – dosł. fr.: niedotykalska; nawiązanie do komediowej operetki Louis-Auguste-Florimonda Ronger zw. Hervé (1825–1892) *Mam'zelle Nitouche*. [przypis edytorski]

bezokolicznikowym tylko jakby sam dla siebie egzystuje, a znaczy – istnieć. Ewa jest to istność, która była, jest i będzie. Jest to kobieta nieśmiertelna. Ewa znaczy to samo co niebiańska Izys: przebywająca w przestworzach nieskończoności.

Posłyszawszy te słowa, doświadczyła najmniej oczekiwanego w sobie uczucia wesołości. Miała, wbrew woli, chęć dowcipkować, wyśmiewać, ośmieszać, a nawet miażdżyć i do góry nogami wywracać za pomocą drwiny tkliwe tchnienia duszy lecące w dźwiękach i spojrzeniach. Skądś wyrosła w uczuciu cierpka złośliwość i chęć potargania tkanin jeszcze niezwiązanych, co się ledwie z nicości wychylały. Roily się słowa zuchwałe i pospolite. Wszystkie wydają się dobre i godziwe. Gotowa by wszystko powiedzieć na złość sobie i na złość słuchaczowi.

Za chwilę ów dziwaczny nastrój znikł. Jakiś przestach i popłoch... „Iść do domu!” – rozkazała sobie kategorycznie. Ale jedno spojrzenie Niepołomskiego, spojrzenie z dołu, spojrzenie żebraka bez sił leżącego przy drodze... Skądże tak przedziwne uczucie prawdy teraz dopiero znalezionej w przepaściach, skąd brzmienie archanielskie wokoło głowy? Skąd uśmiech, w którym zawarła się wiekuistość? Siła i rozkosz w całym jestestwie obojga. Niebieskie oczy jej zdawały się zostawiać w przestworzu niebiański szlak. Współzachwyt przeistaczał się i wyrażał na zewnątrz w bezwiednym naśladownictwie ruchów i wzajem bezcennego brzmienia głosu. Na oczy wpół opuszczały się rzęsy, białka zaciągały się barwą błękitną, rysy martwiały i twarze

bladły. Słowa stały się przyciszone, przejęte zawstydzeniem, zdradą, spozierające już to naprzód, już poza siebie.

– Idę już. Do widzenia... – rzekła w zamyśleniu.

– Dlaczegoż pani odchodzi?

– Muszę do domu. O dziewiątej do biura.

– Pani pracuje w biurze?

– Tak.

– W jakim biurze?

– W biurze zarządu kolei. W dziale przychodu...

– Czy to już dawno?

– Trzy lata.

– Jakież tam pani ma zajęcie?

– Robię „normy”.

– Cóż to za normy?

– To, proszę pana, dodawanie, czasami nawet odejmowanie, przede wszystkim zaś pisanie. Dziewięć arkuszy, czterdzieści rubryk, czyli 250 linii dziennie.

– A pensja, jeśli wolno zapytać?

– Wolno. Zresztą, to można zobaczyć w etacie. A tak. Rubli srebrem pięćdziesiąt miesięcznie, tak, panie. Początkowo było 26 rubli i kopiejek 10, a teraz pięćdziesiąt. Słyszysz pan? Jeśli zaś robić dziennie trzy normy, co jest rzecz arcyniemiła, to można zarobić jeszcze 30 rubli. Wynosi to jednak dwanaście godzin pracy dziennej, czyli wbrew wszelkim zasadom proletariackim. Odchodzę. Do widzenia...



Niepołomski siedział na „swym” fotelu w mieszkaniu państwa Pobratyńskich. Fotel ów stał w ciemnym zaułku niszy, tuż obok drzwi do kuchni a naprzeciwko wejściowych. W sąsiedztwie fotela, czyli „karła”, mieściła się „serwantka” z wybitymi pół na pół szybami, zakurzony skarbczyk rodziny (szkło czeskie, fajans, flaszeczki, postumenciki, figurki świętych, garnuszki z napisami „Pamiętka z Częstochowy”, pudełka z firaneczkami, w których stare opłatki, a nawet książki: *Choix de monuments...*, kilka powieści Kraszewskiego, trzy tomy „Biblioteki Warszawskiej” z roku 1856, *Meir Ezofowicz...*).

Obok szafki, pod prostym kątem do „karła”, „zajmowała miejsce”, według opinii zameężnej córki rodu i jej ironizującego męża, kanapa. Dzieje tego mebla musiały nie być wesołe. Okolice przeznaczone do siedzenia zapadły się były dawno i na czas nieograniczony, tworząc wgłębią powierzchnię, która stykała się niemal z poziomem podłogi.

To zbliżenie prawdopodobnie dało asumpt Niepołomskiemu do przewania kanapy „niemal-styczną” w jej niejako wiekuistym a przecie bezcelowym dążeniu do zetknięcia się, wsparcia i zjednoczenia w spokoju wiecznym z wymienioną wyżej prostą – podłogą.

Stary pan Pobratyński nie bez akcentu rzewności (czy dumy) nadawał kanapie w chwilach właściwych nazwę dość zagadkową:

zwał ją „palisandrową”.

Nazwa ta budziła uśmiechy melancholijne, jeżeli nie zgoła cyniczne. Jakkolwiek bądź, okolica: kanapa, fotel, serwantka – była miejscem przenajdroższym dla pewnych osób w lokalu. Trudno zaiste uwierzyć, jak owe stare meble, owe, powiedzmy bez obłudy, graty, przeistoczyły się owymi czasy.

Była to ich młodość powtórna, ich zmartwychwstanie z nędzy i nicości. Gdyby ktokolwiek chciał usunąć „niemal-styczną” z miejsca, które „zajmowała”, gdyby chciał wydłubać z niszy fotel, wrośnięty w światło Rembrandta, zapomnienie i wzgardę, gdyby chciał poprzewracać figurynki, bohomazki i potwornostki przechowywane z barbarzyńską doprawdy pieczołowitością, popełniłby zabójstwo ducha tych miejsc i rzeczy.

Od tej chwili, kiedy stary pan Pobratyński wrócił do domu z wiadomością, że dzięki bilecikowi polecającemu Niepołomskiego otrzymał posadę u Kraftów, krótko mówiąc, na sześćdziesiąt rubli miesięcznie, nowy lokator stał się jego i córki (oficjalnie!) bożyszczem. Zaproponowano mu ze strony miarodajnej, bo ze strony matki rodu, w sposób tkliwie serdeczny a pełen godności, żeby się stołował. Przyjął bez jednej chwili namysłu, i bez wahania zaczął płacić za obiady cenę niepraktykowanie sowitą.

W ten sposób wyrugował Horsta. Przychodząc na obiad i oczekując nań (co zdarzało się zawsze wcześniej, niżby tego okoliczności wymagać mogły), Niepołomski zagłębiał się w czarny fotel i czekał bardzo cierpliwie. Obiady podawano

punktualnie ze względu na to, że Ewa przychodziła na nie z biura terminowo co do sekundy. Właściwie nie miała prawa wydalać się na obiad, gdyż regulamin na to nie pozwalał. Ponieważ jednak biura kolejowe znajdowały się w pobliżu, umiała wszystko wykonać w pół godziny.

Od chwili otrzymania posady w „Kraftach” również punktualnie przychodził ojciec rodziny. Ewa starała się zazwyczaj bawić „obcego” w czasie oczekiwania na wazę. Wypadało jej siadać w rogu kanapy, w pobliżu fotela. Pięć, najwyżej siedem minut trwała codziennie ta rozmowa, zwana przez urzędnika od Kraftów dyskursem albo konwersacją. („Przerwijcie no, moi państwo, waszą konwersację – względnie »dyskurs« – albowiem waza wjeżdża na stół...”) Ewa posiadała umiejętność zabierania miejsca na „niemal-stycznej” w sposób iście archanielski.

Było to na brzeżku drewnianym – zapewne – ale nie stanowiło przecież zniewagi i pohańbienia dla starej, pocziwej, sponiewieranej kanapy. Zajmując miejsce, Ewa wsuwała się ruchem fali rzecznej z owego miejsca na ziemi, które znał tylko Niepołomski – w zdradzieckie zagłębienia, zawisała na pochyłościach i upłazach jakby w powietrzu. Nigdy nie była tak cudownie piękna jak wówczas. Miała urok błękitnego obłoku, który zawisł na zrębach i szczybach skalistej góry. – Może dlatego, że wstydziła się i za siebie, i za starą towarzyszkę rodu, a wstydząc się za nią, żałowała jej odrobinę, podobnie jak się człowiek wstydzi prostactwa krewnych, a żałuje zarazem

ich upośledzenia. Wtedy to oczy jej nabierały wyrazu, którego Niepołomski tak łaknął i pragnął od poranka do wieczora i od wieczora do świtu.

Zaraz po obiedzie Ewa wybiegała do biura. Wracła do domu po trzeciej, czasami znacznie później, gdy pracowała ponad normę. Wówczas ośmio- albo dziesięciogodzinny czas jej pracy miał tę jedną jedyną przerwę półgodzinną.

Gdy wbiegała do domu, gdy rozległ się dzwonek zwiastujący jej nadejście szczególnym drzeniem urwanym, krótkim tonem, wówczas kanarek w klatce przy oknie poczynął głośniejszebiotać... Łukasz dźwigał ze swego kąta wzrok. Oto szelest jedwabny, oto obraz jej, widny oczom już wówczas, kiedy się jeszcze nie ukazała, czarujące objawienie się jej osoby. Lekko błysnęła klamka... Światło w oczach, zanim weszła... Już jest we drzwiach... Oczy zza czarnej wualki⁵⁵ ofiarowane czarnemu kątowi. Oczy patrzące zza wualki, spod ronda wiosennego kapelusza! Ledwie znać brwi i rzęsy... Szary płaszczyk usuwa się z ramion. Niewysłowiona jej postać, której piękności suknia nie jest w stanie ukryć, tak dalece, że ta suknia jest tylko uroczą zasłoną... Lekkim ukłonem się nachyla... Widać ją wówczas wszystką w ruchach niezwalzonego powabu, które zdają się wyrwać z więzów sukni. Oczy nie chciałyby jej widzieć naga, a widzą ją mimo chęci.

Spojrzenia obojga rzucają się ku sobie, zwalczając i omijając przeszkody, łamiąc tysiące zapór, wykonywując

⁵⁵ *wualka* – dziś: *woalka*. [przypis edytorski]

miliony podstępów. Pięć minut czasu! Na przestarzałym zegarze, którego wskazówki drgają nerwowymi ruchami, widać uciekanie bezcennych momentów. Co chwila z trwogą i żalem oczy obojga podnoszą się, badając żółtkły ze starości cyferblat, na którym stoi wypisana olbrzymimi literami szerniała, jeszcze w XVIII wieku zapewne, a niedościgle trafna sentencja: *Hora perit, mors aderit*⁵⁶. W łańcuchach wag starego czasomierza co chwila rozlega się ledwie dosłyszalny chrzęst i daje wyczuć lekkie drgnienie, znak, że uciekła minuta. Drgnienie to przebiega przez ciała rozmawiających, miga w ich oczach jak błysk...

Zdawało się obojgu, że nikt na ziemi nie widzi, co się święci, że ani jedna osoba nie spostrzega ich spojrzeń. Byli przekonani, że spoglądają na siebie najzupełniej normalnie oczyma tak zimnymi jak owe Szopenisko, którego zamorusany biust tkwił na szafie. W istocie – dla pana Pobratyńskiego były „amory” Ewy zaledwie dostrzegalną a dość miłą zabawką. Widział jak przez mgłę owe spojrzenia, ale nie zwracał na nie uwagi. Inaczej *ci-devant*⁵⁷ piękność, czcigodna matka. Już pospieszne wyrobienie posady przez człowieka obcego i najwidoczniej hołysza wydało się jej, kobiecie, co przeszła miliardy utrapień życiowych, zdarzeniem nie bez przyczyny.

Powiedziała sobie: nie ma karesu bez interesu – i zwróciła baczne oko. Rzecz prosta, że spostrzegła od razu nie tylko sam

⁵⁶ *hora perit, mors aderit* – godzina przeminie, śmierć się przybliży. [przypis edytorski]

⁵⁷ *ci-devant* (fr.) – była, dawna, niegdysiejsza. [przypis edytorski]

fakt, ale zmierzyła głębokość i siłę zjawiska. Zadrżała w sobie na widok owych nagłych przyblednięć córki, gdy dawały się słyszeć kroki „tamtego” – owych osłupień obojga, gdy się witali, owego śmiertelnego uśmiechu, który zdawał się zapalać światło w wewnętrznych istotach obojga i świecił się z ich ciał, gdy się chwyтали i ogarniali oczyma.

Widziała i mimowolne pochylenia postaci, i oczywiste tęsknoty rąk skazanych na wieczną rozłąkę. Sama niegdyś przeżyła miłość głęboką dla pięknego swego małżonka i była przez szeregi lat pożerana od szatana zazdrości. Znała się na tej sprawie, którą ludzie zowią miłością. Nienawidziła tej potęgi całą duszą, patrzyła na nią z dalekiego wzniesienia i pragnęła ocalić córki od mąk nieszczęsnego uczucia.

Starszą ustrzegła. Wydała za mąż dość szczęśliwie, szybko, bez trudu i korowodów. Zdawało się jej, że nie mógłby się zjawić na ziemi taki człowiek, który by ją podszedł i dotarł bez jej woli do serca dziecka. Pilnowała umiejętnie, nie jak zimny dozorca, lecz jak czujny kapłan. Strzegła duszy. Stąd to częste napędzanie do spowiedzi, do modlitwy, do rozmyślań i do pracy. Byłaby tego Niepołomskiego, dowiedziawszy się, że jest żonaty i rozwodnik, trzymała za progiem, choćby konał z miłości. Wdarł się, za pomocą wyrobienia posady, do domu jak wytrychem i, co najstraszniejsza, miał już w dziecku sprzymierzeńca. Było za późno. Mama dobrodziejka wiedziała to już, że jest za późno. Musiała (brzydko, ale dosłownie mówiąc) przywarować. Powieki jej przymknęły się, ręce opadły. Tylko usta zacięte drgały a

drgały...

Przyjąwszy za pewnik, że już ani religia, ani wyklęcia ze świecami i Ewangelią, ani bicie, ani znęcanie się sposobami domowymi nic by już nie zmieniły, pani Pobratyńska postanowiła zabezpieczyć córkę od szaleństwa i zguby. Otoczyła ją tedy czujnością iście szatańską. Nie masz na ziemi dyplomaty tak przebiegłego ani dyrektora policji o takim sprycie, jakiego dowody (przed samą sobą) złożyła stara dama. Nic się w życiu Ewy nie zmieniło, a jednak była jak w kajdanach czy w kaftanie wariackim. Z każdej minuty godzin pozabiurowych musiała się legitymować dowodami rzeczowymi, a godziny urzędowania w biurze były nie do opuszczenia. Srogi mandryl, dyrektor biura, który bez pardonu dawał dymisję za opuszczanie kwadransów, był tu jedynym sprzymierzeńcem. Ewa nie nadużywała swej swobody. Jej miłość była bezgrzesznym szczęściem. Niepołomski nie szukał schadzek. Od dawna oświadczył się Ewie ze swą i prosił o rękę, ale był skuty dawnym ślubem, więc ani razu nie usiłował widzieć swego bożyszcza poza domem. Wyjątek stanowiły nabożeństwa majowe. Stara matka zabierała na nie córkę, o ile to było możliwe. Łukasz, aczkolwiek nienawidził Kościoła i wszystkie sprawy jego tak dalece, że z natury zimny i spokojny – nie mógł mówić o tej materii bez gniewnego uniesienia, chodził osobno, z daleka, niepostrzeżony na owe, jak mówił, zbiorowe przedwieczne figle. Dzieliła go zawsze od Ewy znaczna przestrzeń.

Chóralny śpiew pieśni polskich, znanych tak dobrze z

dzieciństwa, obecność mnóstwa młodzieży, uroczych kobiet – w jasnych sukniach, kwiaty w ręku wszystkich, szczególny zapach bzu więdnącego szybko w gorących dłoniach, na piersiach kobiet, przy ustach ludzkich, buchający z ołtarzy zapach róż – wszystko to wywoływało szczególniejszy nastrój. Zbiorowisko ludzkie w kościele było dla Łukasza tak samo obce, jak obce by mu były rozkwitłe trawy na wielkim błoniu nadrzecznym.

Cóż miał wspólnego z tymi wszystkimi ludźmi śpiewającymi i rozmodlonymi? Nic zgoła. Ogarniał go tylko urok masy żyjącej, rozbudzonej, w której tętni i buja życie obce a na poły znane – właśnie jak życie rozrosłych traw na łące. Ale oto cicha akompaniująca muzyka organu nagle się urywała.

W płynną melodię pieśni, która przypominała plusk fal górskiego stawu w kochanej stronie – jakoby olbrzymi prąd wichru uderzały potężne akordy i poczynąły lecieć przez człowieka strugami deszczu, zimna, mrozu.

Krew spłoszona wstrzymywała się pod sercem. Tytaniczny głos tonów, bijących pożegnanie życiu, przerzynały to tu, to tam spazmy i płacz samotnych piszczałek. Żałośnie wołały, wołały w pustyni, nad jeziorem podziemnym, w kraju ciemności.

Wtedy poczynął szukać znajomego kształtu i drogiej barwy czarnego kapelusza z obszernym rondem. Widział ją nieruchomą, z oczyma spuszczoneymi, bladą i zastygłą, jakoby jedną z figur symbolicznych tego kościoła. Suknia jej czarna, spadająca aż do płyt posadzki, wlewała się w oczy czarną falą i dreszczem żywym, rozkosznym ponad wszelkie słowo,

przechodziła wskroś ciała. A każdy fałd tej sukni, każde załamane, każda krzywa linia atłasu obejmującego ramiona stawiała się linią najwyższej piękności, symbolem jej ostatecznie wiernym. Łukasz przezierał wówczas, co Ewa czuła. Wiedział, że ta muzyka, od której ściany kościoła zdają się gąć i falować, a wyniosłe filary drżeć od tego samego, co biegnie w nim, wzruszenia – sprawia i w niej zamęt, zniszczenie myśli i chaos. Wiedział, że ona tak samo jak on nic w owej chwili nie wie, że jest poddana prawu muzyki, która jest mową duszy. Wiedział, że Ewa słucha, jak i on, mowy swej duszy.

Tony uderzają w duszę, jak pioruny w ciemności nocy. Przy ich niestrzymanym blasku widać mgnieniami oślepiająco jasno ziemię i niebiosa. Ale czyż to jest ziemia, biedna ziemia nasza, siedlisko synów Adamowych, gdy ją widzimy świetlaną w połysku gromowym? Śnią się dalekie, dalekie słowa Apostoła:

„Wziął Anioł kadzielnicę i napełnił ją ogniem z ołtarza, rzucił ją na ziemię, a stały się gromy i głosy, błyskawice i trzęsienie ziemi”...

Byli w takich chwilach oboje jak wędrowcy, co się w nocy piorunowej spotykają twarzą w twarz i oblicza swe, z nagłą wytrysnę z przepaści nocnej, widzą wśród błyskawic. Radość! Życie! W obydwu duszach zgiełk uczuć, rozruch myśli i lot postanowień, nie wiadomo, jakim sposobem powstałych, nieznanych wcale a nieodwołalnych i raz na zawsze zrośniętych z istotą duszy. Łukasz wpatrywał się szalonym wzrokiem dopóty, aż tamta głowa *musiała* się odwrócić. Zamglone oczy

przybywały go nawiedzić jakoby widziadła z tamtego świata. Wolno spływały na nie rzesy, a po ich cieniu zstępować się zdawał bezcielesny powiew – anioł miłości. Trwało to krócej niż westchnienie pozdrawiające anioła. Łukasz zamykał oczy i pozostawał w swej ciemnicy. Wzbijała się znowu dokoła niego muzyka, wybuchały posępne pieśni o śmierci, które zdawały się, jak Samson, z posad ruszać filary gotyckie, a grubymi wybuchami przetrzącać sklepienie nawy. Krążył tłum ludzki.

Dusza jego składała się wówczas z dwu połowic – z Saraswati oszalałej i Niźdali zamykającej powieki, dwu siostr zakochanych w Krysznie ogarniętym przez miłość wieczności. Wraz ze zniknięciem Ewy zniknęła Saraswati i zostawała Niźdali, widząca jasno we wnętrzościach duszy. Stał w milczeniu i wychodził w milczeniu, obojętny na wszystko, ze spuszczonej powiekami, bacząc na to tylko, żeby nie utracić lazurów oczu, które widział tak jasno a niewiadomym sposobem kędyś w toniach własnych źrenic.

Poza tym widywali się tylko w czasie obiadu. Tak okrutną dla siebie zasadę ustanowił Niepołomski.

Postanowiono również, żeby nie mówić do siebie nic takiego, co by mogło zdradzić cień cienia istotnych uczuć. Okazało się wszakże, że rozmowy obiadowe, a raczej milczenie w ciągu tygodni nie jest do zniesienia.

Łukasz powiedział to w dzień, o którym mowa.

Ewa potwierdziła, że tak jest w rzeczy samej. Wtedy szeptem „przedobiednim” oświadczył, że uczynił pewien wynalazek:

przybił na drzwiach wejściowych puszkę do listów, a nad nią umieścił swój bilet.

– I cóż z tego? – spytała.

– Tam będę znajdował listy pani.

– Moje listy!...

– Tak. Gdy Wasza Przecudność będzie szła na obiad, z biura...

– Ach tak... Prawda... Doskonale! A ja?

– Tu, w domu, nie może pani mieć moich listów. Ktoś może przejąć. Jest to rozkosz nad rozkoszami czytać cudze listy miłosne...

– Nie mogę. Ani jednego listeczka!

– Będę pisywał miejską pocztą do biura – nieczęsto, żeby nie wzbudzać podejrzeń woźnego, który będzie pani listy doręczał. Za każdy list – duży pieniądz woźnemu.

– Dobrze, Galeotto...

– A czy zadowolona z pomysłu?

– Dziękuję, dziękuję... Ach, jak dziękuję...

*

„Ilekcroć pomyślę, że to, co tu piszę, Pani czytać będzie, pióro mi w palcach drży! A przecież sam pragnąłem szczęścia pisania do Pani i sam tę łaskę wyprosiłem. Więc napiszę wszystko i tylko samą prawdę, nic nie zataję, uczynię przed Panią zeznanie prawdy i wyznanie duszy! I jak w psalmie Dawida – »serce

przewrotne odstąpi ode mnie, a o złe nie będę dbał«. Dlatego to pióro mi w palcach drży. Otworzę moje życie i stanę przed Panią, moim ołtarzem. Nic nie może się równać z rozkoszą tego posłania do Pani i nic nie może być męką głębszego rodzaju nad niemoc wyrażenia w słowie. Ale wzniesienie się z barłogu swego i ta radość, że wstanę jako duch i pójdę ku duchowi. Trzepocą się we mnie słowa niezwykłe, ptaki cudnopióre, a ręka drży i opada, gdy je wypuścić i posłać do Pani przychodzi. Pani natchnęła mnie łaską szczerości. Czarodziejskim dotknięciem kwiatu powiedziała jej Pani: wstań, szczerości! Mogę otworzyć oczy i widzieć oczy Pani – o rozkoszy! – oczy, »w których nie masz zdrady«.

Czy pojmuje Pani te słowa bezmiernej czci dla człowieka – »w którego oczach nie masz zdrady«? Bo zdrada jest wszędzie, we wszystkich ludzkich duszach, we wszystkich ludzkich oczach. Nią się ludzie żywią jak chlebem. Ona jest najpospolitszym ich czynem. Gdy ją wykonywują, ogarnia ich najwyższa rozkosz, bo wtedy wysila się, pręży i na najwyższy stopień wstępuje ich rozum – gdy jej doświadczają, najbardziej cierpią, bo wtedy do najwyższej granicy dochodzi ich uczucie. Zdrada jest powszechna jak oddech. A w Pani oczach jak w sercu dziewic czystych, o których mówi święty Jan – »nie masz zdrady«. Obudzę się jutro i z ufnością westchnę: jej serce wierne jest jak serce rycerza. Ręka jej podana – to uścisk honoru. Spojrzenie jej – to spojrzenie na sztandar. To, co wyrzekła – wyrzekła. Jakież to szczęście przyjść do tej duszy i stanąć przed tymi oczyma!

... Wszak to w tej chwili spełnia się niedościgłe, wykołysane przez tajemnicze zmagania się i męczarnie ducha Indii: – *»ja – jestem: ty«*. Weź moją szczerość, najwyższy skarb i największe dostojństwo człowieka.

Powiem to, co jest we mnie zamknięte, czym żyję... Idę przez Łazienkowski Park. Czekam na Ciebie, choć wiem, że nie przyjdiesz. Chłodny poranek. Mży lekki, mglisty deszcz. Czasami przelata wiatr i korony drzew szeleszczą. Tęsknię za Tobą. Otwiera się moja dusza, jak się nigdy nie otwierała. Przyjmuje w siebie Twoją duszę. Pójdźmy... Zstąpimy ze stromego wzgórza – ramię przy ramieniu – w ciemną aleję. Stopy Twe idą po piasku, pracowicie zdziobanym przez deszcz. Wszystkie słowa, które do mnie mówisz, zapisane są w moim sercu. Powiem Ci, w co ja jedynie wierzę, czego się jedynie boję, czego zupełnie nie wiem, co będę czynił na tym świecie. Wszystko Ci oddam, powierzę Ci najtajniejszy sekret, bo w oczach Twych nie masz zdrady...”.

„Na dziwnie przezroczystym, szafirowym niebie zapalają się jedna po drugiej gwiazdy – latarenki mojej tęsknoty. Podnoszę ku nim oczy z myślą pogodną i szczęśliwą. To samo niebo jest nade mną i nad Nim. Nie płaczcie nade mną ciche gwiazdy-siostrzyczki... Czyż nie mam, jak i wy, daru Wszechobecności?”.

„Przekonałem się w ciągu tych niewielu dni szczęśliwych, że

miłość jest tworzeniem, że jest absolutnie nową emanacją, że jest doskonałą syntezą wszystkiego, którą duch z zewnętrznego świata wyłamuje i na swoje wyłączne dobro obraca. Kiedy Pani wychodzi z obrębu tych ścian, kiedy Pani nie ma w tym domu! ... Na próżno mówić... Czymże jest świat bez Pani! świat bez Pani! A jeśli kiedyś zginęła dla mnie ta miłość? A jeśli chciałaby odejść i nie wrócić? (Bo człowiek powinien wszystko wiedzieć...).

Wmyślam się i wwiadam się w taki stan, kiedy Ciebie nie ma. Nie! Tego nie można pomyśleć! Tego serce nie może uczuć. Tam już nie ma uczuć i nie ma myśli. Tam już jest tylko lęk. Ja się nie lękam niczego, pogardzam śmiercią – tylko lękam się, że może zaprzestać istnieć Twoja miłość. To jest kres. Tam byłoby już tylko przeczenie bezzasadne, rozkład ducha na cząstki i pierwiastki, byłoby samo tylko badanie zimne i roztrząsające, a bez planu, bez metody i nie wiadomo dla jakiego celu. Tam byłoby czekanie wieczne bez nadziei, zasłuchiwanie się w szmery, w szelesty... Tam byłoby tylko bicie serca pędzące wbrew woli i wiedzy rozumu. Bądź pozdrowiona!”.

„Przyszły do mnie kwiaty, by opowiadać wonne fantazje swych płatków. Układają się w przedziwne gamy i z niedosłyszalnym szelestem przepływają w gamy inne, by ukształtować jeszcze wyższy obraz piękności. Róże czerwone, pełne trójce barw-jaśnień: róż żółtych, ledwie rumianych i pąsowych... Zbyt płoniecie, o róże, zbyt jesteście kruche i

nieoporne, a niezniszczalne jesteście w pięknie bez granic! Jaśnienia, Jasności, Jasnotki, Pąsy, Szkarłaty! Położę was, róże moje, na białym wezglówiu chorego, w którego oczach pali się gorączka, w którym targa się serce, a z rozdartych płuc krew sączy się, sączy długą strugą... Wiédnijcie, róże moje, gdyż zbyt piękne jesteście! Jesteście, jak pieśń wysoka, niewyśpiewana... Czy nie na tym polega wasz czar, na czym polega urok pieśni, że nie ma w was smutku rzeczy poznanych i dokończonych, że w waszych ogniach płonie życie?... O wiecznie niedośpiewana, wiosenna pieśń, o pragnienie przekwitu, dopełnienia i końca! O płatki różane, ukrywające przyszłą swą barwność pod szarymi łuskami pąka! Kocham was, róże moje...

Uwiedły róże na piersi zmęczonej, odpoczywającej w poświęcie księżycy, wśród bieli tkanin, w wąskim, wysokim pokoju. Dziwnie coś we mnie rozkwitło... Oplatają mię powojowo dziwne drobiazgi, nad którymi tylko śmiechem pobłażania wybuchnąć można. Uprawiam drobiazgowy, dziecinny kult pamiątek, które dawniej lekceważyłam. Wzbiera we mnie hucnie i radośnie moc życia. Czy Pan zauważył, że ubieram się zawsze na czarno i biało albo szaro? To było jedno z dawnych przyzwyczajęń. (Mniszka). Teraz – czasami – chcę gorąco, żeby mię owionęły radość, różowość, błękit, lazur... To, że w ogóle mogłam wzrok od wieczności odwrócić i ujrzeć chaos i harmonię życia, przejmuje mię rozkosznym zdumieniem... Proszę pisać swoje listy z pozostawieniem na środku marginesu (tak jak ten jest pisany). Każę wszystkie listy oprawić w książkę

(najcudniejszą na świecie)”.
.

„Oczekuję na list mojego adwokata z wiadomością o przyspieszeniu sprawy. Mam mocne podejrzenie, że mój adwokat jest to nikczemnik ostatniego kalibru, ale za to najgorszego gatunku. W dziedzinie badania spraw rozwodowych stałem się tak przebiegłym, że nieraz prześcigam nawet mego adwokata. Mózg można wytresować daleko bardziej szybko niż konia wyścigowego. Ale nie o tym będę pisał... Powiem Pani o rezultacie wówczas, gdy się to nareszcie rozwiąże, gdy to pęknie.

Teraz czekam. Moje obecne życie jest oczekiwaniem. Chwila obecna nie istnieje wcale. Istnieje tylko przyszłość. Czekam, czekam, czekam... Dnie, godziny, minuty... Zamykam się pod nieobecność Pani w tym samotnym pokoju i, żeby nie tłuc się na podobieństwo bezmyślnego wahadła, czytam Szekspira. Obdarty tom znalazłem na dnie kosza, który tu w Warszawie był na przechowaniu u jednego ze znajomych. Nie miałem tej książki w ręku blisko osiem lat. Pamiętam swoje długie nad nim studia przed wyjazdem za granicę.

Było to na piątym piętrze, kiedy wskutek rozmaitych okoliczności (a szczególnie wskutek lekceważenia życia), po cztery dni nie miałem w ustach nawet kawałka chleba ani szklanki herbaty, kiedy byłem obdarty, opuszczony, samotny, zdziczały jak zbłąkany pies, kiedy zdradził mnie pewien »nieomylny« przyjaciel. Miałem pustą, niezamiataną izbę, łóżko bez poduszki, kołdrę w zastawie. Pisałem komentarze

do Szekspira na futrynie okna (w braku stołu tudzież stołka), atrament wyrabiałem sam z materiałów chemicznych przyniesionych z laboratorium. Spałem wśród kości szkieletu, gdyż »jakoby« zdawałem był wówczas z anatomii. Nie miałem lampy ani świecy, nikt mi nie usługiwał, nikt mnie nie odwiedzał i nikt nie istniał dla mnie na świecie. Miałem z głodu coś w rodzaju gorączki.

Wtedy to każdą wolną chwilę poświęcałem Szekspirowi. Za drogowskaz służyła mi historia literatury angielskiej starego Taine'a. Były to czasy, o dziwo! – największego zbliżenia się do siebie, do człowieka i do sztuki. Samotne dni z oczyma wlepionymi w symbole, pogarda zewnętrznego życia, ostrowidzenie istoty rzeczy człowieczych, dotykane tajemnic ducha, świętego świętych istnienia, nagimi igłami nerwów. Śmiech, śmiech pomyśleć, że niejednokrotnie zaniedbywałem wszystko, nawet laboratorium chemiczne, nawet możliwość wystarania się o 14 groszy na kupno wiadomego bochenka chleba, dla tej przyczyny, ażeby nagim, otwartym na oścież mózgiem *pojmować* (co za wyraz!) dwie tragedie w *Hamlecie* albo cieszyć się wycofaną na osobność potęgą Lira, albo wszczepiać się w ów świat bajek o rodzie ludzkim, plotek o dziejach człowieka osiadłego na ziemi, ażeby z drwiną na spieczonych ustach przechadzać się wśród owego tłumu, rozdziarać, kiedy wola, tajemnicę życia i zaglądać we wnętrza trumien.

Wtedy także *kochałem się* (co za wyraz!) w mojej późniejszej

żonie. Nadszedł czas, kiedy rzuciłem to wszystko dla ścisłej nauki o człowieku. Teraz, w ciągu tych dni tak bardzo podobnych do tamtych dni z »pierwszego kursu« – znowu Szekspir. Oczy padają na wiersze i nie mogą się od nich odedrzeć. Moje wiersze!

Jakimże się to stało sposobem, że ów poeta sprzed tylu lat, żyjący i zmarły za ziemią i za morzami – przeczuł mój dzisiejszy dzień i moją wewnętrzną męczarnię?

Gdy raz tę różę zerwę – już jej życia
Wrócić nie zdołam: musi, musi zwiędnąć.
Niechże się jeszcze jej wonią nacieszę,
Póki jest na pniu⁵⁸...

Chodzę po izbie i śpiewam sobie samemu te słowa. Melodie nawijają się na usta wciąż nowe. Nieraz tak dziwacznie silne, że drzę, kiedy lecą przez moje wargi, żeby przepaść w nicość. Gdybym mógł wytłumaczyć, co to znaczy, gdybym mógł wyjawić, co mówi do mnie ten Maur! Nie mogę wyjawić...

»Gdy raz tę różę zerwę – już jej życia wrócić nie zdołam«... Jestem człowiekiem silnym. Ludzie silni cierpią najstraszliwiej, gdyż nikt nie wie, nikt nie zgaduje, jakie w ich spokoju zachodzą postanowienia. Ów Maur był silnym człowiekiem. Chwilami zdaje mi się, że mam w ręce jego szpadę, że mam jego ciało schłostane od wichrów morskich, a w sobie jego dziką duszę. Toteż jego męczeństwo miłosne widzę z proroczą jasnością.

⁵⁸ Gdy raz tę różę zerwę (...) Póki jest na pniu – fragment *Otella* (akt IV, sc. 2) Shakespeare'a w tł. Paszkowskiego. [przypis edytorski]

Szekspir wywłoczy z człowieka zrozpaczoną duszę jak kreta z nory i pokazuje wszystkie jej drgawki. Widać wszystko – od słodczy miłosnej, która jest niemal jawną, aż do tego, co pierzcha i kryje się przed wszelkim wzrokiem. Niektóre jego słowa mają siłę błyskawicy czy siłę zgłodniałego lwa, który wypadł skokami ze skalnej pieczary i ujrzał w oddali sarnę, co ucieka...”.

„Położyłam list Pana wśród ogromnych jak cały stół rachunkowych schematów, przykryłam go jeszcze większym arkuszem ceduł przychodu. Z wierzchu położyłam czysty arkusik. Miałam pisać... Podniosłam oczy z myślą radosną, że mogę pisać do Pana. Czy Pan uwierzy, czy Pan uwierzy, co się wówczas stało? Oto dwa dzikie gołębie ukazały się w czystym kwadracie okna. Leciwały jeden obok drugiego nad Warszawą, chyżo szyły w powietrzu, pod chmurami. Ruch ich skrzydeł ledwie można było okiem pochwycić. Zaczęłam śledzić oczami, co się też stanie, śledziłam tak długo, dopóki mi nie znikły w błękiecie. Widzi Pan... Czyż to jest zwyczajne zjawisko? Nie trzeba mi pisać smutnych rzeczy, których nie rozumiem, nie trzeba martwić słowami »gdyby mógł wytłumaczyć, co to znaczy«...”.

„»*Bon vieux marin, franc capitain de haut bord, vous dormiez la nuit, vous – et, le jour, vous vous battiez! Vous n'étiez pas un*

*Paria intelligent comme l'est devenu votre pauvre enfant*⁵⁹...«

Słowa przypominające najwcześniejsze dzieciństwo, wstępną i pierwszą klasę. W notatniku mojej matki, w książeczce oprawionej w zieloną skórę ze złożonymi brzegami, były te słowa Alfreda de Vigny. Zachwycaly moją wyobraźnię dziecięcą, zachwycaly bardziej bezgranicznie niż wszystko, co mię porywało później. Pierwsze przeczucie i przedpojęcie sztuki... Przez ileż to lat leżały we mnie te słowa.

W dzieciństwie upajałem się nimi, nie wiedząc dobrze, co znaczą, deklamowałem je, marszcząc czoło jak człowiek dorosły, jak straszny dla mnie i tajemniczy Chatterton. Mówiłem je sobie głośno dlatego, żeby słyszeć szelest i harmonię szumnotnych wyrazów. A dziś oto przyszedł znów do mnie – i błyszcza jak świętojański robaczek w mroku mojej nocy... Ach, ileż prawdy zawierają te słowa! To mój rodzinny dom, lato na wsi, góry, staw, rzeka, cudowna moja matka...”

„Jedna z najradośniejszych chwil mojego życia była ta, kiedy wyczytałam w liście Pana, że we mnie nie ma zdrady. Tak, nie ma. Mój list nigdy Panu nie przyniesie nic złego. Wiem to na pewno, że nigdy nie wniosę do życia Pana żadnego rozdzwieku,

⁵⁹ *Bon vieux marin, franc capitain de haut bord, vous dormiez la nuit, vous – et, le jour, vous vous battiez! Vous n'étiez pas un Paria intelligent comme l'est devenu votre pauvre enfant* (fr.) – Dobry stary marynarzu, szczerzy kapitanie z wysokiego brzegu, pan spał w nocy, a za dnia pan walczył! Nie jest pan inteligentnym pariasem, jakim stało się pańskie biedne dziecko; por. Alfred de Vigny, *Chatterton*, akt III, sc.1. [przypis edytorski]

nigdy nie stworzę sytuacji bolesnej, w której trzeba by coś kłaść na szalę i łamać się. Mówiono mi, że dziwnie nadaję się na siostrę miłosierdzia. I rzeczywiście, czasem samej sobie wydaję się siostrą-mniszką, która dusze ludzkie bierze ostrożnie i pobożnie w ręce, jak biedne, pogniecione, więdnące kwiaty. Pod moim tchnieniem może się rozwinąć zwarzone pąki. Chciałabym być jak biały posąg... Prawda, Panie, że biały posąg, choćby był płaszczem purpurowym okryty, białości swej nie traci?...

Musimy dużo zrobić dla ludzi, tak dużo, iżby szczęściem z dokonanych rzeczy zasypać otchłani rozłąki – jak różami... Prawda, Panie? Bo cóż począć? Pan jest Dal, niepochwytna Dal, wyciągająca ręce do mojej Tęsknoty. Idziemy ku sobie – Dal i Tęsknota. Kiedyż spotkają się nasze ręce i kiedyż znowu nastąpi cud, a serce uwierzy, że Dal nie jest legendą... Dwoje nas tylko w czasie i przestrzeni. Prawdziwe i czyste są moje oczy i zawsze będę mogła śmiało patrzeć nimi na Ciebie... Zawsze będę mogła posyłać Ci ten sam błękitny uśmiech pogody.

Błogosławioną niech będzie ta droga, która ku tobie wiedzie, ku zaraniu... Głucha Tęsknota wzywa w moim łkaniu... Dziś mi się marzy tajemniczy eden, dokąd się wchodzi przez wieki raz jeden... Pośród rumowisk i skalnych okruchów marzę komunie nieskalanych duchów, co się poznały w błysku piorunowym i zapłonęły, i świecą dniom nowym...”.

„Gdyby dusza ludzka mogła umrzeć i stać się trupem, gdyby dusza ludzka była trupem, a ciało, co je i pije, zostało sobą,

byłoby tak z człowiekiem, jak teraz ze mną. Nic przede mną i nic za mną. Kopczyk popiołu leży przede mną na tacy. To Twoje umiłowane listy, Panno Ewo. Przed chwilą je spaliłem. Spaliłem Twe listy. Oto, co się stało. Wczoraj była moja sprawa. Przegrałem ją haniebnie, z kretesem. O rozwodzie ani teraz marzyć! Muszę płacić mojej »żonie« alimenty podwyższone, a to przyszło akurat w sam czas, kiedy jestem już bez złamanego szeląga, owszem, w długach. Adwokat mój radził mi dobroduszenie, żeby wszystkiego już zaniechać. Dać za wygraną. Ponieważ od dawna byłem przygotowany na wszelkie ewentualności, więc ta decyzja konsystorska, nie zastała mnie nieprzygotowanym. Byłem przygotowany materialnie i moralnie. I moralnie, Panno Ewo! Wyrzekam się Pani, opuszczam Warszawę, przyjmuję miejsce zarobkowe i jutro – to jest nie jutro, tylko, żal się Boże! dziś – wyjeżdżam.

Tak, dziś wyjeżdżam. Dokąd jadę i gdzie będę – nie zawiadamiam Pani i nie zawiadomię nigdy. Jest to mój ostatni list i ostatnie pożegnanie. Tak długo, tak dziwnie długo piszę. Nie znać w tym piśmie człowieka silnego – nieprawdaż? Nie widać potęgi woli, którą lubiłem się przechwalać. A jednak jestem silnym człowiekiem. Jestem jednym z najsilniejszych ludzi na świecie. Nie – nie! Jestem najsilniejszy ze wszystkich ludzi na ziemi! Opuszczam Panią dobrowolnie, świadomie, w chwili tej, kiedy mógłbym Cię ujrzeć za parę godzin, kiedy mógłbym... Dniu straszliwy, po cóżem cię dożył!

Cóż mogłoby być z nami, Panno Ewo? Nie mogę Pani

poślubić, gdyż mam żonę, z którą skutą jestem aż do tej chwili, kiedy żyć przestanę albo kiedy ona żyć przestanie. Kocham – ach! – nie kocham, lecz czczę w Pani wcielenie czystości, uwielbiam ducha Twego, otaczam najgłębszymi honorami Twój honor. Jestem jak oficer, który ma powierzony sztandar armii. Mógłbym Cię kochać w tajemnicy, oszukiwać, zdradzać, podchodzić Twoich rodziców, może nawet, może nawet... Nie, nie będę Twoim kochankiem! Oddałem losowi moje szczęście, jak oficer zwyciężony oddaje szpadę nieprzyjacielowi. Nie zobaczę Cię więcej. Widziałem rozpacz i trwogę w oczach Twojej Matki, Panno Ewo, i wziąłem samego siebie za gardło z krzykiem: – Byłbyś ostatnim gałganem, gdybyś nie odszedł. – A zresztą – mówię całą prawdę: Matka Pani błagała mię, żebym Cię nie gubił! Przyszedłem, że się usunę. Usuwa się. Dlatego to – niech Pani o mnie zapomni...

Może po latach życia, może po śmierci, jak poeta wierzy,

u Boga w niebie,
po wiekach wieków kiedyś spotkam Ciebie
i tam przynajmniej odetchnę wraz z Tobą...

Czarowne, dziecięce złudzenie! Mój męski rozum wie, że nie spotkam przecie Pani »u Boga«, nie spotkam nigdzie i nigdy.

Oparłem przed chwilą na ścianie ręce, czoło, usta.

Szlochałem. Żegnaj! Pisałem w jednym z listów za dni szczęśliwych, kiedy jeszcze świeciła mi jutrznia nadziei, że proces wygram – pisałem urywek z *Otella*... Jakże to dla mnie

w tej chwili straszliwe wspomnienie! Wówczas, gdy to pisałem, błąkała mi się w duszy obawa tej chwili. Dziś przyszła sama rzecz! W tej chwili zabijam Cię jak Otello. Stokroć gorzej niż Otello! Tamten zabił i mógł wiedzieć czy słyszeć na dnie więziennego lochu, że trumnę zabito i oddano ziemi. I nic już nie ma! – A ja? Ja zabijam, ale usłyszę w moim miejscu wygnania, po dniach, miesiącach czy latach, że wysłałeś za męża.

Dosyć – och, dosyć! Dosyć, bo mi się wydaje, że nie włosy mam na głowie, lecz języki płomienia.

Latam w pokoju i dlatego tylko nie duszę się rzemieniem od kufra, który obok mnie leży, że jutro – nie! że dziś, za parę godzin muszę odjechać.

Jechać! Dzień ten świtający podlęczał do mnie, jak z dawien dawna ukartowana zasadzka, jak straszliwa pułapka. I oto ja sam, ja sam, przyczyniłem się do tego na siebie wyroku. Ja sam, dobrowolnie Cię rzucam! Czyżem oszalał! Ja sam! Uszanuj we mnie to męstwo niebłagane jak śmierć. Gdy już zapomnisz o wszystkim, gdy już będziesz cudzą, o tym jednym nie zapomnij, bo to było – przysięgam na moją duszę! – ponad wszelkie siły człowieka. Nigdy już nic podobnego w życiu nie spotkasz. I ja nic już takiego w życiu nie spełnię.

To jest we mnie olbrzymie.

Nie dotknąłem ustami ust Twoich. Nie dotknąłem ustami nawet Twej ręki. Ust Twoich... Poznałem Cię czystą jak górskie wody, białą jak śniegi krótkotrwałe na cyplach tatrzańskich, ujrzały Cię moje oczy w dniu spowiedzi... Oblubienico aniołów,

sioostro obłoków! Zachowaj czystość duszy...

Nie mogę wyrzec tej prośby... Zachowaj duszę, która jest naszą, moją i Twoją! Nie! Idź za mąż – i zapomnij o mnie!

Nigdy nie dotknąłem Twoich ust ustami. Żegnam was, usta, całuję was. Całuję was, prześliczne włosy, przeczyste, bezzdradne oczy. Wolno mi jeszcze tylko to jedno: przycisnąć usta do zimnej ściany, za którą Ty we śnie spoczywasz.

Wydało mi się, że śmierć swoją ucałowałem w usta. – Ewo!”.



Tego dnia rano, nic nie przeczuwając, Ewa przybiegła do biura i z radością otrzymała list od szwajcara. Jak to się często zdarza w dziejach ludzkiej niedoli, była bardzo, a raczej nadmiernie – można by powiedzieć: bezbożnie – szczęśliwa. Miała zwyczaj czytać listy Łukasza nie zaraz po zajęciu swego miejsca, lecz dopiero w ciągu pracy.

Gdy już wszystkie współpracowniczki były przy stołach i biurkach, gdy wszystkie zajęły się rachunkiem, sam pan naczelnik skrzypiąc lakierkami przewiał do gabinetu, a i ona sama znaczną już ilość swego odrobiła, dopiero wówczas nieznacznie wydostawała spod arkuszków *uczota*⁶⁰ umiłowaną kopertę. I tego dnia to samo...

Słodka radość, sekretna rozkosz powoli, w miarę czytania,

⁶⁰ *uczot* (z ros.) – rachunek, obliczenie. [przypis edytorski]

przeistaczała się, przeistaczała niepostrzeżenie w kindżał nastawiony przeciwko sercu. A serce ustawało w swym biegu, zatrzymało się złowieszczo, porwane przez zdradziecki a nieubłagany wnyk nieszczęścia. Sto razy zmartwiałe oczy przebiegły pismo. Jeszcze i jeszcze... Gęsty kopeć osiadł pod czaszką i nie dawał rozumieć. Ale z wolna coś odplatało się w piersiach, odplatało raz w raz...

Wówczas nagłe uczucie, jakby się pod stopami odwalila ściana domu. Zdumienie na widok zionącej przepaści.

Głowa zwisała nad rachunkowymi płachtami jak lity kamień. Wszystkimi siłami Ewa zapanowała nad swą głową, nad rękami, oczyma – i zaczęła spokojnie pracować. Pomimo zimna w palcach i zdrętwienia nóg, pomimo czadu w głowie liczyła trafnie, bez błędów, wpisywała pozycje w rubryki, nie patrząc na tytuły, bez przeoczeń, a z przeraźliwą dokładnością. Słyszała dookoła głowy swej bicie zegarów, rozmowy, wezwania, odpowiedzi, głosy ludzkie bliskie i dalekie i dźwięki rzeczy martwych. O jakimś czasie, o jakiejś erze bezdennych dziejów tego dnia zrozumiała, że należy jak zwykle wyjść. Spostrzegła, że mało jest już osób w biurze.

Zadrżała w sobie. Znowu, jak na początku, ścierpła wewnątrz. Poza wszystkim bowiem błąkała się schylona nadzieja, że jeszcze się ten kielich od jej ust odwróci. A nuż, przyszedłszy do domu, zobaczy, że to wszystko było tylko okropną próbą. A nuż stanie się wszystko znowu, jak być powinno!... Teraz przed tymi podszeptami litosnej nadziei

stanął lęk. Ukazywał w miganiu lustra tajemniczego istotę rzeczy. Przeszywał duszę krzykiem rozpacz. Zdało się w duszy w tych chwilach słyszeć jak gdyby grom poza sobą. Zdało się jej, że zaiste ciemny szatan towarzyszy myślom, jak oprawca więziom skutym w żelaza. Szczęśliwe myśli ciosami potrąca i w proch rozbija, a wyszarpuje z mroków jeno te, co są zabójcze jak kindżał nastawiony przeciwko sercu niewiedzącemu nic a nic.

Wyszła spokojnie, rozdając na prawo i lewo zwykłe ukłony, uśmiechy koleżankom i kolegom biurowym, portierom i szwajcarowi. Spojrzenie oddane szwajcarowi wybuchło jak jęk... Szła do domu omackiem, gdyż była zaiste na duszy ślepa. Dopiero na schodach ocknęła się i zachwyciła piersiami dużo tchu. Szła szybko na szafot schodów uśmiechnięta śmiertelnie, zdyszana, pełna męstwa, a z ustami pełnymi słów do Boga.

Ujrzała prawdę i poczuła ją jak uderzenie siekierą w głowę. Puszka do listów, umiłowana kryjówka serdecznej tajemnicy, arka dusz, droga istota-powiernica – była wyrwana. Gwoździe, które ją przymocowywały, wyważone przez te same ręce, co skreśliły list. Po gwoździach zostały wyłupania w białej tafli drzwi. Ewa poczuła w sercu ból owych wyrwań, czarnych, przeraźliwych jam od gwoździ. Teraz dopiero zatrzęsa się od przerażenia. Stała oko w oko z nieszczęściem, jakby oko w oko z zabójcą, który o ciemnej nocy włamie się do sypialni przez okno. Błyskawicami woli chwyciła potrząskane okruchy męstwa. Dygocącymi niejako palcami duszy przytrzymała na twarzy cielesnej maskę spokoju.

Nacisnęła krążek dzwonnka. Gdy otwarto, ukośnym spojrzeniem rzuciła się na prawo i zraniła po raz trzeci.

Najgłębiej! Pokój Łukasza był pusty. Przez półotwarte drzwi widniały pręty łóżka obnażonego z pościeli. Pchnęła lekko te drzwi i zajrzała. Obłapił ją za nogi i spętał jęk tego pokoju. Pustka! Bezbrzeżny mrok przedmiotów spojrzał w nią jakoby wylupane, krwawe oczodoły.

Ugodziło ją teraz pod serce żegadło zbójckie.

Skierowała swe kroki do mieszkania i weszła. Rzuciła spojrzenie na twarz obojga rodziców. Matka była zmieszana, pobladła. Dolna szczęka jej twarzy drgała kiedy niekiedy, a oczy były ciemne i głuche pod zsuniętymi brwiami. Ojca trwożne, jakby szpiegowskie spojrzenie, bolesny wywiad detektywa, przesunęło się po wchodzącej.

Jak na nieszczęście była w mieszkaniu zamężna siostra. Opowiadała coś rozwlekłe i głupio.

Ewa czuła radość w tonie jej mowy. Poznawała dobrze, że Aniela wie, co się z nią, Ewą, stało. Rozumiała, że owo opowiadanie zimne i głupkowate siostra Aniela umyślnie przedsięwzięła i że będzie się ono wlokło do nieskończoności, gdyż na jej to cześć jest ucztą.

Zaśmiał się w niej szatan.

Obrzuciła wszystkich wejrzeniem i spokojnie zdjęła kapelusz. Zwracając się do matki spytała:

– Obiad prędko?

– Cóż ci tak pilno? – wtrąciła natychmiast Aniela.

– Pilno mi.

– Hm...

– Łukasz Niepołomski wyprowadził się? – spytała Ewa zwrócona wciąż do matki.

– Wyprowadził się – odpowiedziała stara pani.

– Wyjechał zupełnie z Warszawy?

– Wyjechał z Warszawy.

– Czy był tu z pożegnaniem?

– Był.

– Kiedy wyjechał?

– Dzisiaj.

– A dokąd?

– Nie wiem tego.

– Nie mówił mamie?

– Nie mówił.

– Cóż miał mamie mówić takie rzeczy? Co to kogo obchodzi, gdzie taki facet jedzie... – wtrąciła Aniela.

Teraz Ewa zwróciła się do niej z niespodziewanym dla samej siebie pociskiem słów:

– Wściekasz się, co? Gryzie cię widok, że ci już piersi obwisły, żeś już kwoka łożąca tam tylko, gdzie Władek każe, żeś już półkłępie, baba – a ja wciąż jeszcze ta sama! Smutne to, rzeczywiście. Żal mi cię, kwoko. Już zębów nie można suszyć po całych dniach do każdego lokatora po kolei. Jak mąż spojrzy, ciareczki po plecach latają. Już piersi wystawiać na nic się zdało, oczami strzyc – to samo. Nikt już nie leci na takie wdzięki...

– Zwracam uwagę – ozwał się nagle pan domu, milczący zazwyczaj czasu trwania sytuacji naprężonych – zwracam uwagę... Jedno słowo Niepołomskiego i Kraft *turnie* mię w ciągu jednej godziny.

– Komuż ojciec zwraca uwagę? – spytała Aniela z beczelnością osoby wyzwolonej, samoistnej, obcodomowej i moralnej.

– Zwracam uwagę tych wszystkich, komu na tym zależy, żebym miał miejsce tak krwawo zdobyte... – mówił wciąż tonem niezwykłym. Twarz miał zmałą do wielkości ściśniętego kułaka, pomarszczoną i pełną arcyśmiesznej grozy.

– Już tam ojciec, oczywiście, „wisi na włosku”, już tam pewnie pod ojcem „doły kopią”.

– Milcz! Moja rzecz... Kopią doły czy nie kopią – moja rzecz. A ty milcz!

– Tylko patrzeć, rychło przyjdzie wylany, tylko patrzeć... – mówiła matka zwracając się jedynie do Anieli, jakby tylko ta Aniela była w pokoju, a obok niej nie było nikogo.

– Ale będzie pretekst... – perorowała tamta z bystrością i logiką. – To dlatego, że się Niepołomski wyprowadził... „Jedno słówko Niepołomskiego i Kraft...”.

Stary pan jadł suchą, przedobiednią kromkę chleba, obojętnie i systematycznie. Przełknąwszy piąty czy szósty kęs rzekł wyniośle:

– Wtedy dopiero będzie wiadomo, co się wykonało. Ale wtedy dopiero, gdy już będzie za późno. Wtedy dopiero nadejdzie żal,

lamenty, awantury i inne opery.

– Cóż to wszystko ma znaczyć, filozofie spod Bachusa? Co to ma znaczyć? – zaczęła nastawać matka, odkładając na bok wszelkie względy i zabierając się do ataku.

– Powiedziałem!

– Powiedz wyraźnie! Wyraźnie, niech wszyscy słyszą!

– Powiedziałem wyraźnie. Proszę o zupe. Nie mam czasu na interwiewy. Biuro nie czeka.

Wniesiono zupe. Ewa nałała sobie talerz i szybko jeść zaczęła. Widziała, jedząc, błysk noża leżącego obok talerza. Ręka jej drgała, żeby go pochwycić i pchnąć w piersi siostrę Anielę. W głowie miała milczący wrzask namiętności skupionych w jedno. Coś w niej rozrywało się z wolna, jak powróż, na którym zawisł ciężar tysiąca pudów. Z pośpiechem, ale spokojnie zjadła obiad, włożyła kapelusz i nie żegnając się z nikim wyszła lekkimi krokami.

Niby przypadkowo wyszedł za nią tuż-tuż ojciec. Pokaszując i pomrukując dreptał obok, plątał się to z prawej, to z lewej strony. W bramie coś tam zaczął mówić. Ewa nie słyszała, nie była w stanie słyszeć, co mówi do niej ten stary człowiek. Udawała, że turkot uliczny przeszkadza odróżniać słowa. Rzuciła spojrzenie w sposób przykry. Powzięła w siebie, jak przez mgłę, wzrok rozmarzony, oczy zaczerwienione, pełne łez i uśmiech-żał.

Ale w niej nie było miejsca na przyjęcie tych uczuć.

Doznała podwójnej przykrości na widok twarzy i oczu tego człowieka, obcego jej w tym momencie. Powiedziała jakies

zdanie, szereg szybkich wyrazów, o których nie wiedziała, czym właściwie były, i odeszła w swoją stronę.

Niosły ją nogi ulicami. Posuwała się, nie widząc ludzi ni rzeczy. Praca jej ducha polegała na opanowywaniu wybuchów świadomości. Wybuchy te można by przyrównać do nagłych ciosów halnego wiatru, który bije skrzydłami w ciszę nie wiadomo skąd, a z nagłą ustaje nie wiadomo dlaczego i jakim sposobem. Serce zamierało doznając wciąż ścierpięcia śmierci. Ręce szukały oparcia. Z chaosu wyłaniał się żal czysty – okrutne, martwe, ślepe uczucie. Był on niby systemat bezzębnych, tępych pił ze stali, który niestrudzonym tarcie na tafle rozplątać potrafi całkowitą bryłę marmuru, bezkształtny, dziewiczy kloc, stworzony przez wieki wieków we wnętrzościach ziemi. A w pracy tego żalu, jak w pracy pił bezzębnych, była głęboka mądrość, niby mądrość ukryta w słowach duńskiego królewicza wpatrującego się w ogniłą czaszkę śmieszka Yoricka.

W biurze zajęła się usilnie pracą. Rachowanie, konieczność utrzymania myśli w korbach, w stalowych klubach, było dobrym przewodnikiem dla wichrów huczących w duszy.

Godziny biurowe szybko przeszły. Ewa nie chciała wierzyć własnym myślom, że już skończyła się praca.

Wyszła ostatnia. Zadała sobie pytanie, co robić z resztą tego okropnego dnia. Nagle przyszła jej do głowy mała myśl – jak gdyby w mózg wpadło ziarenko szaleju i zrodziło myśl – że wczoraj mogła pisać do Łukasza, a dziś nie może już pisać, bo jego już nie ma. Ta jakby nowa myśl zjeżyła jej włosy nad

głową. Tłok popołudniowy ludnej ulicy warszawskiej zagarnął ją w siebie, jak sieć zagarnia rybę. Dała się ciągnąć tłumowi, jakiemuś skrzydłu wielkiego włoku ludzkiego. Nie umiała zdać sobie sprawy, jakim sposobem i kiedy znalazła się w parku. Poszła na miejsce pierwszego spotkania z Łukaszem. Niosła tam coś jakby skargi na niego do miejsc, drózek, drzew... I tam był tłum nadwieczorny. Ławki pozajmowane, pył w powietrzu, szelest sukien, gwar rozmów. Ludzie – w tym miejscu. Ewa zatrzymała się obok pewnego drzewa, w miejscu, skąd widać było ławkę. Oczy jej chore z nieszczęścia, oczy niepragnące nic widzieć, oczy ugodzone – poszły ku tamtemu miejscu.

Miejsce to samo, tylekroć widziane, przedmioty obojętne – wszystko na całym świecie przemieniło się w jedno niezmierzone żalisko, pełne urn i mogił dla nikogo niewidzialnych. Niepodobna było tknąć wzrokiem żadnego przedmiotu. Minał już czas rzeczy tych. Stały się sobą, czyli przestały istnieć.

Nastał zmierzch jasności tych rzeczy wybranych, wyniesionych przez duszę czującą na wysokość symbolów.

Wszystkie odziewały się teraz w szary kir rozczarowania. Och, jakże teraz łkały drzewa, wytracone z łaski serca osieroconego! Jak żałobne stały się drogi, ulice, aleje, trawniki, gaje i klomby. Stary dąb, ukochany, powiernik, brat... Dalekie korony drzew...

Noc nadchodziła. Straszliwa noc! Pozbawiona czaru, nie była przybytkiem, świętym kościołem miłości, lecz nadchodziła z

dała, jakoby pustynia mroku zemstą ziejąca, otchłań lęku i morze bezgraniczne zatracenia.

Dźwięk – *nie ma* – straszliwy dreszcz rzeczy martwych przewijał się w szmerze ludzkim, w wietrze, w szeleście liści... Wynurzała się zewsząd potworna i bezdena nuda, która załamuje najmocniejsze ręce. Wstawał głód duszy nie do zniesienia, który nie ma, czym by się zaspokoił na całym szerokim świecie. Pustka wokoło niema i głucha, a poza nią wszystko wbite w ziemię. Ustała w świecie wszelka praca. Skostniało przedziwne życie ziemskie, które było radością czuwającego ducha i zdumieniem młodocianych oczu.

Upadła olbrzymia siła i skazana została na próżnowanie i zanik. Wykluczone było z tego obrębu wszelkie marzenie. Rzeczywistość, która była minęła, przewyższyła wszystko, co mogłoby się zawrzeć w najśmielszym marzeniu. Ta rzeczywistość była odkryciem nowego świata, o którego istnieniu nie było wiadomo nic, nigdzie, nikomu. A teraz ta rzeczywistość, ta obiecana ziemia, przestała istnieć bardziej bezwzględnie, niż znika sen po zbudzeniu. Były chwile, że Ewa szarpała ręką rękę dla utwierdzenia się w pewności, że wszystko, o czym myśli, jest w istocie, a ona wszystko dokładnie pamięta. To nie był sen. W zamian nasuwał się dawniejszy świat. Tłoczyły się zapomniane rzeczy, sprawy, myśli sprzed tamtego zdarzenia, sprzed dnia spowiedzi i poznania Łukasza. Stały się teraz te rzeczy złowieszcze a nieprześlągane. Otoczyły duszę jak zemściwy tłok szachrajów, którym prawo pozwala bełkotać o

zyskach. A prawo to – nadał im Łukasz. On! Gdzież tu iść? Jak tu żyć?

Poprowadziły ją dokąds samopas błędzące kroki. Z podniesioną głową i z mgławicami źrenic w oczach szła dumając o sobie, jakby o czymś na zewnątrz bytującym.

„Kto ja jestem? Co ja czynię?” – pytała samej siebie, zanurzając wywrócony wzrok w ciemności wewnętrzne duszy. I odpowiadała samej sobie przez gęstą kratę wewnętrznych łez w tej rozmównicy opuszczenia:

„Jestem samotna, pogardzona dusza. Jestem bez przyjaźni i pomocy. Stałam się, jak rzecz bez wartości, na nic nikomu.

Wszyscy ludzie widzą mój grzech, który w sercu popełniam i który pragnę popełniać – bez końca, bez końca.

Tak mi dopomóż. Panie Boże mój! Ty mi dopomóż, który wszystko żyjące miłujesz, Ty, co jeden wiesz prawdę... Grzech mój jest błękit, który mię ogarnął – Ty wiesz! – który mię ramionami otoczył – Ty wiesz – opasał, objął. Grzech mój jest – oczy – i szelest – i dźwięk przyciszonej mowy. Kocham mój grzech w sercu leżący i nienawidzę wszystkiego, co mię odeń odwodzi. Poza nim jest zgniła ciemność i odrażająca śmierć.

Grzech mój jest krzywa linia rozkwitłych bzów, liliowy hymn, co się w zieloną ścianę drzew tulił, gdym czekała... Grzech mój to szelest brzozowych gałęzi, szelest niewysłowionego powabu, gdy wtedy łagodny deszcz go uciszał. Słyszac go, nie słyszałam; a teraz przyszedł na serce moje... O mowo brzóz tamtych poranków czekania!

Zwarte krzewy, coście się usuwały za wiatrem, kiedy miał przyjść, a nie przychodził...

Gdzież tu na świecie szukać ratunku? Do kogo iść i w którą stronę?

Nikt mi nic dopomóc nie może ani poradzić. Jestem obarczona ciężarem ponad siły. Smutek wytarga ze mnie wszelką moc. Wszyscy widzą moje omdlenie, przepatrują mój grzech ukryty i sprawia im to nędną radość. Chcieliby pokrzyżować w ciemności drogi, przestawić znaki, zmylić sens myśli moich. A nade wszystko wyrwać serce, wyrwać serce... A ci, co by mi pomóc chcieli – nie mogą. Jest to sprawa między mną samą jedną i moim losem. Los wygrał sprawę. A ja moją dolę przegrałam. Jestem skazana... A cóż z tego, że nieszczęśliwy jest więzień skazany i litość budzi, kiedy osądzony jest i przeklęty?”.

W tej chwili, gdy tak szła niosąc w sobie bezlitosne i miłosierne moce, co jak siostrzyczki za umarłą siostrzyczką płaczą albo jak zbóje w karczmie wśród publicznych dziewczek szydzą, znowu trafiła pamięcią, jak gdyby w wybuchową minę, na te słowa listu:

„Nigdy nie dotknąłem ustami ust Twoich, nie dotknąłem ustami nawet Twej ręki”.

Porwał ją krzyk i białowargi szept tych wyrazów, dwa symbole jednoznaczające niewątpliwiej prawdy.

Ujrzała całą ich głębokość i ogrom, może bardziej niezmierny, niż go widział ten, co pisał.

„To prawda...” – szeptała sobie, brodząc przez chichot, idąc

wciąż w świat. „Nigdy nie dotknąłeś ustami moich ust. Ani ja twoich”.

Za prawdą tą taiła się, jak hiena, chwila obłąkania z rozpacz. Obrażała teraz Łukasza tysiącem krzywdzących podejrzeń i tysiącem posądzeń. Wbiegła w bramę jakiegoś domu i oparła o mur głowę, bo coś w tej głowie kipiało i paliło czaszkę, a myśl wysadzało z kolein rozsądku. Wywineło się znikąd (wówczas, gdy tam stała) proste i rozumne marzenie o śmierci. A w marzeniu tym była słodycz – i ani cienia bezmysłu. Był to wyłom, którędy można wyjść z labiryntu potwornych ruin, szczelina, wskazana przez dobrotliwą rękę ohydneho żebraka, co w rowie między pokrzywami spał... Bez tej myśli o śmierci nie mogłaby już żyć. Teraz na wiotkich skrzydłach cichych rozmyślań o rodzaju śmierci, o jej miejscu i czasie, poczęła kołysać się w przestworze nieszczęścia.

Szła ku domowi zadumana, z oczyma zatopionymi w olbrzymiej pustce niebios. W pobliżu domu przypomniła sobie inny werset strasznego listu.

Powtarzała szeptem:

„Jestem jednym z najsilniejszych ludzi na świecie. Nie – nie! Jestem najsilniejszy ze wszystkich mężczyzn na ziemi”.

I te słowa stanęły przed nią nie jako dźwięki, lecz jako oczywista i dotykalna, niemal bryłowata postać prawdy samej w sobie. Zadrżała w obliczu tej prawdy i byłaby gotowa upaść na twarz przed jej majestatem.

„Jesteś najsilniejszy na świecie – szeptała w zachwyceniu.

– Rzuciłeś mnie, mnie, którą tak kochały Twoje czarne oczy! Mnie, która byłam w Tobie i byłam Tobą. Wyrwałeś mnie ze swojej piersi, jakbyś serce bijące wyrwał sobie nieustraszonymi rękoma.

Usta do zimnego wapna ściany, za którą spałam, przykładając na pożegnanie. I całowałeś śmierć. A ja nieszczęsna nie wiedziałam! Czemużem się nie ocknęła i nie uczuła, co robisz! Nie zechciałeś widzieć mnie więcej. Ostatniego spojrzenia odmówiłeś i mnie, i sobie. O, jesteś silny! Przed Twoją milczącą wolą nie mogłoby się oprzeć nic ani na ziemi, ani na niebie. Ty panujesz nad ziemią, nad sobą i nade mną. Jakże cię uwielbiam! Kazałeś mi zapomnieć, a Twój ostatni uczynek nie prowadzi do celu! Panie mój! Twój rozkaz – tylko ten jeden – nie będzie spełniony. Przenigdy! Umrę. Będę tak samo silna i mężna jak Ty. Gdy trupa mego wywloką z dołu śmierci i rozpoznają, przeczytasz sobie o tym w gazecie. Będiesz wiedział, coś zrobił! Wtedy wszystko zrozumiesz. Ty, silny – coś zrobił. Ty, coś nigdy nie pocałował mię w usta...”

Pomimo że wróciła do domu o parę godzin później niż zwykle, nie pytała jej matka, gdzie była i co robiła.

W pokoju było ciemno. Stary pan siedział przy otwartym oknie. Kulawy samowar jeszcze sapał w ciemności. Ewa nie piła herbaty i nic nie jadła. Szybko rozebrała się, nie zapalając światła i zajęła swe legowisko za parawanem. Pierwszy to raz w życiu wydało jej się w tym domu podle i nędznie. Wieczór był parny. Czuła zaduch mieszkania i podwórza, odczuwała fizycznie nędzę

plugawego bytowania. Okryła głowę lekką kapą, jakby chcąc ukryć przed sobą świat. Porwał ją wnet nagły sen, twardy sen młodości zmordowanej przez nieszczęście.

Upadła ciałem i duchem, niby kamień w bezdenną toń czarnej wody. Nierychło w nocy – z tego niebytu, z czarnego otworzeliska głębin począł wywijać się sen dobrotliwy o czymś niebywałym, o czymś innym od naszego ziemskiego świata. Zaniosły ją tajemnicze potęgi na inny świat, prawdziwie na inny glob, na odosobnioną w przestworach ziemię. Czują lekkość w sercu swym, jak po długotrwałym płaczu w samotności, gdy się uśmiechnie znowu dola.

Nic nie wiedziała o nieszczęściu swym ani o męczarni serca. Snu tego nigdy później nie mogła sobie uprzytomnić ani przypomnieć. Wiedziała tylko o błogosławionej rozkoszy, która była w nim od początku do końca.

Aż oto dotknęło ją nieubłaganą ręką przebudzenie.

Siadła w kucki na posłaniu i chciała dłonią powstrzymać łoskot serca. Jeszcze nic nie wiedziała... Pierwsza myśl wionęła ku niej z ciemności, jak czyjś czarny szept:

„Łukasza nie ma!”.

Objęła ją rzeczywistość rozpacz objema rękami za rozpuszczone sploty włosów. Zanurzyła w nie mgliste, chude, koślawe palce. O, któż opowie o wybuchu powstającym znikąd, z dna serca! Podniósł się niepowstrzymany, niezapowiedziany niczym, na obraz drżenia, co wstrząsa skorupę ziemi przed wylewem wulkanu.

Ewa trzęsa się w potach, błagając, żeby tylko aby ten wybuch przeszedł szczęśliwie, przeminął i ustał.

Przechodził. Po nim westchnienie spadało na piersi – ni to kamień rzucony zza płotu przez niewidzialną rękę mściciela. Śniła się krótka chwila pociechy, pociechy błękitnej jak niebios a między śniadością obłoków.

Ale, jak niknie jasne niebo wśród nawałnicy, tak nicestwiała w obumarłym sercu pociecha. Coś niepochwytne szelestne, idące zza ramion, zdawało się szeptać, wpełź śpiewać na nutę współczującą, nie wiedzieć jaką, a okrutną jak ciosy rzemienia: „Nie – nie – nie!”.

Głowa opadała na ręce i leciała ku ziemi jak głaz z wysoka rzucony wzgardliwą ręką. Poczucie wzgardy na miejscu tym, gdzie były ołtarzowe róże i gdzie stał ołtarz – nie było do udźwignienia. Oczy nabrzmiewały od łez, serce biło szybkimi ciosy, biegło w bezgraniczną dal, jak wygnaniec po twardym gościńcu ziemi cudzej.

Nigdzie oparcia, nigdzie podstawy do wzmocnienia się duchem. Wszystko zawiodło. Tylko łkanie nocne, zduszone przemocą w piersiach... Tylko łkanie, ostatni pocieszyciel...

*

Dnie, tygodnie, miesiące...

Ewa nie miała najdrobniejszej wiadomości o tym, co się stało z Niepołomskim. Poczyła była wszelkie możliwe starania. Na

jakie tylko mogła wpaść domysły – wszystko wyzyskała. Była w biurze adresowym, w biurze paszportowym, posyłała zapytania do pism codziennych...

Zewsząd otrzymała odpowiedzi jednobrzmiące: – nie wiadomo. W biurze adresowym – jakże to drżała, kiedy wywoływano nazwisko Niepołomskiego! Powzięła wiadomość, że wyjechał z Warszawy. Wróciła tedy do tego właśnie miejsca, skąd wyszła. W odpowiedziach od redakcji podawano już to stare adresy w Paryżu i Londynie, już odpowiadano krótko i węzłowato: – nie wiadomo. Utworzył się dokoła duszy jak gdyby spisak, jak gdyby sprzysiężenie ludzi, zmowa instytucji, rzeczy, zwarty kartel bezlitosnych okoliczności, popierających się wzajem wszelkimi siłami w tym jedynie celu, żeby nic nie można było się dowiedzieć o Niepołomskim. Zdawała sobie sprawę z tego, że to przecie jest złudzenie, a jednak, gdy przychodziła skądkolwiek odmowna odpowiedź – witała ją z uśmiechem pogardy: „wiem, wiem, przyjaciele, co mi powiecie”. Przyszła szybko do przekonania, że Łukasz umarł. Ale i o śmierci nie było nigdzie w świecie otaczającym wzmianki, pogłoski, echa wieści...

Ewa przeżyła to skwarne lato w pracy bez wytchnienia.

Gdyby nie martwe i ślepe godziny mechanicznych dodawań olbrzymich kolumn, sprawozdań z podziału należności za przewóz towarów przez rozmaite linie kolejowe, byłaby oszalała. Toteż robiła zaciekle, zapamiętale, dwa razy, trzy razy więcej niż dawniej. „Odstawiała” po trzy, a nawet po cztery „normy”

dziennie bez podniesienia głowy znad papierów i bez oderwania myśli. Nie była w stanie pozwolić sobie na jedną chwilę czasu „swobodnego”. Jej czasy swobodne wypełnione były korowodami myśli podobnych do trupich głów w ślubnych welonach. Spostrzeżono jej zimną pilność, doskonałość jej *wykazów*, nieomyłność rachunków, ogrom pracy i nadmiar gorliwości. Zarobiła w tym czasie wprost „olbrzymie sumy”. Otrzymała zapewnienie najbliższego awansu. Naczelnik biura przyszedł do wniosku i przebąkiwał, że najoczywiściej „norma” dziennie jest ilością za małą, skoro pracownik może wykonać tyle, co panna Pobratyńska.

W tym samym czasie Ewa poczęła się „stroić” (jak twierdziła jej siostra Aniela). W rzeczywistości poczęła ubierać się wykwintnie i subtelnie. Suknie jej nie były oczywiście drogie, bogate i uderzające, niemniej jednak dobrane i obmyślane ze smakiem i niezwykłą pieczołowitością. Nadto – były uszyte w pewien osobliwy, można by powiedzieć, arystokratyczny sposób. Na ulicy Ewa robiła wrażenie panny z wyższego towarzystwa. Ta skłonność do ozdobności stroju zjawiała się powoli, rosła i dojrzewała. Była w tym doza zemsty, przechodząca aż w dziedzinę cynizmu.

Opuszczona, doznawała w tych skwarnych czasach wszystkich walk aniołów ciemności i wszystkich aniołów światła.

Sama była z wolna, z wolna przemieniona w duch cienia. Dusza jej nie miała już w sobie nic takiego, co ludzkie frazesy zowią kategorycznie cnotą albo występkiem. Szła po ruchomej i

sypkiej granicy między dobrem i złem, jakby po grani wapiennej Giewontu. Kochała cień, sekretność i niejasność swych myśli i z lubością przebywała w samej sobie. Znajdowała rozkosz w myśleniu samoistnym, bezpośrednio wysnutym z patrzenia niezmrużonymi oczyma w świat. Brała ów cały widoczny świat w swój umysł i mięsiła myślą jego odbicie. Dawniej bała się jak śmierci tego, co nauczono ją zwać występkiem. Teraz najskrajniejsza potworność warszawskiej ulicy nie stanowiła dla niej przedmiotu pogardy. Boleść i siła zmagaly się w duszy i rosły ciągle. Nad wszystkim górował śmiech z życia. Śmiała się po sto razy na dzień z Łukasza i jego „wielkiego czynu”, ze siebie tak głupio tęskniącej, z podeptanego kurczęcia, z biedy ojca, z pracy matki, z ciężarności siostry, z posłańca-tabetyka⁶¹, podrygującego z ulicy w ulicę pod ciężarem pakunku, z beznosej żebraczki i z paralityka o białych oczach, wiezionego w wózekczku.

Kochała się teraz w Łukaszu do szaleństwa. Ale odmiennie, zgoła inaczej. Już on teraz prawie na ziemi nie istniał. U tych krańców tęsknoty stał się zeń nieistniejący bóg, jakowyś Hermes Trismegistos, który rozkazawszy duchom, braciom swym, żeby mu za świętę służyli, wstąpił na gwiazdy. Dla sprowadzenia go na ziemię sprzedawała mu się, czyniła mu w sercu ofiary, ustępstwa bez końca i bez rachuby. Obiecywała mu w marzeniach rozkosze raju, byleby przybył. Śniła o tym, żeby zostać jego służebnicą,

⁶¹ *tabetyk* (z fr.) – osoba cierpiąca na uwiąd rdzenia kręgowego, charakterystyczny objaw późnego stadium jednej z chorób wenerycznych. [przypis edytorski]

pragnęła nocami rozkoszy cielesnej z nim, grzechu tajnego, który by złączył duszę jego z jej duszą w potępionej wieczności. Patrzyła obojętnie, jak dusza dawna, dusza miniona – szatanieje. Patrzyła ze śmiechem, jak wśród szamotań dusza brnie z występku w występki, jak popełnia miliony nieznanych jej grzechów – i pragnie wciąż nowych. Cóż z tego, że grzechy te popełniała tylko myślą, tylko żądzą i wołą, kiedy one owładnęły już sercem. Leżały zamknięte w sercu, gotowe do wybuchu, jak iskry w zimnym krzemieniu. Przyszła wreszcie do niejkiej granicy i powiedziała sobie, że życie może nie istnieć, może się nie *rozwidniać* jutro, byleby istniał jeden dzień z nim, dzień dzisiejszy. Życie – to dzisiaj!

Gdyby mogła wiedzieć chociaż tyle, że umarł. Gdyby umarł, odebrałaby sobie życie i wynalazła go w piekle czy w niebie, w raju czy w Azgardzie, wszędzie, gdziekolwiek jest. Ale jakże umrzeć, jeśli on żyje na świecie? Żyła tedy lichwą wydartą z ostatnich okruszyn nadziei. Z okruszyn tych częstokroć wystrzelały nagle złudzenia, olśniewające kraje, nieznane ziemie. Z założeń tysiąckroć drobniejszych niż ziarenko nasienne rezedy rosły baobaby ufności, cudne wielkokrzewy, zbudowane cudownie i nie mniej ściśle niż systemat Schellinga. Ale kiedy indziej w tę metafizykę odtrącenia wpadały efemerydy potwornych impulsów, ciosy tajemniczych poduszczeń do aktów niesłychanej zemsty... Jedno częstokroć wspomnienie gestu, powiewu, jęku – *niedostrzeżone* czasu dni szczęśliwych – zasiane teraz ręką szatana w ciemności, uderzało w piersi jak nóż, przez

tygodnie...

Ewa stała się niewymownie piękna. Gdy pospiesznie szła ulicą, zatopiona w sobie, wyniosła, ze wzrokiem jakby wywróconym na nice i zatopionym w światach duszy – nie było mężczyzny, który by jej nie ścigał wzrokiem i westchnieniem. Były to oczy ptaka konającego, przyćmione przez powieki jak przez całuny. Stała się blada, zimna, wysmukła, przedziwnie mściwa, jak Diana. Jeżeli na kogo wzrok jej padł, to przeszywał zapalczywym ogniem ducha – na śmierć, niby strzała srebrnego łuku siostry Apollina. Zimne błyskanie nieprześląganych oczu i wzdurliwy uśmiech – to najczęściej miała dla ludzi.

Wędrówki z domu do biura i z biura do domu były dla Ewy najprzykrzejsze. Wówczas rozwijała się najuciążliwsza praca wspomnień, obliczeń, zarówno bieżącego dnia i dni dawnych, nędznych małości i nieskończoności, niewiadomych godzin marzenia i wiadomych, świeżo poznanych wielkości bieżącej godziny – wszystka niezgłębiona, niemająca początku ni końca matematyka osamotnienia. Były pewne przysłowia, które Ewa powtarzała często jako doskonałą dewizę swego życia, jako *słowo* wszechobejmujące. Co rana, spostrzegłszy w sobie coś nowego, mówiła to słowo, stwierdzała z gorzkim cynizmem: „Im dalej w las, tym więcej drzew”. Szła coraz dalej w nieprzebyte las życia.

W ciągu tego okresu czasu kilkakrotnie doznała wstrząśnięć, których później lękała się drżąc na całym ciele. Pewnego razu, idąc po południu ku domowi, pełna usiłowań, żeby

wyrobić w sobie chociaż jakiś chiński cień charakteru, rzuciła okiem na tramwaj przejeżdżający i na jego szczycie ujrzała olbrzymimi literami wypisane słowo „Łukasz”. Było to ogłoszenie jakiegoś sklepu czy stowarzyszenia. Drgnęła wtedy, uderzona bezlitosnym prądem i na pół zabita, odrętwiała, w paraliżu duszy przywlokła się do domu.

Kiedy indziej, gdy siedziała na „swej” ławce w parku, poddana mocy prawdziwie żywiołowych nasyceń zgłodniałych uczuć pewnikiem, że inni ludzie także kochają nieszczęśliwie, nienawidzą, cierpią, są nieszczęśliwi, gniją po szpitalach i umierają – usłyszała nagle w rozmowie dwóch przechodzących jegomościów zdanie jak odpowiedź: „Życie życiem być musi, śmierć korzysta z praw śmierci”. Zdanie to każdą sylabą przywarło do duszy tak nieodparcie, jak głowonóg-ośmiornica przywiera do żywego ciała kostnymi ssawkami.

Najcięższą wszelako chwilę stanowiło przejście z matką. W parę dni po wyjeździe Łukasza, w czasie kiedy nie obchodziło jej nic, kiedy była najstraszliwiej „wichrem porwana”, w chwili powrotu do domu spostrzegła na bramie kartę z oznajmieniem, że pokój jest do wynajęcia w mieszkaniu rodziców. Bez jednej myśli w głowie, z furią w sercu, zdyszana wbiegła na schody, przycisnęła dzwonek... Ledwie mogła doczekać się... Gdy wtargnęła do mieszkania, natychmiast wyciągnęła matkę na korytarz i obcesowo zapytała, patrząc jej prosto w oczy:

- Mama ogłosiła, że jest do wynajęcia pokój?
- No, ogłosiłam.

– Ten pokój?

– Ten.

– Pokój Niepołomskiego? – nastawała wbijając w matkę oczy jak noże.

– Czyś już zupełnie oszalała?

– Nie oszalałam, nie! Ja nie dam wynająć tego pokoju! – wycedziła przez ściśnięte zęby.

– Pytam ci się⁶², Ewa, czyś oszalała?

– Jeżeli mama wynajmie ten pokój, jeżeli do tego pokoju... pierwszy lepszy się wniesie, to ja... Przysięgam mamie! Wyjdę na ulicę i, wie mama, pójdę z pierwszym lepszym!...

Stara pani nie spuszczała z niej oczu. Sama zbladła tak samo jak Ewa i trzęsła się tak samo jak ona. Chwyciła córkę za obie ręce i wciągnęła ją do pustego pokoju Łukasza. Tam ją oparła plecami o mur i w oczy zaczęła jej szeptać:

– Musisz o nim zapomnieć, musisz! Zginiesz, jeśli nie zapomnisz!

– To zginę! – odpowiedziała Ewa jednym prawdogłośnym okrzykiem. – Mama myśli, że zginąć – to dla mnie przestrasz? Dla mnie zginąć!... Podła jestem sobaka, że jeszcze żyję!

– On nigdy nie dostanie rozwodu – mówiła stara nieodwołalnie. – Sprawdzalam sama w konsystorzu, chodziłam do jego adwokata. Ty myślisz, że ja jestem taka głupia jak ty.

– To niech nie dostaje. Nie dbam o rozwód!

– Więc o cóż ty dbasz? Zastanów się i powiedz, czego chcesz?

⁶² *pytam ci się* – dziś popr.: *pytam cię się*; *pytam się ciebie*. [przypis edytorski]

- Niczego od was nie chcę.
- Nie wróci do ciebie nigdy – przenigdy.
- Dopięta mama swego, więc coś jeszcze?
- A bo musisz zapomnieć!
- Długo mama pożyje, żeby tego doczekać.
- A kiedy musisz!

– Nie! Nie zapomnę go nigdy – przenigdy! – szeptała w szale z zamkniętymi oczami, z uśmiechem. – Choćby bił, choćby mię kopał nogami, choćby mię włóczył za włosy po ziemi – będę go całowała po rękach, po nogach, będę go wielbiła do ostatniego tchu! Żeby go tylko mogła zobaczyć, och, żeby go mogła zobaczyć! Wie mama teraz? – pytała z okrutną kokieterią.

Stara zakołysała się, zaszlochała w sobie. Twarz jej skrzywiła się boleśnie. Rzekła po chwili:

– Pleciesz bez rozumu. Jesteś zupełnie zwariowana, więc ja od dawna i wciąż myślę za ciebie. Dniami i nocami, dniami i nocami. Rozumiesz mię, czy nie? Ja myślę za ciebie bez ustanku.

- Nie potrzeba.
- Czego nie potrzeba?
- Żeby mama...

– A kiedy ty jesteś moje dziecko. Ja cię na świat wydałam, ja ci darowałam to życie. Twoje życie to ja ci dałam. Gdyby nie ja – nie byłoby cię w tej chwili.

– To niech je sobie mama z powrotem zabierze – to życie! Jeśli tak należę do mamy, to niech mię mama zabije. Ach, żebyście wy mnie zabili, wy, dobroczyńcy!

– Ja po nocach nad tobą czuwałam, kiedyś była tyłą kruszyną. A teraz, jakeś jest kobietą dorosłą, to ja mam iść precz od ciebie? Rozumiesz ty, co mówisz?...

– Nic teraz nie rozumiem.

– To ja też za ciebie pracuję teraz rozumem, tak samo jak wówczas, gdyś miała pięć miesięcy i rok, i dwa, i dziesięć.

– Kiedyś wszyscy dorastamy, starzejemy się. Nikt nie jest dzieckiem przez całe życie, od kolebki do starości. I mama niegdyś była dzieckiem... i ja już nie jestem dziesięcioletnim dzieckiem...

– Ale tego nie wiesz o życiu, co ja.

– A mama nie czuje nic z tego, co ja czuję. Ani najłżejszego drgnienia serca.

– I o tym wiem, co czujesz, bom przeżyła życie i także byłam zakochaną dziewczyną.

– Nie, nie kochała mama tak jak ja.

– Skądże wiesz?

– Bo nie stałaby mama teraz nade mną jak straszny kat. Straszny, bezlitosny kat! Mama to wygnała stąd Łukasza pod pozorem troski o mnie, dla mego – cha-cha-cha! – szczęścia. Mama to może wymówić słowo, mamie to może przejść przez usta, zmieści się w piersiach, mamie! – to słowo: „musisz zapomnieć”? Jego zapomnieć, Łukasza zapomnieć!

– Ja ci nie każę, ja cię tylko chcę chwycić za ręce i prowadzić precz od przepaści. Musisz zapomnieć, bo inaczej przepadniesz. Ty o tym nie wiesz, ja wiem doskonale.

– A ja wolę zlecieć w przepaść...

– Wszystko przemija. I ten twój nastrój przeminie. Jesteś młoda, jesteś do ludzi podobna. Na świecie żyjesz i wśród ludzi.

– Nastrój mój – przeminie!...

– Wszystko przemija. Rodzice zapominają o dzieciach. Wiesz ty, co znaczy to słowo? Widzisz, że nie wiesz, nie wiesz! Kiedyś dopiero zrozumiesz, co się zawiera w takim zdaniu: Rodzice zapominają o umarłych dzieciach. Dzieci zapomną o matce, co za nimi aż do szaleństwa przepadała, której serce po milion razy przeszywał czarny słupek rtęci pokazujący gorączkę. Chodziła nocą bosa i półnaga podsłuchiwać oddechy, czatowała rankami na przebudzenie, była jak pies wierna, a noc tylko ciemna wie, ile dla nich przecierpiała. Serce jej było pragnieniem ich szczęścia, ręce były narzędziami do budowania ich dobrej doli... Zapomną jak o rzeczy nieużytecznej, zniszczonej, starej, niemiłej, gdy będzie sama twarz w twarz ze śmiercią. Odejdą z uśmiechami zwróconymi do życia, do pierwszego pięknego przechodnia. I zapomną... Mężowie zapominają o żonach, które im poświęciły pierwsze bicie serca miłującego i im się tylko oddały. Szaleją, biją czołami o mur, pistolet przykładają do skroni. Zapominają...

– A są tacy, co nie...

– Wszystko odchodzi pod dach Wiecznego Boga. Do tego straszego składu, gdzie już po wtóre nic nie odzujesz. A ja ci tak dzisiaj radzę – żebyś go całkiem nie zapomniała, bo już, widać, na nieszczęście, nie zapomnisz; ani zbyt mocno nie

pamiętała, bo nędznie zginiesz. Weź to do serca i pracuj nad sobą. Dzień i noc pracuj!

Ewa w szlochach oparła głowę na piersiach matki. Stały długo, łkając, wcielone duchem i ciałem jedna w drugą, jakoby na nowo jeden, oplątany krwionośnymi żyłami, nierozdzielny twór natury. Ewa ocknęła się pierwsza. Zalane łzami oczy utopiła w oczach matki. Usta, jakby krwi pełne, ledwo, ledwo szeptały:

– Mamo, ja wezmę ten pokój! Będę za niego miesięcznie tyleż samo, co on, płaciła. Tu się przeniosę i zamieszkam. Ja potrzebuję być sama. Będę zarabiała jeszcze więcej, jeszcze więcej. Przecie zarabiam tyle, że mogę to samo zapłacić, co on.

Stara pani patrzyła ponuro w ziemię. Mruknęła:

– Niewiele ci to pomoże, a nam krzywda.

– Więc ja już nigdy nie będę człowiekiem? Żebym trzysta rubli zarabiała miesięcznie, to także muszę siedzieć za parawanem? Wiecznie wasza, wasza...

– A bierz sobie, bierz pokój! Blisko dwieście rubli rocznie jak w błoto rzucił.

Ci-devant piękność wyszła z pokoju, wyniośle podnosząc głowę. Tegoż jeszcze dnia Ewa przeprowadziła się do pokoju zajmowanego poprzednio przez Niepołomskiego. Umieściła tam wszystkie swe rzeczy, cały swój dobytek. Pościel zaściła na żelaznym łóżku w taki sam sposób, jak było u niego. Rzeczy, które były w użyciu tego lokatora, ustawiła z pietyzmem. Po powrocie z biura, zamknęta na klucz, całymi godzinami zajmowała się czyszczeniem, myciem, podklejaniem tapet,

malowaniem podłóg itd., aż doprowadziła ową izdebkę do stanu jakiejś niewypowiedzianej doskonałości i niewątpliwego uroku. Zmieniła to miejsce w świątynkę czy muzeum. Stare, tandetne graty stały się niemal piękne i dziwnie w swym prostactwie szacowne na lustrzanej podłodze, wobec nieskalanych ścian i przezroczystych okien. Pokój ten pełen był zapachu kwiatów i subtelnych perfum. Na ścianach zjawily się dwie ryciny niejako wydobyte z listów Łukasza Niepołomskiego, a po długich poszukiwaniach i za drogie pieniądze zdobyte u antykwariuszów. Jedna z nich – to był Otello, zbliżający się w nocy do Desdemony, piękny sztych angielski – druga to portret Alfreda de Vigny.

Nikt z domowników nie przekroczył ani razu progu tego pokoju. Doprowadziwszy go do stanu doskonałości, właścicielka zamknęła drzwi na klucz dla wszystkich bez wyjątku. Drzwi były zamknięte pod jej nieobecność. Nie odmykała ich również, gdy była u siebie. Sama sprzątała. Były tam książki, których mnóstwo chłoneła teraz, już to wypożyczone z czytelni, już nabyte. Miała w zamknięciu swe listy.

Żyła tak miesiącami w zupełnym odludziu, „nic nie mówiąc” – to znaczy nie wyjawiając ani jednej sylaby olbrzymiej pieśni swej duszy; żyła na pustkowiu, jakby w celi, w lesie czy niedostępnych górach.

*

Dni powszednie, w znacznej części wypełnione pracą

biurową, miały łatwiej, ale niedziele i święta... Dni świąteczne były długie, pełne smutku potężnego jak noc, smutku, który nie ustępował przed najcięższym wysiłkiem woli-potęgi, jak noc nie ustępuje przed sztucznym światłem człowieczym – smutku, co odchodził wówczas dopiero, gdy dopełniała się jego niewiadoma miara. Rano w niedzielę Ewa zazwyczaj szła do czytelni publicznej. W ciągu dwu, trzech godzin przeglądała czasopisma z ostatniego tygodnia.

Na jesieni, już w drugiej połowie września, trafiła się pewna niedziela niezwykła. Ewa dość już długo czytała i powzięła zamiar, żeby wyjść. Sala czytelni, pełna kurzu, szelestu, kaszlu siedzących bibularzów, poczęła ją nużyć. Jeszcze jedno jakieś czasopismo tygodniowe – i koniec zabawy. Powrót do domu... Wyciągnęła rękę po pismo, mając już wryty w mózgu obraz ruchliwej ulicy, potwornej i obcej ulicy, obraz podwórza, schodów, drzwi do mieszkania. Przed oczyma miała szpalty równie obce, cudze, odpychające jak obraz ulicy. Czuła poza sobą tłum wszędzie obecny, ścigający samotność, tłum natrętny, tłum-goniec i donosiciel... To wszystko, co było w życiu i w pismach, nie miało z nią, z jej sprawami, z jej „kwestią”, z piekielnymi artykułami jej życia – żadnego zgoła łącznika. Zaczęła czytać artykuł w naukowym tygodniku. Przeczytała. Nuda, nuda... Odwraca kartę, żeby zobaczyć następujący artykuł, rezerwuar nudy innego pokroju...

I nagle – trzask w głowie, płomień w oczach, szum w uszach. U dołu artykułu podpis – Łukasz Niepołomski. Nieci się w

piersiach początek pożaru, cichy ogień. Jego węzowe języki pełzają wokoło czaszki, wskakują we włosy. Wicher radości buchnie w ów ogień. Adres redakcji...

Złożyła ostrożnie pismo i bez szelestu wyszła. Szum w głowie... Na ulicy powzięła decyzję, żeby iść niezwłocznie. Kiedy indziej, ulegając wrodzonemu uczuciu nieśmiałości, byłaby kwadransami wahała się i trwożyła. Teraz wbiegła na schody i nacisnęła dzwonek jak do własnego mieszkania. Otworzył drzwi stary służący, z którego oczu, policzków, czerepa życie już wszystko wyjadło. Martwe oczy – szczerą ziemią... Obudził w Ewie wstręt-przeczuć, jak widok glisty czy rozdeptanego ślimaka.

- Czy pan redaktor jest w domu?
- Niedziela. Pan redaktor nie przyjmuje.
- Proszę podać mój bilet.

Rozdeptane oczy patrzą na ów bilet, później w twarz osoby z takim zainteresowaniem, jakby patrzyły w otwarty i wystygły piec.

Dwie duże srebrne monety.

Poszedł.

- Nie ma go, nie ma, nie ma!

Ewa marzy. Kombinuje, kłamie, obmyśla niestworzone historie, składa na poczekaniu ambaje, chwyta z przestworza duby smalone i odrzuca jako nieodpowiednie. Jeżeli jej ten dureń nie przyjmie? Co wtedy robić? Jak wtedy postąpić?

- Pan redaktor prosi.

Gabinet redakcyjny. Stosy piśmideł wszelkiego rodzaju. Wycinki, notesy, czerwony ołówek. Kurz. Nuda. Kołatanie ściennego zegara...

Usiadła na fotelu obok biurka. Poprawiła włosy, bluzkę, wysunęła bućki w taki sposób, żeby go pan redaktor spostrzegł od razu i nie odprawił z kwitkiem. Marzyła wówczas:

„Łukaszu, przyjdź, Łukaszu...”.

Czekała w rozterce, w dreszczach, wśród kłających i tkliwych obaw – pięć minut, dziesięć, kwadrans.

Nareszcie otwierają się drzwi.

Redaktor, z grymasem gniewu, zakładając na nos binokle, ukazuje się jak Wotan wśród ogniów górskich.

Ewa spostrzega to podstarzałe, ślepnące, łysiejące, na poły bezzębne, wiecznie na pniu podcinane przez „wrogów” megalomaniactwo. Twarz jak stronica zadrukowanej bibuły, dostojne oblicze, zszarzałe wśród szpalt, „zasad”, plotek, oszczerstw, korekt i knajpianego dymu. Ironia, wyniosłość, cmokanie dziurawymi zębami, pochrząkiwanie, idące zarówno z niezgłębioności intelektu, jak i ze „stłumionych wierzchołków”. Ale nawet te lubieżne plotkarskie oczy, zupełnie godne binokli w złotej oprawie – spostrzegają. Na zmiętej twarzy maluje się rozmarzenie i romansowiczowskie zainteresowanie: – Początkująca literatka?...

– Czym mogę służyć? – mówi redaktor ozdobnym szeptem, wśród zgniłych uśmieszek, pełnych obietnic sięgających jak można najdalej.

– Raczy pan redaktor darować, że ośmieliłam się zabierać jego czas, tak *dla nas* drogi. Ale sprawa wielkiej wagi... Zmusiło mnie to do śmiałości...

– Proszę uprzejmie – mówi z dobrocią potentat, kierownik opinii, zajmując nie tylko właściwą, lecz i taką pozę w bajecznym krześle z poręczami, ażeby najmniej było widać talerz łysiny.

– Jestem studentką z Paryża...

– A... bardzo mi przyjemnie...

– Wracam właśnie z wakacji z powrotem na studia. Mamy jechać w kilka osób. Jedna z koleżanek poświęciła się specjalnie antropologii. Pracowała już dawniej pod kierunkiem pana Niepołomskiego. Właśnie ta koleżanka, która została jeszcze na wsi, poleciła mi dowiedzieć się, gdzie obecnie znajduje się pan Niepołomski. Miał i on obecnie jechać do Paryża... Szukałam adresu tego pana na wszystkie strony i nie mogłam dowiedzieć się nigdzie. Nareszcie poradzono mi, żeby się udać do szanownego pana redaktora, trzymającego dłoń na pulsie naszego naukowego życia...

– Niepołomski – mówi redaktor, sięgając po mały notes z półeczki biurka – Niepołomski mieszka obecnie... Zaraz... litera *N*.

Ewa zatopiła oczy w podłódze, tuż obok dyskretnie ukrywanego pantofla władcy. Czekwała z miną obojętną, wśród łoskotu serca, które biło jak alarm wiejski w czasie pożaru.

– Niepołomski mieszka – aha – we wsi Zgłiszcz, gubernia lubelska, stacja pocztowa Puławy.

– Pan Niepołomski ma własny majątek? – pyta Ewa niskim, obojętnym i zimnym głosem, notując sobie w myśli każdy wyraz, każdą sylabę, każdą literę.

– O, nie, nie! Uczony, literat polski – i własny majątek. Łaskawa pani zepsuta jest przez stosunki paryskie. W naszym społeczeństwie – Boże drogi! Niepołomski jest po prostu nauczycielem w domu hrabiego Szczerbica, znanego dziwaka. Kształci dwu podrosłych hrabiczów w umiejętnościach różnego rodzaju.

– Wobec tego należy chyba przypuścić, że za granicę nie pojedzie i że moja koleżanka niepotrzebnie na niego czeka, a ja niepotrzebnie trudziłam pana redaktora.

– Boże drogi! z największą gotowością, z całym, proszę wierzyć, zapalem... Czy Niepołomski pojedzie do Paryża? Nie wiem tego, ale można by napisać. Był tu niedawno, lecz nic o tym nie wspominał.

– Był w Warszawie? Doprawdy? Jaka szkoda!... Można się było porozumieć, kiedy za pomocą listów... Nam się śpieszy bardzo. Czy dawno był ów pan Niepołomski?

– Był tu jakieś dwa tygodnie temu. Tak, jakieś dwa tygodnie temu... Ale wpadł tylko na chwilę. A pani co studiuje, jeśli wolno zapytać?

– Medycynę... – mówi Ewa, połyskując prześlicznymi oczyma, co wielkiego redaktora przyprawia o niepokojące wzruszenie.

– Prawda, mam list od Niepołomskiego... Zapomniałem. A

coś on tam wspomina. Przepraszam, gdzież to ja mam ten list? Drukowałem w ostatnim numerze pisma artykuł, nawet wcale, wcale niezły artykuł z zakresu antropologii. Gdzież ja mam ten list?

Redaktor przewracał stosy swych papierów. Znalazł nareszcie.

– A, jest. Coś tu wspomniał, na co nie zwróciłem uwagi.

Przebiegł list oczyma.

– A więc dobrze się składa. We środę wieczorem Niepołomski będzie w Warszawie. Przyjedzie, jak pisze, na krótko wieczornym pociągami, a nazajutrz rano wyjedzie z powrotem. Ma być u mnie.

– Więc... we środę... wieczorem? To bardzo dobrze. Można będzie zobaczyć się z nim i umówić. Wieczornym pociągami kolei nadwiślańskiej.

– Tak jest.

Uprzejmym ruchem redaktor odszukał książeczkę z rozkładem jazdy, wynalazł odpowiednią stronicę i rubrykę i głosem zachwycającym, aż do omdlenia grzecznym wygłosił:

– Siódma dwadzieścia. Jeżeli pani życzy sobie, gotów jestem poinformować Niepołomskiego o sprawie, gdy do mnie przyjdzie. A może pani tu zechce odbyć z nim konferencję. Redakcja nasza jest do dyspozycji dla naszych dzielnych pionierek wiedzy. Ja sam...

– Dziękuję, uprzejmie dziękuję. Zakomunikuję łaskawą grzeczność pana redaktora koleżankom. Naturalnie, że najlepiej

im będzie tutaj zobaczyć się z panem Niepołomskim. Na wszelki wypadek zanotuję adres. A więc: Zgliszcz – pisała Ewa literami, które miotają się na wszystkie strony – gubernia lubelska, poczta Puławy, dom hr. Szczerbica.

Za chwilę podniosła się z uśmiechem. Redaktor miał możność ujrzenia niezwykłych oczu. Oczu tych niepodobna by było za pomocą sztuki malarskiej przypomnieć, nie można by muzyką wyrazić. Jaśniały na wysokościach duszy jak gwiazdy w ciemnym niebie.

Niemal całkowite cztery dni.

Trwały te dni bez końca, były nieprzebyte w swej długości, a zawierały się w nich epoki dziejów serca.

W ciągu tego czasu Ewa załatwiła mnóstwo spraw biurowych za siebie, kolegów i koleżanki, odbywała po południu wielkie spacery do Łazienek, w kierunku Czerniakowa i w kierunku Woli. Pomimo wszelkich wysiłków nie mogła zabić, zepchnąć tych dni. Ulgę sprawiała noc i twarde jej sny. Sny te były daleko bardziej rzeczywiste niż rzeczywistość.

Światy ukazujące się tam były miejscem pobytu odpowiednim dla duszy tęskniącej, duszy cierpiącej, były jej kwietnym ogrojem, jej ojczyzną i ziemią.

Rzeczywistość dnia osłonięta była welonem senności, kurzem gęstym i nieprzenikliwym. Dusza tęskniąca nic prawie nie mogła zrozumieć z tego, co się działo naokół i była obca najzupełniej na tym świecie.

Jak potok z tamtej krainy, z ojczyzny snów, płynęły myśli

w tajemnicy zrodzone, nieprzerwanymi falami przez dzienny świat. Były to myśli samotne, niezależne, poddane władzy sił nieznanych zgola i dlatego dziwnie nielicujące ze wszystkim. Częstokroć nie wiadomo skąd wypływały słowa:

Modrą wstążką po żółtym piasku cicha rzeczka
płynęła...

A ponad tymi słowy, jak czarne motyle, a może jak błękitne, przejrzystoskrzydłe łatewki, snuły się troski i nadzieje:

– Dokąd popłynie ta woda, dokąd popłynie? Czy popłynie do Tarpejskiej Skały, czy popłynie na jasną łąkę, gdzie „żółte jaskry i koniczyna różowa”?

Przechodziły długie godziny głębokich dociekań, jakim sposobem się to stać mogło, że powzięła wiadomość o adresie Łukasza? Dlaczego się to stało?

Usiłowała odgadnąć, czy nie będzie szczęścia za dużo, jeśli go ujrzy. Czy nie wystarcza to szczęście, które jest? Czy złe moce, duchy ciemności, co ją trzymały w więzieniu przez miesiące tyle, nie wybuchną zemstą na nowo? Dochodziła do niezgłębionego urwiska: czy pójść we środe na kolej? Żyła w takim postanowieniu godziny długie, mordercze, aż do nowego kłębu postanowień. Tymi myślami, jak biedny ślepy robak systematem macek, zbadała swą dolę wzdłuż, wszerz i naokoło. Przeszła wszelkie możliwe kombinacje zdarzeń, obejrzała wszelkie wypadki. Nad najbardziej bolesnymi przypuszczeniami dumiała w ciągu godzin i mocowała się sercem z najbardziej srogimi ciosy. Wiedziała już, co przyjdzie uczuć, gdy Łukasz nie

przyjedzie, wiedziała również, co będzie z nią, jeśli się okaże, że ta cała informacja redaktorska była omyłką, nieporozumieniem, niedokładnością.

Wiedziała, co czynić i jak żyć, jeśli Łukasz nie zechciałby z nią mówić i gdyby uciekł. Wiedziała to wszystko.

„Jak to pospolita rzecz – mówiła samej sobie – jestem zakochana w tym panu. Ja jestem zakochana? Ja jestem? Czyliż to możliwe? Czyż to jest miłość?”

Ostatniego dnia, we środę, zaszła najdalej w pracy duchowej, bo aż do kategorycznych postanowień, jak się zachować. Nie wiedziała, rzecz prosta, czy tego dnia i tego wieczora nie wypadnie jej umrzeć... Wiedziała jednak, jak ma się zachować.

Postanowiła nie ukazać się Łukaszowi. Wytargowała na złych duchach tyle, że niejako zgodziły się na to, żeby go z dala ujrzała. Tak też wobec siebie na to przyzwoliła.

Zobaczy go z daleka, z daleka... Czegóż jeszcze? Wie, gdzie on jest. Czyż to mało? To już wszystko.

Gdy minęły godziny biurowe i zaczęło się odwieczerze, Ewa dla uspokojenia się fizycznie, dla uciszenia zupełnego nerwów, wzięła bardzo gorącą kąpiel. Powróciwszy z kąpeli do domu, poczęła ubierać się jak na śmierć. Włożyła najczystszą, najpiękniejszą, pachnącą bieliznę i najlepsze a najwytworniejsze swe suknie.

„Należy mężnie żyć i wspaniale umierać...” – mówiła sobie wciąż, czesząc cudowne włosy i wdzierając jedwabny stanik. Była gotowa na jakie dwie godziny przed terminem, przed ową

godziną straszną i cudną.

Nie wychodziła jednak z domu. Pomimo kąpieli była niespokojna. Tarła wciąż ręce. Zapominała. Gubiła rzeczy i myśli. Przez głowę i jakby przez włosy wiały wciąż dreszcze. Tłukła się w ścianach jak motyl w skrzynce blaszanej. Padła jesienny deszcz. Dzień był ohydny.

Krażyły nad ziemią czarne chmury, powłóczyście widma niedoli, głodu i śmierci. Błotne kałuże stały na brukach, a ohydne, ciemne strumienie sączyły się w ściekach. Drzewa pod batem wichru i deszczu sypały na ziemię poczerniały liść, który nogi ludzkie wdeptywały w ziemię. Pnie i konary były oniemiałe, jakby pogrążone w lęku i spodleniu. Park, przez który Ewa dopiero co biegła, ogłuchł, oniemiał, zestarzał się i znikczemniał. Szyby w oknie wciąż i wciąż popłakiwały, zamazane długimi smugami...

Na trzy kwadranse przed nadejściem wiadomego pociągu Ewa wdziała na ramiona krótki i lekki syberynowy⁶³ paltot i otoczyła czarny kapelusz czarną, gęstą wualką, jak maska. (Wualka miała u dołu szlak, niby ów pas na sukniach żałoby). Ogarnęła okiem raz jeszcze swój pokoik – i chyłkiem wyszła z domu. Biegła szybko popod murami do stacji tramwajów. Tam wyróżniła z trudem znaki idącego na dworzec nadwiślański i rozejrzawszy się starannie, czy jej kto nie śledzi, wsiadła

⁶³ *syberynowy* – wykonany z **syberyny**, tj. grubej, gęsto tkanej i bardzo ciepłej tkaniny wełnianej, popularnie używanej w XIX i na początku XX w. do wyrobu jesiennych i zimowych okryć wierzchnich. [przypis edytorski]

z pośpiechem. Tłok, który ją otoczył, gwar rozmów, widok osób biegnących po zalanych chodnikach, równych taflach betonu, lśniących od światła chwiejnych płomyków gazowych w latarniach – wysoko pouginanych kobiet, mężczyzn schylonych pod parasolami – wszystko sprawiało na niej wrażenie jeszcze bardziej podniecające. Jak wracać wśród tego wszystkiego, jeżeli nie przyjedzie? Oto pytanie.

Była jak w gorączce, w ciężkim ucisku mocy ciała. Nie była zupełnie pewna, dokąd jedzie i jakie jest jej uczucie: czy to radość, czy rozpacz? W pewnej chwili uczuła, że ona sama i wszystek ten tłum spieszy, leci i gna na Powązki⁶⁴ i że tam wszyscy stłoczeni, dusząc się i mordując, runą w nieoczekiwaną, szeroko rozwartą paszczę ziemi. Szczególnie, kiedy flegmatyczny tramwaj miarowymi ruchy przemierzał długość dzielnicy Nalewkowskiej, kiedy cienie nóg przecinających lśniące tafle chodników stały się gęste jak sieć a szybkie jak od drgawek, Ewę obskoczyły setki pytań: co robią ci ludzie, czemu tak drżą i po prostu szaleją w swej pracy? I odpowiadała sobie, że zaiste na pytanie o życiu nie może odpowiedzieć nikt, bo odpowiedzi jest miliard, a na pytanie o śmierci odpowiedź jest jedna i dać ją może każdy człowiek. Śmierć jest zgniecie w ziemi, przemiana ciała i sukien w gnój, w cuchnący gaz, w ów straszliwy zapach Powązek, który była raz

⁶⁴ *Powązki* – popularna nazwa najstarszego istniejącego cmentarza w Warszawie; ogólnie: nazwa terenu na styku dzielnic: Żoliborza i Woli, na którym znajdują się cmentarze: katolicki, żydowski i ewangelicki. [przypis edytorski]

tam poczuła w upalny dzień majowy.

Nagle spostrzegła, że tramwaj wolno zawraca w kierunku dworca, a wkrótce ujrzała ciemność szczerego pola. Już zeszła noc. Noc pełna wichru i siekających smug wody, noc pełna złowieszczych pojęków w pustce nadwiśla. Noc strachu lecącego polem-pustkowień. Oto teraz ciemne powróła, bolesne witki ostatnich pytań opasały mózg: jak też tędy będzie wracała?

Spojrzenie w ciemności życia, szybkie jak błyskawica. Ściśnienie serca trwające długo. Ściśnienie niebolesne, jakoby pieszczota nieskromna rąk cudzych, rąk wstrętnych, których nic nie odtrąci. Ciało przepasał pas dreszczów, a włosienica kłujących lęków pokryła duszę. Lęki drobne i cienkie jak włosy – dookoła, dookoła... Chwila męstwa i znowu ściskanie.

Tramwaj stanął. Ewa wyszła i w gronie ludzi nieznanych znalazła się w sali klasy drugiej. Ale natychmiast wybiegła stamtąd. Martwe spojrzenia osób siedzących osaczyły ją nieznosnie. Lepiej się czuła wśród zgietku tragarzów⁶⁵, łoskotu rzeczy znoszonych, turkotu zajeżdżających powozów, świstów lokomotyw, dzwoneń kolejowych i tramwajowych. Wśliznęła się poza gromadę portierów w kapotach rozmaitej a coraz głępszej barwy, którzy uszykowani w szereg, stanęli na ukos przez całą szerokość ogromnej sali.

Zajęła framugę okienną tuż obok kasy, w owej chwili nieczynnej, przywarła do ściany. Jakieś bolesne, zapomniane wiersze, jęk nieznanego poety, przepływają przez duszę, jak

⁶⁵ *tragarzów* – dziś popr.: *tragarzy*. [przypis edytorski]

wzdychanie wiatru przez różgi nagiego drzewa w ciemności pól:

Na jakieś bezbrzeżne, szalone odmęty
Z pogodą na czole popłynę.
I zanim mię wir ten pochłonie przekłęty.
Zaśpiewam, konając, słoneczny hymn święty...

Ruch, zamęt. Ludzi coraz więcej, pośpiech coraz gwałtowniejszy. Bieganina posługaczów, krzyki, płacz dzieci. Powozy zajeżdżają. Słyszać trzask ich kół. Padają ciężary, stękają ludzie dźwigający. Słyszać czyjś krzyk rozpaczny: – o Boże! – Ewa czuwa. Wszystko słyszy i wciąga w siebie, śni jej się złuda, że to z jej piersi jęk głośny wybiegł przed chwilą. Teraz po cichu niestrudżonymi palcami odplata zwoje żmii, co okręciła serce i żywą z niego krew wysysa, wysysa.

Wtem łoskot ziemi. Ściany głucho oddają ciosy. Pociąg. Drzwi rozwarło. Portierzy zaczęli głośno, miarowo, wyraźnie wykrzykiwać nazwy hotelów. Począyna sunąć korowód ludzi. Rzecz tak zwykła wydaje się być Ewie jak straszne, tajemnicze misterium. Wlepiała oczy w idący tłum. Na każdą twarz padają jej oczy z przekleństwem, z okrutną grozą, z haniebnymi klątwami tragarzów, którzy są dookoła, ze stękaniem potężnych chłopów. Twarze obce, obce, obce! Krzyk w sercu: „nie ma!”. Wzniosły, ohydny i niezwalczony widok posługacza, który przysiadłszy na ziemi zadaje sobie pasami na plecy kufer i nie może go dźwignąć. I oto nagle buchanie niepowstrzymanej niczym rozpaczny, paroksyzm żalu, egzekucja, łamanie kołem duszy.

Świat powleka ciemność śmiertelna. Ciało drży. Śmierć duszy... Nie przyjechał.

Wtem! Tam daleko. Jeszcze za szybą, na peronie, w błysku latarni. Ucieleśniony sen... On! Ujrzała we drzwiach! Trismegistos!

Szedł szybko.

Od głowy, jakby z ran, z otwartych lancetem żył, ścieka zimna krew aż do stóp. Do palców nieruchomych nóg płynie, co przywarły do ziemi jak ciężary tysiącpudowe.

Szedł szybko, mijał portierów z grymasem zniecierpliwienia. Na lewej ręce przewieszony pled, w prawej walizka. Oczy Ewy przywarły. Idą za nim. Znikł we drzwiach, w ciemnym lochu dziedzińca...

„To już po wszystkim... cicho – cicho...” – szepcą wargi białe jak kreda do serca bijącego boleśnie. – „Przysięgłam sobie. Słowo honoru sobie dałam...”.

I znowu w smutku niestrzymanym:

„To już i wszystko...”.

Wolnymi kroki wyszła przez rozwarte drzwi. W siekącym deszczu, w mroku latają ognie latarni. Krzyk i kłótnie dorożkarzów⁶⁶. Wynurzają się to łby końskie z pyskiem rozwartym przez szarpane wędzidła, z wywalonymi jęzory⁶⁷ i strasznymi ślepiami, to tuż-tuż lśnią żelaziwa wzniesionego dyszla, dzwonią brzękadła chomąt. Wrzask nieznośny

⁶⁶ dorożkarzów – dziś popr. forma D.lm: dorożkarzy. [przypis edytorski]

⁶⁷ z wywalonymi jęzory – dziś popr. forma N.lm: (...) jęzorami. [przypis edytorski]

wywoływanych numerów, klątwy, nazwy ulic, turkot powozów, grzmot ciężki omnibusów – pochłaniają zgubione szepty nieszczęśliwych warg: „Łukasz, Łukasz...”.

Oczy rzuciły się w ciemność. Zdało się, że między dorożkami dojrzała ciemną sylwetkę. Chciała trafić do swego tramwaju, zdążyć na czas... Przemykała się między końmi, wśród latarni i kół, w tamtą stronę...

„Raz jeszcze spojrzeć, duszo moja!... Raz spojrzeć!...”. Nie! Już przepadł. Nie ma już nigdzie.

Ciemność... Szloch... Potracił ją policjant nastając, żeby odeszła. Krzyczał na nią jakiś stangret. Ktoś klął haniebnymi słowami. Zaczęła w pośpiechu wycofywać się, żeby iść w innym kierunku. Trafić tylko do tramwaju. Usiąść... Zimno!

Ktoś zawołał tuż za nią:

– Numer 2326!

Zadrżała i skuliła się wpół. Myśl:

„Jego głos...”.

Konie biegły wprost na nią. Latarnie powozu oświeciły jego twarz. Uskoczyła w bok, żeby iść, żeby uciekać! Szept honoru: „przysięgam!”.

O krok od niej przesunął się wsiadając do powozu. Wtedy, nie panując nad sobą, w spazmie rozpacz, krzyknęła z cicha:

– Łukasz, Łukasz!

Wypadł z powozu. Twarz jego widać w przelotnych blaskach. Porwał ją za ręce, za ramiona. Olbrzymie jego oczy ze zgrozą patrzą jej w twarz. Tuż-tuż! Szept w strasliwym uniesieniu:

– Ewunia!

Wciągnął ją, wrzucił półmartwą do powozu. Cisnął dorożkarzowi jakiś rozkaz. Głowa jej w miękkim wgłębieniu powozu. Zmartwiałe wargi pod jego wargami. Serce łomocze pod jego sercem.

Czy to już dobrotliwa śmierć, czy jeszcze życie?

Po setny, tysięczny raz jego usta, kiedy się oderwą, w paroksyzmie trwogi i szczęścia szeptają⁶⁸:

– Ewunia!...

Koła powozu na gumowych obręczach zdają się nie dotykać ziemi. Lecą, lecą, lecą wśród bryzgów wody ulicznej. Łagodny ruch, cichy, ostrożny, miarowy łoskot, jak gdyby tętno wszystkich rzeczy na ziemi... Skórzany fartuch chroni od deszczu, buda powozu od wichru i ludzi. Lecą, zda się, powietrzem, nad ziemią i ludźmi, w czarną rozkosz nocy. Usta szukając jej ust trafiają na szorstką wualkę i usiłują rozedrzeć tę przeszkodę nieskończonymi pocałunkami. Ręce nie ośmielają się wznieść, żeby ją usunąć.

– Po coś to zrobił? Dlaczegoś ode mnie uciekł? – szepczą oniemiałe, bezsilne usta.

– Cicho, cicho.

– Po coś to zrobił? Dlaczego wówczas napisałeś straszny list?

...

Nieskończony błysk oświetlonych tafel okiennych, sznur latarniany... Biegną zmoczeni ludzie. Nieskończony korowód.

⁶⁸ *szeptają* – dziś popr. forma: *szepczą* a. *szepcą*. [przypis edytorski]

Snują się za oczyma, jako chichot złego ducha. Ewa nie mogła mówić ani słowa. Czuła wszystko, lecz nie myślała. Pragnienie było spełnione. Czara szczęścia po brzegi nalana. Toć to jest powrót... Nagroda za wszystko, ale jak bezbrzeżnie szczodra! O Boże, Ty, który wszystko wiesz!... Miała jego usta na ustach. Teraz już tylko skończyć to życie. Upojenie bez miary...

Wtem powóz stanął.

Łukasz ocknął się, z westchnieniem podniósł głowę.

– Co to jest? – spytała boleśnie.

– Już hotel.

– Co za hotel?

– Ja tu będę nocował.

– Ach, prawda!

– Już tu raz byłem. Przyjechałem do Warszawy chodzić pod twoimi oknami w nocy. Widziałem twój cień przez szybę.

– Ja mieszkam w twoim pokoju...

– Ewuś!...

– Cóż teraz będzie?

– Muszę tu zostać.

– A ja? Cóż teraz będzie?

– Nie wiem. Czy wrócisz do domu?

– Wrócę, oczywiście... Tak, oczywiście, wrócę do domu. A ty?

– Ja tu zostanę.

– Ale jutro? Co jutro?

– Jutro rano odjadę stąd na wieś.

- Do Zgliszcz?
- Skąd to wiesz?
- Wiem.
- Skąd to wiesz?

Cicho, krótko zapłakała. Stłumiwszy jęk rzekła:

– Wszystko jedno! Muszę ci powiedzieć te wszystkie rzeczy, muszę powiedzieć! Gdzież ci to powiem? Antropologia jest to śliczna, prześliczna nauka! Mój Boże! jeśli znowu przepadniesz...

Milczał z oczyma wlepionymi w jej twarz. Wreszcie wyszeptał:

- Chodź ze mną...
- Dokąd?
- Wezmę numer w hotelu. Będziemy sami z godzinę. Później pójdziesz do domu.
- Doskonale! Bierz ten numer, zamawiaj! Tylko prędko! Ja tu cierpliwie poczekam.

Znikł w bramie hotelowej. W chwili jego nieobecności, wbita w kąt powozu, myślała:

„Prawda, że to ja z nim... w hotelu... A niech wiedzą, niech wiedzą! Niech się nacieszą!”.

Zacisnęła pięść i biła w próżnię jak w paszczę wroga. Za chwilę Łukasz wrócił. Wręczył dorożkarzowi należność, Ewie podał ramię i szybko, co tchu wprowadził ją w bramę i na schody. Idąc po marmurowych stopniach wysłanych pąsowym dywanem mówił:

– Zamelduję cię jako swoją żonę...

– Tak, tak zamelduj!...

– Mam przecie paszport, opiewający, że posiadam żonę.

Nawet i ten przeklęty paszport na coś się przydał.

Zaśmieli się w głos obydwójce. Ewa szła jak we śnie. Śmiała się w weselu duszy, idąc cichym korytarzem rozkoszy. Otworzył jakieś drzwi. Byli sami. Wszedł służący i zabrał paszport. Jakieś dalekie, stłumione odgłosy. Huk miasta przyciszony, miły, senny. W niedalekiej rynnie plusk deszczu miły, senny. Wszystko to jakby precudowna uroczystość. Dom ten – to niedostępna świątynia. Jakie to wszystko mądre i doskonałe! Są tu sami... Usiadła w aksamitnym fotelu. Blask świecy padał na twarz Łukasza. Ujrzała jego oblicze nie swoim własnym wzrokiem, lecz wzrokiem miłości. Wąsy, mała broda. Włosy z boku rozczesane... Twarz schudzona i poczerniała. Oczy dziwnie otwarte, głębokie, pełne tajemniczej niepewności. To Łukasz! Ten żywy człowiek to już nie sen, nie marzenie, nie tęsknota, lecz Łukasz! Cóż za przedziwne uczucie, jakie zdumienie! Taka rozkosz! Taka cisza! Taka w duszy jasność! Można wyciągnąć rękę i dotknąć ręki nie obcego człowieka, lecz Łukasza! Powiedzieć: „przyjdź!” – i przyjdzie! Już nie uderza w serce sztylet pustki. Można podnieść oczy i ujrzeć jego oczy. Ach, całować jego usta! Jak on pachnie!

Staął po drugiej stronie stołu i szeptał do siebie, patrząc jej w oczy, jakby jej wcale nie widział:

– *Ἐμοὶ δὲ αἱ μεγάλαι εὐτυχίαι οὐκ ἀρέσκουσι ἐπισταμένῳ,*

ὥς ἐστι φθονερον⁶⁹...

Głos ten był cichy i senny jak szmer deszczu, jak dalekie tętno życia miejskiego. Głos półbolesny, półradosny, jakby nie jego głos, lecz nabożny werset kapłana. Ewę ogarnął nerwowy śmiech.

– Nie przy nas pisane... – mówiła kokieteryjnie, składając ręce i na bok przechylając głowę.

– Tak, nie przy nas, dawno pisane... To pisał Amasis, faraon egipski, do tyrana Polikratesa. Taki był tyran na wyspie Samos, Polikrates... Człowiek dawny, przedwiekowy, który kochał sztukę i rozkosz. Przywarły słowa do mózgu od chwili tłumaczeń na szkolnej ławce trzeciej księgi Herodota. Tam są przedziwne mądrości! Nigdy o tym nie myślałem i dopiero dziś...

– A co znaczy? Czy ciemna białogłowa może wiedzieć cokolwiek z takich morowych Herodotów?

– To znaczy... Ewo! To znaczy, że „boskość” jest zazdrosna. Znaczą te słowa, że wielkie szczęście, zbyt wielkie szczęście... jakoweś Θεῖον⁷⁰ – złe czy dobre – jest zazdrosne! Należy tedy wyrzec się zbyt wielkiego szczęścia, ażeby zazdrosne bóstwo nie wydarło mi ciebie. Bo ów człowiek najszcześniejszy, Polikrates,

⁶⁹ Ἐμοὶ δὲ αἱ [σαι] μεγάλαι εὐτυχίαι οὐκ ἀρέσκουσι ἐπισταμένῳ, ὥς [τὸ Θεῖον] ἐστι φθονερον (gr.) – nie cieszy mnie wielkie szczęście (wielkie sukcesy), wiem bowiem, że zagraża mi zazdrosne bóstwo; por. Herodot, *Dzieje*, t. III, 39 (40); historia o pierścieniu Polikratesa tyrana wyspy Samos, z listu Amasisa do Polikratesa. [przypis edytorski]

⁷⁰ Θεῖον (gr.) – Theon (Thejon); bóstwo. [przypis edytorski]

był później przybity do krzyża na górach Mykale, on, któremu śpiewał Anakreon... Przybity do krzyża, patrzył gasnącymi oczyma na kraj swój, na siedlisko swojej rozkoszy, na wybrzeża ukochanych Jońskich Wysp, na świątynię Neptuna i na dalekie, mgliste góry Azji...

Gdy to mówił szeptem, jakby najgłębszą tajemnicę, ją ogarnęła bezbożna wesołość, drwinka pusta i lekkomyślna, nastrój, którego mniej by się mogła teraz spodziewać niż śmierci. Coś z zewnątrz zadało jej pytanie: Czy też szczęście tyle jest warte, ile kosztowało? Dowiedzieć się! A to, ile szczęście kosztowało, przemierzyło się w mózgu i odpłynęło stroną daleką, okolicą, jak grzmot wiosenny... Wraz nasunęła się niemal pewność, że ta potworna myśl sprawdzenia nie wylęgła się w mózgu, lecz jest na zewnątrz, wisi postronnie, jak uśmiech zdjęty z czyichś szyderczo skrzywionych ust, jak wzrok ohydnie przymkniętych oczu patrzący prosto w mózg.

Łukasz stał wciąż nieruchomo po drugiej stronie stołu. Był jak zziębnięty czy chory. Zacierał ręce. Oczy jego zatapiały się w oczach Ewy lękliwie, stopniowo, chyłkiem. A twarz jej stawiała się powoli więcej niż piękną, więcej niż uroczą, przeistoczyła się w samo piękno, stała się tym, co budzi i żywi miłość i co się w miłość zawiera. Niechętnymi, bezwolnymi krokami zbliżył się idąc po dywanie. Usiadł na krzeselku tuż obok. Później naprzeciwno... Pragnęła, ach, pragnęła, żeby bliżej... Ale nie ważyła się prosić. Czuła, że gorący rumieniec pali jej twarz i jeszcze bardziej wstydziła się tego rumieńca. Słowa zamarły i

znikły. Suknie dotknęły jego kolan. Czoło się chyliło ku czołu. Pachną włosy. Oczy jej objęły go, oczy błękitny obłok, oczy najcudowniejszy żywioł ziemi. Jak długo trwało to wzajemne zaśnienie, owa zupełność i doskonałość szczęścia? Godziny czy minuty? Siedzieli z dala od siebie, stopieni w anielski byt.

– Ty jesteś... szczęście – powiedział cicho.

Uśmiechnęła się zza smutku, tak samo, jak niegdyś uśmiechała się ku niemu podczas majowych nabożeństw zza czarnej wualki.

– Czy naprawdę jestem dla ciebie szczęściem?

– Naprawdę. Przysięgam!

– Jakże to miło słyszeć! Jak miło...

– Ty jesteś boska radość...

– Bardzo dużo przecierpiałam.

– I ja.

– Dlaczegożeś to zrobił?

– Musiałem.

– Raz czytałam... O jednym zdarzeniu.

– O jakim zdarzeniu?

– Że tak w hotelu wypili we dwoje jakiś tam kwas...

– Nie! Jadę do Rzymu.

– Kto, kto jedzie? – szepnęła blada jak trup. Powtórzyła to pytanie kilkakrotnie, jękając się i dusząc sylabami.

– Pożyczam pieniędzy od moich hrabiów i jadę do Rzymu. Mam duże szanse, że tam rozwód wyrobię.

– Czy podobna!?

- Wyrobie.
- W Rzymie wyrobisz?
- W Rzymie.
- Kiedy?
- Za jakie dwa, trzy miesiące.
- A kiedy wrócisz?
- Wrócę, wrócę! I już na wieki...

Znowu począł głosić miłą prawdę:

- Ty jesteś szczęście!

A później pod najgłębszym sekretem i najbardziej cichym szeptem:

- Jesteś bardzo piękna...

Wstała ze swojego miejsca. Patrzyła na niego z tajemniczym a nowym uśmiechem. Nigdy jeszcze takiego nie widział.

Była cudowna. Wicher w mózgu... Straszna woła rozkoszy.

Włosy przybrały same szczególną postać i nadały głowie wdzięk niewysłowiony. Jedno złotolite pasemko osunęło się na policzek. Chciała odgarnąć. Poprosił oczyma i błagalnym skinieniem ręki, żeby zostawić tak, jak jest. Wtedy uśmieszek i nowa zorza wstydliwego rumieńca pod tym pasemkiem.

- Ewo – rzekł – już musisz iść...
- Prawda. Już muszę...
- Ósma godzina.
- Tak mi żal odchodzić. Strasznie dobrze u ciebie! Z tobą strasznie dobrze! Ach, jak jest z tobą...
- Będę pisał do biura. Idź teraz!

– Taka to gościnność...

Uśmiechnął się szyderczo. Ujrzała jego białe zęby. Wszystek drżał i tarł ręce. Twarz jego stopniowo stawała się surowa, szara, okrutna. Ewa zlekła się czegoś i stała przed nim pokorna. Z nagła łkanie wyrwało się z jej piersi. Oczy błagalne, na ustach słowa niedające się wyjawić:

– Nie opuszczaj!...

Krótki pocałunek, raczej szybkie muśnięcie ust ustami.

Narzucił paltot na ramiona. Prędko wyszli – pod rękę. Schody, brama. Ukłon portiera... Ciemnymi ulicami, po mokrych chodnikach, ciemnymi ulicami, wśród surowych kamienic – bez słowa, bez słowa... Przed bramą domu szybki, mocny uścisk ręki. Znikł w mroku, w wicherze i deszczu.

*

W końcu listopada Ewa otrzymała w biurze następujący list:

Szanowna Pani!

Przebywający w szpitalu miejskim p. Łukasz Niepołomski, na oddziale chirurgicznym, którego jestem kierownikiem, poleca mi prosić Ją o natychmiastowe przybycie. Chory ma płuco przebite kulą pistoletową.

Stan jego jest ciężki i niebudzący nadziei.

Z szacunkiem dr J. Wilgośiński

Po krótkich ciosach pytań bez odpowiedzi, ogłuszających

jak uderzenie łba stępy, po sofoklesowskim siepaniu się ducha Edypowego, który ciska w niebo pytanie boleści „ω Ζευ, τι μου δρασαι⁷¹” nastąpiła w Ewie oślepiająca jasność – owo „ταδ ηδυ διαφανη⁷²”.

Wszystko się wyjaśniło. Bezbrzeżny zielony ocean nieszczęścia stoi przed oczyma i kołysze się w słońcu. Poprawiła włosy. Uciszyła się rozkazami woli.

Poszła niezwłocznie do gabinetu szefa biura z wystylizowaną naprędce prośbą o urlop. Gdy weszła do sanktuarium w porze nieodpowiedniej, przyjęło ją odpychające mocniej niż pięścią zimne spojrzenie.

Znała już do zbytku dobrze łysą czaszkę, śpiczastą siwą bródeczkę, oczy jesiotra i wargi notorycznego kata. Wyłuszczała prośbę o urlop w sposób trafny i spokojny. Długa twarzyczka władcy nie drgnęła.

Szef nie przestał palić papierosa, a właściwie nie zmienił przerw i dystansów w paleniu. Najsztelniej skłamane okoliczności, które przedstawiała, nie wpłynęły wcale na zmianę raz przyjętego za właściwy sposobu otrząsania popiołu o brzeżek brązowej popielnicy.

Mumia była nieczułą na wszystko, nawet na uśmiechy kobiece. Nierychła odpowiedź, odpowiedź bez skazy politowania.

– Pani żartuje!... Skąd urlop! Jak to! Dziś zaraz urlop? Czy

⁷¹ ω Ζευ, τι μου δρασαι (gr.) – o Zeusie, coś mi uczyniłeś. [przypis edytorski]

⁷² ταδ ηδυ διαφανη (gr.) – te oto jasności. [przypis edytorski]

pani nie zna przepisów?

– Panie naczelniku!

– Pani otrzymała w zeszłym roku urlop z pensją. Pani chyba żartuje, powtarzam to już drugi raz.

– Nie żartuję, panie naczelniku. Są to okoliczności tego rodzaju. Ciotka, która mię wychowała od urodzenia, jest umierająca. Ja muszę! Zgodzę się na wzięcie na moje miejsce zastępcy, za urlop bez pensji.

– Pani sobie żartuje. Powtarzam po raz trzeci.

– Przecież mam prawo do urlopu co roku.

– Ja przez dwadzieścia siedem lat nie brałam urlopu.

– Więc nie otrzymam nawet tygodniowego zwolnienia?

– Pod żadnym pozorem.

Wyszła z biura nie meldując się nikomu. Przede wszystkim wstąpiła do najbliższej cukierni i wypiła szklankę ohydnej herbaty w celu przejrzenia książki z rozkładem jazdy pociągów. Gdy powzięła wiadomość, że najprędzej może jechać dopiero za sześć godzin, udała się bez namysłu do starej Barnawskiej. Jak ptak wbiegła na schody prowadzące do mieszkania lichwiarki, schody, które w rodzinie zwały się schodami ciężkich westchnień. Ileż to razy chodziła tutaj po pieniądze na życie jeszcze wówczas, gdy była dzieckiem! Ileż to razy dźwigała daninę procentu, ile razy odnosiła znaczną część miesięcznej pensji swojej!

Zadzwoiła. Nierychło rozległo się cłapanie⁷³ pantofli starej

⁷³ *cłapanie* – dziś: czałapanie. [przypis edytorski]

Euryklei i nieufny głos:

– A kto tam?

Ewa wykrzyczała swe imię i nazwisko. Została wpuszczona. Przede wszystkim zdjęto łańcuch, później otwarto z klucza drzwi, wreszcie usunięto zatrask. „Ciocia” zajmowała dwa wielkie pokoje od frontu. Całe to mieszkanie było zastawione ślicznymi szafami, które przegradzały pokoje i tworzyły mnóstwo zakamarków. Ewa znała od dzieciństwa owe szafy prześliczne z mahoni, wykładane brązami, o szklanych drzwiach, tajemniczo zasłoniętych zieloną gładą⁷⁴. Powitała oczyma znane miniatury, rozwieszone po ścianach.

Miniatur było pełno. Stara jejmość była ich kolekcjonistką. Wydała na to ogromne pono sumy. Wszystkie były oprawne w drogie ramy ze złota, z cennego drzewa, wykładane pięknymi ozdobami z brązu.

Były to przeważnie portrety pięknych kobiet i rzeczy miłosne. Ewa lubiła zawsze, przychodząc z interesami rodziców, w czasie spisywania przez starą wiedźmę pokwitowań, upajać się owymi malowidłami, pełnymi słodczy i zmysłowej rozkoszy. Na niektóre miniatury stara nie pozwalała patrzeć, inne pokazywała sama z widoczną pychą i zadowoleniem.

Teraz widok tych scen kleszczami ścisnął serce. Skoro tylko stanęła w pokoju i objęła go zgasłym okiem, wynurzył się przed jej duszą miniony dzień młodości i przemknął – smutne widmo. Księżniczka Vaughan... Ewa podniosła na nią oczy pełne łez

⁷⁴ gład – błyszcząca tkanina. [przypis edytorski]

i w tym spojrzeniu powierzyła okrutną tajemnicę swej duszy.

„Księżniczko, księżniczko! gdybyś wiedziała...”.

Tamta patrzyła z uśmiechem radosnym, z zalotną swobodą, jakby chciała wyrazić pogardę dla cierpień.

– Miłość jest wszystkim... – zdawały się mówić jej czerwone usteczka.

Zza szafy ukazała się niespodzianie Barnawska. Ewa co prędzej przystąpiła do rzeczy. Szeregiem kłamstw misternie spiętrzonych udowodniła starej damie, że rodzina potrzebuje niezwłocznie stu dwudziestu rubli, a to w celu pokrycia (nieistniejącego) długu, który teraz miał ich jakoby doprowadzić do wyrzucenia z lokalu. Ponieważ Barnawska już wielokrotnie pokryła była dług starych pensją Ewy, nie opierała się teraz bardzo. Czyniła wstręty raczej dla zwyczaju i powagi lichwiarskiego stanowiska niż zasadniczo.

Skoro Ewa oświadczyła, że sama podpisze rewers, i zobowiązała się pokryć dług ze swej pensji, otrzymała żadaną kwotę wyświechtanymi trzyrublówkami, co uczyniło pakę formalną.

Uzyskawszy pieniądze wałęsała się po mieście aż do końca czasu biurowego – dla niewzbudzenia podejrzeń.

Wróciła do domu w czasie właściwym, zamknęła się w swoim pokoju i pakowała w małą walizkę najniezbędniejsze rzeczy. Wzięła wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Wieczorem, gdy już matka szła spać, a ojciec jeszcze z knajpy nie wrócił, wymknęła się z domu z walizką w rękę, wsiadła w pierwszą

dorożkę, dopadła dworca, kupiła bilet i pomknęła w dal.

Przytulona w drewnianym kącie trzeciej klasy, rzucona w gwar prostactwa, między chłopów i Żydów, obojętnie patrzyła w okno. Oczy nieruchome, utkwione... Mrok... Księżyc świeci, ale od chmur niewidno. Ów najgorszy na ziemi tyran, tłum obcy, kiedy serce rozdziera niedola. Smugi czarnych pól. Pola niezmierne... Pasy leśne... Polna, nieznana łaska i cisza... Dobrotliwe samotnie i litosne pustkowia.

Głowa o drewnianą ścianę oparta słyszy żelazną melodię kół i szyn, a serce pojmuje żelazny głos złej godziny. Nieubłagany głos powiada, jak dokonywują się sprawy pomimo nas, pomimo nas... Powoli idą lub lecą szparko w dal, jedno z drugich wychodzą, jakoby ciała z ciał, koła się zazębiają za koła zębate, nie dbając przecie o to, że zmiażdżą zwyciężoną duszę...

Samotna, zwyciężona dusza jedna jedyna jest na tym świecie. Serce, jak mały biedny zajaczek od psów ogromnych, od chartów zaciekłych w olbrzymich zgonionych polach... Przypadło teraz serce, jako zajaczek przypada w kotlinie pod przykopą. Wicher nad nim żałosny, a w wichrze głosy straszliwe pościgu. Lecz teraz jego krótka minuta półsnu, spoczynek z otwartymi oczyma. Słyszać wszystkie głosy nieszczęścia, lecz piersi nabierają tchu do życia, do chyżego biegu w bezgraniczu pól. Subtelny niepokój nie leci światami, lecz w sobie leży. Siła jego dźwiga ciężką płytę zwierzęcego bytu...

Ewa pamięta wszystko, co było, i niemal widzi, co będzie. Doszła do stanu nieświadomości. Oczy, spod powiek

przymkniętych ukośnie raz rzucone, leżą w szybie okna wagonu.

„Straciłam miejsce w biurze... – poziewając, bezdźwięcznie mówią usta. – Rzuciłam dom. Na zawsze, och, na zawsze... Już mię mama nie przyjmie. Tatko by może przyjął, gdyby się nie bał mamy i Anieli... Biedny tatko... Łukasz chory... Ma płuco przebite kulą... Któż to mógł zrobić, mój mocny Boże!...”.

„Jeżeli Łukasz umrze... – marzyła bez bólu – trzeba będzie... o mocny, o mocny Boże!...”.

Wspinała się na palce i dźwigała duchem. Przez wąską szczelinę między ściśle zwartymi zasłonami rzeczywistości widziała ową chwilę odległą, chwilę swoją i jego, w jakowymś brzasku dalekiego świtania. Widziała tam siebie jako cień idący poza zorzą w czarne pola. Tak niegdyś we śnie...

Późno w nocy ludzie się w wagonie pospali. Chrapanie, smród, kaszel jesienny. Konduktorowie⁷⁵ trzaskają raz w raz drzwiami. Jakieś ciemne stacje za spotniałą szybą. Chropowate budynki, szkielety drzew w czerwonym blasku latarni. Splątane badyle dzikiego wina z wiszącym tu i tam czerwonym liściem na ohydny, zadymionym murze budowli stacyjnej. Kosmyki te snują się i płaczą w oczach jak obraz widomy cierpienia samego w sobie. Wciąż ostry zapach węgla, wieszczący niedolę. Pociąg leci dalej, leci, leci. Głowa o ścianę żelazną oparta słyszy żelazną melodię...

Nareszcie szyba okienna stała się szara, szarobłękitna. Ewa starła z niej rosę i wyjrzała. Błada jutrznia rozwidniła

⁷⁵ *konduktorowie* – dziś popr. forma: *konduktorzy*. [przypis edytorski]

się już nad zagonami, nad ciemnymi moczary. Któż by uwierzył – marzyła Ewa patrząc na potworne kępy rokicin, na czarne rozlewiska i rude role – że wy jesteście również cudownymi łąkami, że staniecie się różnobarwne jak sukienka Józefa, Jakubowego syna... Któż by uwierzył, że ten zgniły i obmierzły moczar będzie zalany od błękitu wód, będzie kwitł płomiennymi smugami jaskrów, będzie zachwycał kępami młodocianego sitowia bardziej niż najpiękniejsza muzyka. Zasnuje się mgiełkami wiotkimi dal, posępna dal, i nieskończone mazowieckie aleje ciągnąć się będą w oczach jak widzenie, a duszę wzywać we świat, w wędrowania dalekie – dalekie... Jakże się to dzieje, że śmierć może się stać życiem kwitnącym, a życie drżące i tęgie staje się śmiercią?

– Raz mówił mi Łukasz – marzyła dalej, oczy mając wlepione w rozkisły, obdarty, chory i półumarły krajobraz – że dzieje ludzkie są jak łąki i pola zbożowe. Gdzież się podziewamy wszyscy? Dokąd idziemy? Jesteśmy ścinani jak te łąki, zżynani jak te zboża, jesteśmy zjadani jak kłosa. I nie ma nas na tej ziemi, jak nie ma teraz traw ani zbóż...

Oto rzeczka. Żelazny na niej most. Łoskot pociągu lecącego nad próżnią. Kłęb białej pary nad rozciapanymi zagonami, nad szklistą w bruzdach wodą. Idzie kłęb pary po grzbietach zagonów jak zmora, wlecze się jako upiór ku niskiej wsi. Znowu wioska, wioszczyna. Małe chałupy, drogi pełne bajorów. Tam człowiek brnie, wywlekając pracowicie buciory z grzęzawiska drogi. Oto tu ludzie mieszkają w tych budach oblanych gnojem i kałużami,

troskliwie pilnując chlewów przy chałupach i gnojówek u progu obór. Wszędzie szkli się woda i zewsząd ścieka wilgoć. Serce przenika gnębiący smutek i niewysłowiona nuda owego ludzkiego życia, na którego obraz patrzą oczy. Przez mgnienie żrenicy na widok tej wsi, kisnącej w wiecznych brudach, widać z okrutną oczywistością, jak między ludźmi nie ma nic wspólnego, ani cienia pobratymstwa, jak nie ma między nimi nic prócz grzechu pożądliwości, grzechu umówionej napaści, legalnego złodziejstwa – i grzechu użycia złupionych bogactw. Jakieś słowo nieśmiertelnego poety, czytane dawno, wraca się wciąż jak natrętny przechodzień w ludnej ulicy, zaglądający w oczy to z tej, to z tamtej strony:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «Литрес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на Литрес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.